



***EMMA GOLDRICK***



***Mam tylko jeden  
cel***

---

Tytuł oryginału: Baby Makes Three



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Zdaj sobie sprawę, Charlie, że od czasów twego wujka wiele się tu zmieniło. - Frank Losen, mówiący te słowa, miał około czterdziestu lat, był doświadczonym prawnikiem i przyjacielem Charliego z czasów młodości. Przechadzali się obaj wolnym krokiem obok dziwaczного budynku w kształcie piramidy, w którym tygodnik miał swą siedzibę.

Charlie Mathers rzucił okiem na drugą stronę ulicy i zaśmiał się cicho.

- Któż, u licha, jest twórcą tego monstrum w stylu egipskiego rokoko, Frank? Przecież to miasteczko nigdy tak nie wyglądało.

Przyjaciel skrzywił się z dezaprobatą i rozejrzał wokoło, czy nikt nie podsłuchuje.

- Ona jest winna - mruknął. - Trudno uwierzyć, ale Rachela Hammond jest w tej dziurze wydawcą i naczelnym redaktorem jednego z najbardziej rozbustwionych, skandalizujących tygodników. Oczywiście musisz także wiedzieć, że nasze Libertyville leży zaledwie kilka kilometrów od Topeki, która jest obecnie wydawniczą stolicą Środkowego Zachodu. - Słowa te zostały wypowiedziane przez prawnika z wyraźną chełpliwością. - Jak być może pamiętasz, stary Hammond, jej ojciec, był twardzielem. Ale w porównaniu z córką, można było go nazwać franciszkaninem.

- Nic nie jest mnie w stanie zadziwić po roku spędzonym na Bliskim Wschodzie - jakby od niechcienia powiedział Charlie. - Rozumiem, że w tym tygodniku, pod rządami owej pani, swoje opowiastki potrafią wyssać nawet z brudnego palca. Czy jednak

starszy pan nie miał przypadkiem syna, który by wszystko po nim dziedziczył?

- Rzeczywiście miał chłopaka - odpowiedział Frank, - Małego Jimmy'ego, który mając piętnaście lat już zdrowo pociągał z butelki. A gdy miał lat dwadzieścia jeden, owinał swój motocykl wokół latarni. I to sprawiło, że spuściznę...

- Tak, rozumiem. - Charlie znowu zaśmiał się cicho. - Spuściznę przejęła ona, mała Rachel. Nie mogę w to po prostu uwierzyć. Była dzieckiem, gdy wujaszek Roger napisał do mnie o niej. Przesłał też jej zdjęcie. Szkoda, że umarł, nim zdążyłem tu przyjechać i dowiedzieć się, o co mu chodziło. Ile ona ma dzisiaj lat, dwadzieścia... dwadzieścia pięć?

- Zapominasz, że lata szybko biegną - powiedział Frank. - A poza tym nie nazywaj jej Rachelą. Woli, aby zwracać się do niej: Hammond. Myślę, że musi mieć dwadzieścia dziewięć czy nawet trzydzieści lat.

- Chciałbym zobaczyć tę wiedźmę. Może złożylibyśmy jej wizytę?

- Ale beze mnie! - Frank odsunął się o krok czy dwa od przyjaciela, jakby chciał odciąć więzy łączące go z Charliem Mathersem. - Ty chyba oszalałeś?

- Może coś w tym rodzaju - Charlie zgodził się ze śmiechem i obrzucił jeszcze raz spojrzeniem monstrum zbudowane z żółtej cegły, stojące po drugiej stronie ulicy.

Charlie Mathers po ukończeniu college'u działał przez pięć lat na rynku papierów wartościowych. Potem wszystkie swe aktywa powierzył firmom finansowym, pełnomocnikiem uczynił Franka i... zniknął z pola widzenia. Przed dwoma dniami nagle pojawił się znowu, nie wiadomo

skąd. Charlie Mathers mierzył niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ale był potężnie zbudowany, jak barbarzyński zwycięzca sprzed wieków. Z włosami sięgającymi po plecy. Szyję miał krótką, niczym gruba, stalowa kolumna. Jego włosy, kiedyś blondzółtawe, teraz były wybielone żarem tropikalnego słońca. W wiosennej spiekocie stanu Kansas nosił luźne spodnie i dobrze już zużyta, sportową koszulę, pod którą zaznaczały się sploty bicepsów. Z większej odległości wydawał się zwykłym, ale zasługującym na zaufanie człowiekiem. Dopiero z bliska dostrzegało się jego nieprzeciętne rozmiary. Wszystko, czego nie skrywały włosy i ubranie, było ciemnobrązowe od słońca. Z wyjątkiem niebieskich, władczych oczu.

- A zatem nie chcesz tam pójść razem ze mną? - Charlie nadal drażnił się z przyjacielem. - Przecież Hammondowie i Mathersowie byli kiedyś dobrymi sąsiadami.

-Rzeczywiście byli... ale blisko wiek temu - powiedział Frank. - Odziedziczyłeś dużo po wuju Rogerze, wliczając w to czterdzieści procent akcji w Korporacji Hammond-Borgen, na co składa się także ranczo Bar Nine i ten cholerny tygodnik „The National Gossiper” („Plotkarz Narodowy” - przyp. tłum). Ale, powtarzam, nie zaciągniesz mnie do tego... do legowiska tej suki.

- Jak widzę, ona naprawdę musi być kimś - Charlie zaśmiał się znowu. - Mówisz: suka! Co za słowo? A ja myślałem, że jesteś wciąż zagorzałym metodystą.

- Posłuchaj mnie, Charlie. Masz więcej pieniędzy, niż potrafię zliczyć. Nawet szef banku uchyla kapelusza na twój widok. Nie ma potrzeby, abyś zbliżał się do tych Hammondów. Nie wywołuj wilka z

lasu. Mogą ci się dobrać do skóry. I to jest moje ostatnie słowo na ten temat.

- Amen - powiedział Charlie. - Wycofaj się zatem w zacisze swego biura. Wykonałeś dobrą robotę, zarządzając moimi pieniędzmi. Pozostawię je w twoich rękach jeszcze przez jakiś okres, podczas gdy ja powęszę trochę, rozejrzę się dokoła i wśliznę z powrotem na łono cywilizacji.

- Byłoby w tym dużo rozsądku, bracie. - Frank powiedział to zgodliwym tonem. - A ja tymczasem spływam.

- Krzyżyk na drogę - Charlie mruknął bez sprzeciwu. - Popatrz, wydaje mi się, że jakiś waźniak wychodzi stamtąd? - Chciał jeszcze coś dodać, ale uświadomił sobie, że prawnik już zniknął. Zabierając ze sobą czterdzieści lat doświadczeń życiowych i... ciężką teczkę, pełną dokumentów. - Tego mi właśnie trzeba - zamamrotał do siebie Charlie. - Intrygującego przedsięwzięcia. Czegoś z niemałą dozą przygody w sobie. Czegoś, czym się ubawię, ale bez ryzyka, że będą do mnie strzelać. Nie mam już zamiaru, do końca dni swoich, zasiadać w kabinie jakiegoś F-15.

Kobiety - to jest w dzisiejszych czasach właściwy obiekt zainteresowań dla mężczyzny w średnim wieku. Czy jednak trzydzieści cztery lata to już dzisiaj średni wiek? Kobiety... Coś mi się wydaje, że ta, o którą w tym wypadku chodzi, jest paskudna, szpetna. Czy to właśnie czyni kobiety zgorzkniałymi? Brzydota? A może powodem jest brak miłości?

Wydłużona, szara limuzyna zatrzymała się przy przeciwległym krawężniku. Drzwi budynku otworzyły się szeroko i dwu wielkich

mężczyzn wyszło na chodnik. Jeden wyglądał jak gracz w baseballa, który znalazł się w niewłaściwym miejscu, a drugi robił wrażenie King Konga w biznesowym garniturze. Ta osobliwa para zataczała półkola, przeszukując przeciwległe krańce ulicy. Ale jak okiem sięgnąć nie było tam żywej duszy, z wyjątkiem właśnie jego.

Mężczyźni wymienili ze sobą parę słów i skierowali się wprost do Charliego. Bardzo długo nie było mnie tutaj, pomyślał, obserwując, jak tych dwóch szybko się zbliża. Wiele się rzeczywiście zmieniło.

- Hej, ty! - wykrzyknął facet przypominający King Konga. - Masz tutaj coś specjalnego do roboty?

- Nie, po prostu spaceruję sobie, ot tak. - Charlie Mathers miał od dawna opinię człowieka gwałtownego. Ale tych dwóch oczywiście nie wiedziało o jego reputacji. Czasami jego cierpliwość wyczerpywała się dopiero po dziewięćdziesięciu sekundach. Wtedy, rzecz jasna, gdy miał swój dobry dzień. - Czy mogę coś dla was zrobić? - zapytał, jakby mimochodem.

- Właśnie o to chodzi. Czy mógłbyś przejść do najbliższej przecznicy? - Człowiek-tyczka powiedział to uprzejmie, ale równocześnie uderzał wielką, zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. Z monotonną precyzją.

- Ale dlaczego? - Charlie zapytał z głupia frant.

- Ponieważ Hammond za chwilę wyjdzie z tego budynku, a ona nie lubi głupków. Zjeżdżaj!

- Niech mnie kule biją! - Charlie wykrzyknął, pokręcił głową i uśmiechnął się. - Tego mi właśnie potrzeba. Dałbym wszystko, żeby zobaczyć tę Hammond! Naprawdę zaraz wyjdzie?

- Chyba nie tyle dasz, co dostaniesz - wykrztusił z siebie goryl. -  
Ale widzieć jej na pewno nie będziesz!

- Było już paru takich jak ty - dodał wyższy mężczyzna. Jego głos brzmiał pojednawczo, ale pięść wciąż uderzała wymownie w dłoń drugiej ręki, wydając przy tym odgłos plaskania.

- Po prostu spieprzaj - warknął ten drugi i sięgnął swym wielkim łapskiem w kierunku ramienia Charliego, na którego twarzy pojawił się dobrotliwy uśmiech.

- Dlaczego nie jesteście dla mnie mili? - zapytał miękko, równocześnie jednym małym ruchem strącił rękę goryla ze swego ramienia, a jego samego pchnął z takim impetem, że King Kong zderzył się ze swoim partnerem i obaj, jak dłudzy, rozłożyli się w rynsztoku.

Rachela Hammond jeszcze raz przemierzyła swój gabinet zdecydowanym krokiem. Idiota, który zaprojektował tę piramidę, już dawno został wyrzucony z pracy. To, że jej biuro znajdowało się na samym szczycie wymyślnej konstrukcji, sprawiało, że w pomieszczeniu były cztery okna, na cztery strony świata, cztery pochyle ściany i bardzo niewiele miejsca do przechadzania się. Tymczasem Rachela należała do kobiet, które myśląc muszą chodzić po pokoju. Starszy mężczyzna, siedzący w fotelu, wodził za nią wzrokiem.

- Słuchaj, Elmer. Powiedziałam, żebyś wynalazł jakiś mały skandalik, ale, na Boga, nie miałam na myśli Libertyville. Kogo w szerokim świecie obchodzi, że ktoś w naszym ratuszu bierze łapówki. Daj spokój tej cholernej dupereli. Ja chcę czegoś naprawdę soczystego, pikantnego.

Elmer Chatmas współpracował z ojcem Racheli i z ojcem ojca. I nie musiał słów owijać w bawełnę.

- Jak mi się wydaje, nie ma w tej chwili niczego godnego uwagi - powiedział spokojnie. - Moglibyśmy ewentualnie zrobić coś z tą sprawą w Topece, w biurze miejskiego radcy prawnego. Ale to również jest tylko mały smrodek. Po prostu zwykła malwersacja.

- Więc rozdmuchajcie ją, nadajcie jej rozgłos - powiedziała. - Wpłączcie w sprawę paru naiwniaczków, znajdźcie jakieś pikantniejsze zdjęcie. Przecież wiesz, jak się to robi. Dajcie tytuł: „Urzędnik miejski kradnie, żeby zaspokoić swoje erotyczne hobby”. Czy coś w tym rodzaju. Ruszaj się, Elmer. Mnie się spieszy, już za piętnaście minut mam ważne spotkanie.

- Chcesz, abyśmy po prostu zmyślili oczywiste kłamstwo?

- Nie kłamstwo, Elmer. Masz tylko zastosować coś, co nazywamy „twórczym dziennikarstwem”. Powtarzam, wiesz dobrze, jak to się robi. Przecież prawdziwe wiadomości drukujemy na drugiej stronie. A pierwszą kolumnę zachowujemy na materiał, który napędza tyle pieniędzy, że ta stara łajba może wciąż pływać. A teraz rusz się. Przygotuj materiał do druku.

- Nie wiem, jak ty to zrobiłaś? - powiedział Elmer, wstając i zgarniając swoje papiery. - Gdzie się podziała ta słodka, mała dziewczynka, którą kiedyś huśtałem na kolanach?

- Chodzi ci o Rachelę Hammond? - zapytała była, mała, słodka dziewczynka i uśmiechnęła się. – Ona wydorosłała, Elmerze, i odkryła, że ziemia nie jest okrągła, lecz pokręcona, oszukańcza.



- Czego ci naprawdę trzeba, dziewczyno, to kawał chłopca - powiedział redaktor i wyszedł z pokoju.

- Masz zupełną rację - zawołała za nim. - Tyle tylko, że Pan Bóg od pewnego czasu nie tworzy już nic w tym rodzaju.

Drzwi zatrzasnęły się, separując ją od świata. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Oczywiście drzwi nie są zamknięte na klucz, a jedynie na klamkę, pomyślała z autoironią. Czyżby zaczynała chorować na klaustrofobię? Albo na jakieś inne paskudztwo? Zmieniła kierunek swego spaceru i otworzyła drzwi do małej, przyległej do gabinetu łazienki. Lustro, gdy rzuciła na nie okiem, kłamało.

Czuła się na pięćdziesiąt lat, tymczasem zwierciadło mówiło, że ma tylko dwadzieścia dziewięć. Ręką przeczesła burzę wijących się loków. Masz piękne blond pukle, powiedziało lustro. I niebieskie oczy, a do tego zaróżowione policzki, pasujące doskonale do perłowej cery. Masz także piękne, białe zęby. Krótki, ostry nosek, zdecydowany podbródek, średni wzrost i figurę, która wprawiłaby w zachwyt Michała Anioła!

-I wkrótce będę miała trzydziestkę - powiedziała do siebie ponuro. Rachela Hammond wyraźnie słyszała tykanie swego biologicznego zegara. Był to problem, który kobieta mogłaby przedyskutować ze swymi przyjaciółmi... gdyby ich miała. Albo ze swym pastorem... gdyby nie była przekonana, że jest nudziarzem i głupcem. I na tym polegała trudność. Nie chciała szukać „dobrego chłopca”. Kogoś, kto chciałby rządzić nią tak, jak kiedyś robił to ojciec. Czego naprawdę chciała, to... dziecka. Którym sama mogłabyś rządzić? - usłyszała własny głos wewnętrzny.

- Nie, nie o to chodzi - wyszeptała do pustych ścian. Chodzi o kogoś, kogo mogłaby kochać i pieścić. I kto odpłacałby jej miłością. Co oczywiście z góry wykluczało wszelkie dorosłe osoby z kręgu znajomych Racheli.

Ona sama nie zaznała wiele miłości jako dziecko. Jej matka zabawiała się w organizowanie coraz to nowych przyjęć, aż do narodzin Racheli. A potem szybko umarła. Ojciec, gdy tylko dowiedział się, że dziecko nie jest chłopcem, zaczął ją traktować jak przesyłkę pocztową, skierowaną pod niewłaściwym adresem i pozbawioną adresu zwrotnego.

Cała edukacja Racheli nie została jednak zmarnowana. Wiedziała na przykład, że niezależnie od tego, jaką odrazą ją to napawało, faktem było jednak, że aby mogła mieć dziecko - potrzebny był mężczyzna. I w związku z tym zaplanowała całą kampanię. Ufała swemu doktorowi, którym oczywiście była kobieta. Wspólnie przemyślały rzecz całą i owocem tego było następujące ogłoszenie, przekazane do prasy:

„Poszukiwany: silny, zdrowy mężczyzna, który zechce podjąć się wysoko płatnej, krótkoterminowej pracy”.

- Efekt będzie taki - ze sceptycyzmem powiedziała Racheli - że zgłoszą się tłumnie mocni, zdrowi i... leniwi mężczyźni, którzy będą chcieli jedynie zgarnąć moje pieniądze... prawie za nic.

- Wobec tego - zaproponowała pani doktor - zmieńmy anons następująco: „...który zgodzi się uczestniczyć w niebezpiecznym, krótkotrwałym eksperymencie, za wysoką zapłatę”.

- To brzmi już lepiej - przystała Racheli. - I ty przesiejesz dokładnie kandydatów.

-Najpierw zrobi to doktor Greenlaugh. Ona jest psychiatrą. Gdy dojdzie do wniosku, że z jej punktu widzenia wybrała dziesięciu najlepszych, prześle ich do mnie na przebadanie fizyczne.

- Zrób to cholernie dokładnie - poprosiła Rachelą.

- Nie chciałabym dojść do końca naszych poszukiwań i przekonać się, że facet nie może... no wiesz, o co chodzi?

- Tak, wiem - doktor Saunders przytaknęła, śmiejąc się. - Ale radzę ci, przemyśl cały problem głębiej, raz jeszcze. Sprawy domu, ogniska rodzinnego, ojca i dziecka. I zgódź się, że ta mała istota, gdy trochę podrośnie, powinna mieć ojca.

- Dzięki wielkie za przypomnienie - z ironią odparowała Rachelą. - Kiedy nadejdzie czas, kupię mu ojca!

Znowu dreszcz przebiegł jej po plecach i pomyślała: Robię to, czego pragnąłeś, tato, chcę podtrzymać linię Hammondów. Wyszukam odpowiedniego mężczyznę, wyszukam bardzo starannie. I dziecko, w rezultacie, powinno wyglądać jak Hammondowie. Jestem pewna, że będzie doskonałe. Tego przecież chciałeś, tato, od swej bezwartościowej córki?

- Płaczesz? - zapytała doktor.

- Ja? Płaczę? - Rachelą udała oburzoną. - Hammondowie nigdy nie płaczą! - Przetarła jednak powiekę. I była tam jedna łza. Pospiesznie więc dorzuciła: - Posłuchaj, gdy wybieriecie wreszcie tego jednego, najodpowiedniejszego człowieka, przyślijcie go do mnie, a przepytam go, jak należy. Ale, u diabła, postarajcie się, żeby nie miał najmniejszego pojęcia, o co mi chodzi, bardzo cię proszę!

I cały ten zamysł dobiega teraz końca, pomyślała Rachela, spryskując zimną wodą trzęsące się ręce. Dzisiaj zwycięzca tej trudnej, nieco zwariowanej konkurencji ma pojawić się u niej.

Powróciła do biurka, usiadła, znowu wstała, przeszła się po pokoju, wychyliła głowę, starając się cokolwiek zobaczyć przez okno, i nagle, gdy zabrzączał dzwonek, nerwowo podskoczyła. O Boże, jak ja się zachowuję, prawie nakrzyczała na siebie. Przecież robi tylko to, czego ojciec tak bardzo pragnął. Chciał mieć syna, to jasne. A ponieważ nie spełniła w oczywisty sposób jego nadziei, do niej teraz należy naprawienie tego błędu natury. Rachela zakryła rękoma uszy. Wciąż słyszała, jakby to było dzisiaj, schrypnięty głos ojca, nie dający jej spokoju: „Chcę mieć chłopaka i to wszystko! Dziewczyna mi nie wystarcza”.

Powróciła jeszcze raz za biurko i usiadła. W fotelu ojca, oczywiście. Wygodnym, miękkim, obrotowym fotelu, ustawionym na piętnastocentymetrowym podwyższeniu, które sprawiało, że wszyscy ludzie, zjawiający się u niej, odnosili wrażenie, że dominuje nad nimi. Było to zgodne z zasadą szesnastą w wykazie reguł działania stosowanym przez ojca: „Chwytaj ich twardo w swe ręce już przy drzwiach i rób tak, żeby występowały na nich siódme poty”. Chcąc zakończyć tę scenę na wzór ojca, Rachela obróciła się na fotelu i usiadła plecami do drzwi. I w tej właśnie chwili otworzono je ze zgrzytem. Usłyszała jakiś ruch za sobą i tupot nóg.

- Mamy go, pani Hammond - ktoś krzyknął. Rachela gwałtownie zwróciła się ku przybyszom. Kłocowaty mężczyzna, o włosach w jasne

pasma, stał w progu gabinetu. Za gardła trzymał swymi wielkimi łapskami dwu ludzi z obstawy.

- Mamy go - jeden z goryli powtórzył słabym głosem.

- Tak, widzę wyraźnie, że go złapaliście. - Sarkazm w głosie Racheli był aż nadto słyszalny. - Skończcie z tym, powiedzcie o co chodzi? - warknęła i trzech mężczyźni, jakby na komendę, uspokoili się.

- Jestem... - potężnie zbudowany nieznajomy chciał coś powiedzieć, ale przerwała mu brutalnie.

- Wiem, kim jesteś. Natomiast nie wiem, po co ta cała awantura?

- To jest ten facet - stwierdził Leo Gurstner. - Zobaczyłem go przed głównym wejściem. Fritz i Hubblemeyer wyszli na ulicę, żeby sprawdzić, po co się tam pęta, a on powalił obu. Proszę zauważyć, obu jednocześnie. Czy chce pani, żebym wezwał gliniarzy?

- Chcę - powiedziała nabierając powietrza - żebyście zabrali się stąd natychmiast. I pozwolili mi porozmawiać z tym... dżentelmenem. Jest umówiony ze mną!

- Jestem umówiony? - Charlie Mathers wydawał się zaskoczony. Wzruszył ramionami i poprawił podartą koszulę. - Być może jestem - mruknął do siebie. Jak pamiętał, list od wuja nie obfitował w szczegóły, natomiast był bardzo kategoryczny. Brzmiał mniej więcej tak: „Chcę, żebyś wziął d... w troki i zjawił się tutaj. Musisz mi pomóc przywołać tę dziewczynę do porządku. Zrób wszystko, co będzie konieczne. Mogę już sobie wyobrazić sępy krążące nad jej głową”. Oczywiście wuj był na tyle staroświecki, że chyba nie użył słowa zaczynającego się na literę „d”, ale sens listu wydawał się jasny.

Obaj ochroniarze po chwili wahania szybko wyszli z gabinetu szefowej, cicho zamykając za sobą drzwi. Kobieta patrzyła na Charliego uparcie.

- Powiedz krótko, jak się to wszystko stało.

Charlie jeszcze raz wzruszył ramionami. Ma przyjemny głos, głęboki, jak na kobietę. I doskonale ten głos kontroluje, pomyślał.

- Stałem po drugiej stronie ulicy, czekając na spotkanie z panią - powiedział - i wtedy nagle te dwie bestie zaczęły biec do mnie. Ale potknęli się po drodze i wpadli na siebie. Jeden z nich, żeby nie upaść, chwycił się mojej koszuli. Nie przeżyłem niczego podobnego w całym swym życiu. Wcześniej zauważyłem, że wychodzili z tego budynku, pomyślałem więc, że będzie chyba dobrze, jeśli przyjdę do pani i powiem, co się stało.

- Bardzo słusznie - powiedziała Rachel, zacisnęła usta i wróciła do dyrektorskiego fotela. Przyszedł, żeby ją zobaczyć, pomyślała. A więc gra zaczęła się!

Potężny mężczyzna powoli przeszedł przez cały gabinet, przestawił dwa krzesła do kąta, a na ich miejsce przesunął kanapę, stojącą dotychczas pod oknem. A potem, nie pytając o pozwolenie, rozsiadł się na niej wygodnie, zakładając nogę na nogę.

Trzeba przejąć inicjatywę, Rachel ponaglała samą siebie. Ale jak to zrobić? Myśli przelatywały jej przez głowę, żadna jednak nie wydawała się dość sensowna. Patrzyła więc tylko z uporem na mężczyznę. A on patrzył na nią.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - zapytała w końcu.

- Charlie - odparł cicho. - W każdym razie ojciec tak mówił do mnie. Czy mam rozumieć, że pani jest...

- Nazywam się Hammond. A teraz proszę mi powiedzieć, co doktor mówił o mnie czy o tym zadaniu, które cię czeka?

- Nie powiedział ani jednego słówka - Charlie oświadczył zgodnie z prawdą. - Ani jednego słówka.

- Ale, jak przypuszczam, zastanawiałeś się, o co może chodzić?

- Można to tak określić.

- A zatem ja sama powiem ci wszystko - oświadczyła. - Ale na wstępie musimy się wzajemnie dobrze poznać. W tym celu pojedziemy na moje ranczo i spędzimy tam miesiąc. Zakładam, że możesz teraz wyjechać? - I nie czekając na odpowiedź, nacisnęła guzik interkomu. - Beth, wyjeżdżam- na ranczo. Nie będzie mnie w biurze co najmniej przez cztery tygodnie. I nie chcę, żeby mi w tym czasie przeszkadzano. Żadnych telefonów.

- Tak jest, proszę pani - zaburczało w interkomie. - Chciałam tylko powiedzieć, że czeka w sekretariacie człowiek, który wmawia mi, że jest z panią umówiony.

- Wezwij wobec tego ludzi z ochrony i niech go wyrzuca. Nie mam żadnych innych spotkań wyznaczonych na dzisiaj - warknęła Rachel i nacisnęła guzik wyłączający. Po raz pierwszy od czterech lat firma Hammond Enterprises będzie działać bez kogokolwiek za kołem sterowym. - Wychodzimy... Charlie - powiedziała rozkazująco, kiwając na niego palcem.

Dopiero po chwili, kiedy znaleźli się już w jej prywatnej windzie, uświadomiła sobie, z jaką gracją Charlie podniósł się z kanapy i

pospieszył za nią. To dobry początek, pomyślała. Potężny, zdrowy mężczyzna, sprawnie poruszający się... i z dobrymi manierami, uzupełniła, gdy podał jej rękę i pomógł wsiąść do limuzyny.

- Dojazd do rancza Bar Nine zajmie nam trochę czasu - zakomunikowała mu.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi. - Charlie usadowił się tuż przy oknie. - Lubię przyglądać się krajobrazowi.

- Nie o to mi chodziło - sprostowała. - Jest milion szczegółów dotyczących ciebie, o których chciałabym się dowiedzieć. Twoje dossier kompletowane było w pośpiechu i brak w nim oczywiście dużo detali. A więc... urodziłeś się w...?-

- W Teksasie, w Waco - odpowiedział. - Mam trzydzieści cztery lata. Czy tego chciała się pani dowiedzieć?

- Mniej więcej. Czy przechodziłeś jakieś choroby zakaźne?

- Jeśli ma pani na myśli choroby wieku dziecięcego, to wydaje mi się, że przeszedłem wszystkie możliwe.

-Rozumiem. I żadna z nich... nie uszkodziła... jakiegokolwiek fizycznej funkcji?

- Jedna tylko, o której wiem. Wydarzyła się wtedy, gdy byk nadepnął mi na nogę - powiedział, kiwając głową ze współczuciem dla samego siebie. - Czasami, gdy deszcz pada, ta kiedyś zraniona stopa trochę mnie boli. Ale wojskowi doktorzy z Sił Powietrznych stwierdzili, że właściwie wszystko jest w porządku. Psycho... coś tam, mówili.

- Psychosomatycznie?

- Tego właśnie słowa użyli - potaknął Charlie. - No, a poza tym tutaj, w Kansas, pada rzadko, jak słyszałem. A jeśli ma pani jakieś



jeszcze obawy co do moich kwalifikacji, to muszę powiedzieć, że już w wieku czternastu lat wiedziałem bardzo dużo o koniach, o krowach... a nawet o owcach.

- Tak, to mnie bardzo uspokaja - powiedziała, przeciągając słowa i w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć kolejnego sensownego pytania, które powinna mu zadać. Mimo że uprzednio przygotowywała sobie całą listę takich pytań. Przez resztę drogi Rachela kręciła się na swym siedzeniu, wyglądając przez okno, a gdy on robił to samo, przyglądała się mu ukradkiem.

Cóż ja wyprawiam, zastanawiała się. Przecież mogę uzyskać wszystkie potrzebne informacje, siedząc za biurkiem i po prostu przeglądając jego dane personalne. Ale w istocie rzeczy nie o to mi chodzi. Jak mam jednak postawić mężczyźnie pytanie najbardziej mnie interesujące, jeśli w mojej własnej głowie nie potrafię tego ubrać w słowa?

A poza tym muszę stwierdzić, że ten człowiek nie jest dokładnie taki, jakiego oczekiwałam. Jest coś nieskrępowanego, lekkiego za tą górą mięśni. Gdy się uśmiecha, wygląda wręcz przystojnie. A gdy coś mówi, robi wrażenie, że dobrze sprawę przemyślał, nim ruszył językiem. Muszę jednak pamiętać, jak wielokrotnie uprzedzał mnie ojciec we wczesnej młodości, że znacznie więcej bardzo przystojnych ludzi siedzi w celi śmierci w stanowym więzieniu, niż śpiewa w jakimkolwiek chórze kościelnym. Snując te myśli Rachela oparła się o poduszki samochodu, przymknęła oczy i po chwili zapadła w drzemkę. Może również dlatego, że ostatnio rzadko spała więcej niż pięć godzin na dobę.

Charlie Mathers przyglądał się jej kątem oka i widział, jak uśpiona dziewczyna lekko kołysze się na boki. On również był po jednej czy dwóch nie przespanych nocach, ale długie doświadczenie w tym zakresie sprawiało, że łatwiej dostosowywał się do sytuacji. Przesunął się więc ostrożnie w jej stronę i gdy kiwnęła się kolejny raz, jej głowa oparła się o jego ramię. I tak pozostała.

Charlie przybrał najbardziej wygodną pozycję i objął dziewczynę ramieniem od tyłu, aby nie mogła się od niego odchylić. Być może charakter ma twardy, pomyślał, ale jej ramiona to naprawdę delikatny kąsek. „Wiedźma, czarownica?” Kto to powiedział? To tylko świadczy, że każdy człowiek ma kilka twarzy. Rachela jest bez wątpienia uroczym stworzeniem, ale żyjącym stale w nerwach i ustawicznie podtrzymującym się kawą. Zastanawiał się, jakby wyglądała, gdyby była w pełni zrelaksowana. A swoją drogą ciekawe, jaką grę prowadzi z nim ta kobieta? Kobieta o aksamitnych ramionach, miękkich, zaokrąglonych udach, wąskiej talii i wypiętych dumnie piersiach, które niczym nie skrepowane podskakiwały pod jedwabną bluzką.

Samochód zjechał z twardej nawierzchni szosy na miękką wiejską drogę. Charlie oblizął suche wargi i zastanawiał się, co przyszłość może mu przynieść. „Zrób, co tylko będziesz w stanie uczynić”, pisał do niego wuj Roger. I nagle ta sugestia nabrała figlarności, przyjemnych perspektyw.

Znowu wyjrzał przez okno. Okazało się, że słynne płaskie równiny stanu Kansas nie były wcale takie płaskie. Wzdłuż wschodniej granicy terytorium, gdzie rzeka Missouri toczy swe żółtawe wody, było dostatecznie dużo wzniesień, aby utworzyć całkiem przyzwoitą górę.

Kilka kilometrów na zachód, w sąsiedztwie miast: Manhattan, Topeka, Cottonwood Falls, ziemia też była przyzwoicie pofalowana. Limuzyna wiozła ich po południowej krawędzi tych wzniesień, w kierunku prerii zwanej Kamienne Wzgórze.

W pewnej chwili minęli splukany deszczem znak przydrożny: Bar Nine. Kilka dobrze wypasionych krów podniosło na chwilę łby, gdy mijał je samochód. Rasa hereford, Charlie rozpoznał je okiem znawcy. A dalej dostrzegł kilka sztuk teksańskich longhornów. Po chwili podjechali do ranczerskiego domostwa, wzniesionego z miejscowego kamienia, do budowli, która liczyć sobie mogła sto lat z okładem. Samochód gwałtownie zahamował, kobieta przestraszona ocknęła się w ramionach Charliego. Zza stodoły, stojącej obok domu, wypadła para psów gończych, ujadając głośno.

- Wybacz mi - powiedziała niepewnie, odsuwając się od mężczyzny tak daleko, jak tylko mogła.

- Nie potrzeba żadnych usprawiedliwień - odparł, uśmiechając się. I to był jego pierwszy błąd taktyczny. Jej rysy stwardniały.

- Zapewniam, że nic podobnego nie powtórzy się więcej - rzuciła przez zęby. Popatrzył na nią ciemnoniebieskimi oczami i, postanawiając być nadal grzecznym, powiedział:

- Tak, proszę pani.

- I nie mów do mnie wciąż „proszę pani”. Nazywam się Hammond.

- Rozumiem - powiedział z powagą. - Dodam tylko, że tam skąd pochodzę, uważa się za niegrzeczne, jeśli ktoś zwraca się do kobiety, używając tylko jej nazwiska. Bez imienia i ewentualnego tytułu.

To pierwsza oznaka buntu z jego strony, pomyślała Rachela. Gdybym była rozsądna, natychmiast pozbyłabym się go. Ale myślę, że w tym przypadku opłaci się być nieco ugodową. Ten jeden jedyny raz.

- W porządku - zaakceptowała jego wywód. - Możesz mi mówić Rachela. A jakie jest twoje nazwisko?

Odpowiedź miał na końcu języka, ale właśnie w tej chwili szofer otworzył tylne drzwi limuzyny i psy natychmiast podbiegły bliżej. Suka, będąca w średnim wieku, przysiadła przy drzwiach, cicho skomląc. Drugie zwierzę, samiec, miało około roku. Pies tryskał energią, wiercił się niespokojnie.

- Siedzieć, Blue! - Rachela wydała komendę, gdy zwierzę wśliznęło się do wnętrza wozu i próbowało polizać swą panią. Powiedziała to jednak z wyraźną sympatią w głosie.

To pierwszy przejaw przyjaznego odniesienia się jej do czegokolwiek, pomyślał Charlie i wygramolił się z limuzyny, co nie było łatwym zadaniem dla mężczyzny jego postury. Starszawa suka obwąchała go dokładnie i akceptująco machnęła trzy razy ogonem.

- Henrietta zatwierdza cię - powiedziała Rachela na wpół żartobliwie - co jest dobrym znakiem. Ona zna się na ludziach.

- Cieszę się, że ktoś mnie lubi od pierwszego wejrzenia - skomentował Charlie i nachylił się, żeby pogłaskać psa. Ale Henrietta ostrzegawczo warknęła.

- Rozumiem - powiedział śmiejąc się. - Merdać ogonem to jedno, ale godzić się na pieszczoty, to zupełnie coś innego. Czy nie sądzisz jednak, Henrietto, że byłoby to uczucie połowiczne?

Rachela przez sekundę wydawała się zaskoczona sensem słów mężczyzny, ale zapanowała nad wyrazem swej twarzy.

- Wejźmy do domu - powiedziała, wskazując na szerokie drewniane schody, prowadzące do frontowej werandy.

- Wygląda na to, że nikogo tu nie ma - mruknął, idąc za nią.

-Tak jest rzeczywiście, Charlie... - powiedziała, robiąc po imieniu wymowną pauzę, w którą on, według panującego zwyczaju, powinien wpasować swe nazwisko. Ale mężczyzna jakby nie dostrzegął potrzeby prezentacji. Wytrąciło ją to z równowagi i delikatny rumieniec pojawił się na jej policzkach. Odsunęła Charliego na bok i pierwsza weszła do domu. Frontowe drzwi prowadziły wprost do ciasnego saloniku.

Rachela poczuła potrzebę wytłumaczenia tej ciasnoty.

- W Kansas w okresie zimowym bywa chłodno. Dlatego w naszych domach na wsi pokoje są małe i niskie. Może usiądziesz na kanapie, Charlie. - Nie była to propozycja, lecz raczej forma delikatnego rozkazu, któremu on, w jej przekonaniu, powinien się podporządkować bez wahania. Charlie zatrzymał się jednak w pół kroku i rozglądał dookoła. Stary kominek był zamurowany, a w jego wgłębieniu stał piec w stylu Bena Franklina. Tapety na ścianach były czyste, ale jakże nieciekawe. Meble znajdowały się w niezłym stanie, trąciły jednak myszką. Sięgały wyraźnie końca ubiegłego wieku. A dywan na podłodze z całą pewnością przeżył wiele deptających go butów. Być może miał kiedyś kolor ciemnego bursztynu. Na jednej ze ścian wisiał portret mężczyzny o surowym wyrazie twarzy.

- Czy to twój ojciec, Rachelo?

- Dziadek - odpowiedziała. - Mój ojciec uważał, że wszelkie malowidła są stratą czasu i pieniędzy. Proszę, usiądź - wskazała mu kanapę, ale on wybrał stojący obok klubowy fotel i zagłębił się w nim z westchnieniem ulgi.

Charlie przez cały czas przyglądał się kobiecie z uwagą. Nie miał wątpliwości, że wzrastało w niej wewnętrzne napięcie i że chciała mu powiedzieć, iż nie jest tym typem kobiety, która potrafi wyczekiwać stosownej chwili. Zmienił więc swą taktykę, przynajmniej na jakiś czas i pospieszył z pomocą.

- Sądzę, że chcesz mi coś powiedzieć?

Rachela westchnęła głęboko i opadła na sofę, prostując odruchowo fałdy spódnicy.

- Tak, chcę powiedzieć, że miesiąc, który mamy przed sobą, będzie rodzajem testu, próby dla ciebie i dla mnie. Próby lepszego poznania się. Są jeszcze inni ludzie na tym ranczu. Ale będą się trzymali z dala od nas. Tylko pani Colchester będzie się pojawiać, żeby przygotować nam posiłki. Jest trochę krów w okolicy i dość wszelkiej innej pracy, aby dać nam zajęcie na całe dni. Ale nie jest to ważne dla samego testu. Niezależnie od pani Colchester, sami będziemy musieli zadbać o wszystko.

- Ale kto z nas, twoim zdaniem - zapytał Charlie - ma być przedmiotem tej próby, owego sprawdzianu?

Przelotny rumieniec pojawił się znowu na jej twarzy, ale tym razem utrzymał się dłużej.

- To się dopiero okaże - odparła.

- I to wszystko, co na ten temat usłyszę?

- Och, nie! - zaprzeczyła Rachela. - Jeszcze jedno powinienesz wiedzieć. Jeśli test będzie przebiegał zadowolająco, a ty spełniesz wszelkie warunki, będziesz dostawał po tysiąc dolarów tygodniowo. Wyobrażam sobie, że miesiąc wystarczy na zakończenie tej, że tak powiem, próby.

Dość tych uników, marnowania czasu, młócenia słomy, pomyślał Charlie Mathers. Uniósł się z fotela i stanął przed nią.

- Sądzę, że mogę ci zaoszczędzić dwa lub trzy tygodnie twego cennego czasu i być może parę tysięcy dolarów - stwierdził i uniósł ją z sofy.

- Co robisz? - wykrzyknęła zaskoczona.

- Wyznaję jedną zasadę - odparł bez pośpiechu. - Gdy dwoje ludzi chce się do siebie zbliżyć, to odległość między nimi musi być naprawdę mała. I żadne gadanie nie jest tu potrzebne. A tylko mała odległość... o, taka.

Trzymał ją za rękę, a ona patrzyła mu w oczy. Posłał jej jeszcze jeden z tych swoich uśmiechów bez wyrazu i przyciągnął kobietę zdecydowanie do siebie. Omalże odbiła się od jego torsu. Ale natychmiast pochwycił ją znowu za ramiona, tak że nie zdołała mu się wyśliznąć.

- A teraz krok dalej - powiedział miękko. Gdy jego głowa pochyliła się nad nią, Rachela wydała z siebie płaczliwy pisk. Przycisnął więc dziewczynę do siebie jeszcze mocniej. Miękkie usta dotknęły jej warg, a potem powędrowały ku łukowi szyi. Próbowwała odzyskać oddech i coś z siebie wykrztusić.

- Nie rób tego... - zaczęła, ale znowu przywarł do jej ust, jakby odciskając na nich swą pieczęć.

Charlie wyczuł jej zaskoczenie, zdumienie, strach. Zwolnił nacisk na jej usta i wyszeptał:

- Wszystko będzie dobrze. Odpręż się, może ci się to spodoba - po tych słowach znowu pocałował ją. Rachel była wciąż w szoku, ale nagle poczuła, jak po plecach, wzdłuż kręgosłupa zaczynają jej biec dziwne, gorące prądy. Zamroczyło ją to, uczyniło nieczułą na cały świat zewnętrzny. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. I zwiła bezwładnie w jego ramionach.

Charlie zmniejszył odrobinę nacisk swego muskularnego torsu. Ale ramionami nadal mocno ją obejmował. Dziewczyna z trudem oddychała. Ułożył ją na sofie delikatnie, jakby była porcelanową lalczką.

- Jestem pewny, że w ten sposób oszczędziliśmy przynajmniej tysiąc dolarów - zauważył cicho, nie bez ironii. - Czy chcesz zaoszczędzić jeszcze raz tyle samo?

- Nie - szepnęła, a potem krzyknęła ze wszystkich pozostałych jej sił: - Nie! Ty cholerniku! Nie!

- Okay, okay - gestem rąk starał się ją ułagodzić. - Nie przeżywaj tego tak głęboko, Rachelo. To był tylko eksperyment, właśnie próba. Nic więcej. Jeśli ci się spodobała, możemy ją kiedyś powtórzyć. A jeśli nie, to powiedz tylko słowo i już wracam do miasta.

- Ja... nie - zająknęła się.

- Przepraszam, ale o które „nie” chodzi? Nie mam wracać do miasta, nie mam całować?



- Po prostu nie! - wyrzuciła z siebie i, wciąż oszołomiona, z trudem uniosła się z sofy. Przyszedł jej nagle do głowy kolejny frazes ojca: „Jeśli chcesz górować nad ludźmi, musisz stawać przed nimi twarzą w twarz”.

Gdy jednak zbliżyła się do niego, jak ojciec nakazywał, poczuła, że cała drży. Aby się opanować, zacisnęła dłonie w pięści, ale... ręce zwisały jej nadal bezradnie. To był tylko zwykły pocałunek, sama siebie pospiesznie przekonywała. Tysiące kobiet są przecież co chwila całowane, w różnych okolicznościach i na ogół bez poważniejszych następstw. Muszę się uspokoić! Policzyć do dziesięciu, opanować oddech, a potem zwolnić go, wyrzucić. Ale... ale czy chcę tego naprawdę? Jeśli jest to mężczyzna wybrany z setki kandydatów, to nie powinnam go utracić. Przecież nie zajmie wiele czasu uzyskanie od tego... siłacza... tego, co jest mi potrzebne. A potem odprawię go z kwitkiem i zapomnę na zawsze. Jeszcze tylko dwa głębokie oddechy. W tym momencie stała już tak blisko mężczyzny, że jej piersi ocierały się znowu delikatnie o jego tors. Gdy zdała sobie z tego sprawę, oblała się po raz kolejny rumieńcem i odrobinę cofnęła.

- Jasne jest dla mnie - powiedziała już w miarę spokojnie - że poruszasz się po omacku w tej sytuacji i nie rozumiesz, o co właściwie chodzi. Nie byłabym także zdziwiona, gdyby mi ktoś powiedział, że w Teksasie twoje postępowanie byłoby dobrze przyjęte.

Charlie stał z rękoma w kieszeniach, z głową lekko przechyloną i z szerokim uśmiechem na twarzy. Ale chodziło jeszcze o coś więcej, pomyślała Rachela. Spójrz mu w ciemnoniebieskie oczy. W jego głowie pracuje coś na kształt komputera. A swoją drogą, jak, na Boga, ten

człowiek mógł przejść przez jej długi proces selekcjonowania?

Zakaszła parę razy, żeby ukryć zakłopotanie.

- Ale tutaj, w stanie Kansas, nie postępujemy tak jak ty - dorzuciła szybko.

- Być może dałem się nabrać - powiedział Charlie i zaśmiał się cicho. - Jak się wydaje, w tej części Kansas jest ogromnie dużo naiwniaków.

- Przestań! - Rachela próbowała tupnąć nogą, ale gruby dywan stłumił efekt.

- Rozumiem, pani Hammond - powiedział i sięgnął ręką, aby zetrzeć małą łzę, która pojawiła się w kąciku jej oka. - Naprawdę rozumiem. Nie chodziło o taki rodzaj testu, prawda?

To odezwanie sprawiło, że poczuła się jakby płynęła po rwącym strumieniu, ale bez wiosła. Kłamstwo nie było jej codzienną bronią, ale co, zgodnie z prawdą, miała mu odpowiedzieć? Przecież to był dokładnie ten rodzaj testu, jaki zaplanowała.

- Wybacz mi - powiedziała z nagłym pośpiechem - ale zapomniałam zupełnie o kawie. Proszę, usiądź, panie... Charles.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia rano Rachel Hammond wyszła niepewnym krokiem na werandę. Przetarła ręką zaspane oczy. Zwykle nie potrzebowała więcej niż parę godzin snu. Ale tego ranka jej organizm nie działał jak należy. Przeciągnęła się, jakby chciała być wyższa niż Pan Bóg ją stworzył. Poczła ostre swędzenie pośrodku pleców. Próbowwała usunąć je, ocierając się o słup podtrzymujący werandę. Ale bez powodzenia.

- Jeśli będziesz drapać się tak dłużej, powbijasz sobie drzazgi w plecy - usłyszała głos za sobą. Odwróciła się gwałtownie. Charlie Mathers wyglądał na potężniejszego, przystojniejszego i bardziej... niebezpiecznego niż poprzedniego dnia. Swą przydatność udowodnił natychmiast, sięgając ku jej plecemu i podrapując ją niemal dokładnie w miejscu swędzenia.

- Odrobinę niżej - wyszeptała Rachel i zamruczała jakby w ekstazie. W efekcie doszło między nimi do kolejnego, niespodziewanego dla niej, fizycznego zbliżenia.

A tym razem, na dodatek, nie jestem należycie ubrana, pomyślała. Koszula nocna nie jest przecież... Ale poczuła się tak diablo rozkosznie, że mimo woli przybliżyła się do niego jeszcze o ćwierć kroku.

Sens życia mierzony jest w milimetrach, a nie centymetrach. Cóż mogło się jednak zdarzyć ponad to, że poczuła delikatne dreszcze, przebiegające wzdłuż kręgosłupa? Piersi jej nabrzmiały, sutki stwardniały i ten milimetr, który ich jeszcze przed chwilą dzielił, zniknął.

- Och, Boże - szepnęła.

Teksańczyk coś powiedział, ale sens jego słów nie dotarł do niej w ogóle.

- Błyskawica - zamruczała, przekonana, że gwałtowne światło rozjaśniło nieboskłon.

- Co mówisz? - zapytał, kładąc ręce na jej ramionach i próbując przytulić ją do siebie jeszcze bardziej.

To już zbyt wiele, pomyślała. Albo za wcześnie. I odsunęła się delikatnie.

- Już cię nie swędzi? - zapytał z tą specyficzną ironią w głosie.

- Nie, już nie! Dziękuję ci bardzo za pomoc - odparła.

- Nie ma za co - powiedział i zaśmiał się cicho.

- Zawsze do twoich usług, gdy tylko będziesz mnie potrzebowała.

Wiesz co? Myślałem, żeby pójść do stajni i zobaczyć, co się tam dzieje. Czy chciałabyś mi towarzyszyć?

Serce mówiło jej, że tak, lecz rozsądek nakazywał coś innego.

- Nie w tej chwili - powiedziała. - Najpierw zjem coś i ubiorę się. Dołączę do ciebie niedługo. Może przejedziemy się konno. Jak rozumiem, ty jeździsz?

- Na wszystkim, co ma cztery nogi - odparł. - Urodziłem się w siodle, można powiedzieć.

- To był niemały wyczyn - zamruczała z sarkazmem. - Dla twojej matki nie było to chyba szczególnie wygodne. A teraz wybac mi, panie... Charlie.

Zasalutował jej dwoma palcami, jeszcze raz uśmiechając się szeroko. Rachelą zniknęła za wejściowymi drzwiami. A potem przez

chwilę obserwowała go spoza lekko rozchylnych muślinowych zasłon. Znowu wydał się jej wielki, mocny, pewny siebie. Jego sposób poruszania się świadczył o tym. Tacy mężczyźni nigdy dotychczas nie znajdowali się w kręgu jej znajomych. A ranczo, w jej wyobrażeniu, było dotychczas czymś w rodzaju klasztoru. A teraz pojawił się ten mężczyzna! On! Co, do diabła, sprawiło, że jej doradczynie umieściły go na pierwszym miejscu listy kandydatów? I co ona ma teraz uczynić? Uznać go za nie nadającego się do trudnego zadania i polecić, aby spakował manatki? Czy też poddać go dłuższej próbie, ale tak, żeby nie poparzyć sobie palców? Przymknęła na chwilę powieki i natychmiast niedawne przeżycia stanęły jej znowu przed oczami. Głosuję za tym, żeby go zatrzymać, pomyślała i uśmiechnęła się przewrotnie do siebie. A potem zasiadła do śniadania, znacznie większego niż zwykle.

- Masz tutaj kilka bardzo fajnych koników - powiedział Charlie, wyprowadzając z przegrody zgrabną klacz. - Jest w dobrej formie, ma ładne pęciny. Jej lewa podkowa jest jednak nieco starta z jednej strony. Czy chcesz, żebym osiodłał klacz dla ciebie?

Rachela Hammond miała już dość czasu, aby odzyskać swój wiecznie zły humor.

- Jak widzę, możesz także wystąpić w roli kowala? - Była już stosownie ubrana. Miała na sobie błękitne dżinsy wetknięte w buty z cholewami i luźną czerwoną bluzkę, odpiętą pod szyją. W dekolcie miała przewiązany niebiesko-czerwony szalik. Ogromny biały kapelusz skrywał wszystkie jej piękne loki.

Charlie uśmiechnął się do niej od ucha do ucha, co zawsze ją drażniło, ale tym razem ze szczególną intensywnością.

- Lubię sobie radzić ze wszystkim, co mi w rękę wpadnie - powiedział, a potem miał czelność otaksować ją spojrzeniem od góry do dołu, jakby była okazową jałówką. - Mam więc osiodłać tego konia?

Rachela z przyjemnością odrzuciłaby propozycję, ale siodło w stylu zachodnim, którego używała, było bardzo ciężkie. Pomyślała więc, że jest jakaś sensowna granica między pragnieniem zemsty i ewentualnością nabawienia się przepukliny. Tak zawsze mawiał jej ojciec. O Boże, jak ona delikatnie traktowała tego mężczyznę i właściwie nie wiadomo dlaczego.

- Osiodłaj - wyszeptała na koniec i szybko odwróciła się plecami, żeby nie zdołał czegokolwiek wyczytać z jej twarzy.

Był szybki we wszystkim co robił. I podśpiewywał sobie przy tym. Czyli jeden plus, ale też jeden minus. Sama nie miała słuchu i drażnili ją ludzie, którzy wyżywali się w nuceniu modnych melodyjek. Po chwili dosiadła konia z lekkością, którą można było tylko podziwiać.

- A ty nie stój tam jak kołek, kowboju! - zawołała. Uśmiechnął się szeroko jeszcze raz i z podobną gracją sam usadowił się w siodle.

- Tak jest, szanowna pani! - odkrzyknął.

- Mówiłam ci już, żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób - prychnęła i skierowała konia ku wiejskiej drodze.

- Tak jest, szanowna pani - wyrzucił z siebie nie bez ironii, nie zwracając uwagi na jej słowa.

Rachela, wewnętrznie wzburzona, uznała się za pokonaną i nie zareagowała. Dała ostrogę koniowi i pocwałowała przez pola. Blisko domu ziemia była brudna i zachwaszczona, jak na wszystkich ranczach.

Ale kilkanaście metrów dalej rozciągały się już pola pokryte zielenią i różnokolorowymi kwiatami, tworzącymi prawdziwą prerię.

- Nigdy w Teksasie nie widziałem takich wspaniałości - powiedział z uznaniem. Wstrzymał na chwilę konia, zsunął kapelusz na tył głowy i dorzucił z zachwytem: - To jest coś!

Przyznała mu rację. Cała okolica, jak daleko okiem sięgnąć, mieniła się kolorami i to ją zawsze zachwycało. Jeśli teraz ta prosta dusza czuła to samo, mieli wreszcie coś wspólnego, pomyślała.

- Nie ma zbyt wielu podobnych miejsc w całym kraju - powiedziała głośno. - Kamienne Wzgórza są największym obszarem prerii na Zachodzie. Gdy pierwsi osadnicy przybyli w te strony, wszystko było bezkresną prerią. I wtedy rozlokowały się tu wyłącznie posiadłości ranczerskie. Mój dziadek pamiętał, jak trawy sięgały grzbietu końskiego. Ale około roku 1836 ktoś sprowadził na te tereny stalowy pług. Wgryzł się on w ziemię na tyle głęboko, że Kansas stało się obszarem uprawy roli. No, może z pewnymi wyjątkami. Dzisiaj można tu zobaczyć wielkie pola pszenicy i kukurydzy, ale również szyby naftowe i obszary zajęte przez fabryki. I tylko od czasu do czasu znajduje się jakiś mały fragment dawnej prerii. Nazwa tej okolicy wyjaśnia, dlaczego tak się stało. Kamienne Wzgórza! Nawet stalowe pługi nie mogły przebić się przez tę skalistą ziemię. Ale dzika trawa radziła sobie jakoś.

- Masz rację - powiedział. - Gdy tu jechaliśmy, spodziewałem się, że zobaczę rozległe pola wysokiej kukurydzy, natomiast nie sądziłem, że nie ma tu nawet jednego drzewa.

Jak to jest możliwe, pomyślała Rachela, żeby tak grubo ciosany mężczyzna przeżywał do tego stopnia to, co widzi. Jakże zmienną ma twarz, na której wszystko się odmalowuje. Chwilami zastanawiam się, czy to nie jest po prostu udawane?

- Jak ci powiedziałam - Rachela znowu podjęła swój wykład - dzisiaj są tu obszary rolne i uprzemysłowione, a także zajęte przez armię. Królują również tornada, no i trawy tworzące prerię. A drzewa oznaczają śmierć prerii. Zakłócają klimat gleby. To jest bardzo delikatna równowaga. Pojedź bardziej na Zachód, a zobaczysz pojawiające się drzewa, co oznacza powolne rugowanie prerii.

Charlie ściągnął cugle i zeskoczył z konia. Zobaczyła, jak obcasem buta rozgrzebuje ziemię. W pewnej chwili, gdy podkuty but otarł się gwałtownie o litą krzemioną skałę, pojawiła się mała iskra.

-I to jest właśnie powód, dla którego stalowe pługi nic tu nie wskórały. I dlatego w tej okolicy uprawa roli nie przyjęła się. Powtarzam, że polne trawy radzą sobie w tym środowisku nie najgorzej. Jeśli tylko nie będziemy nadmiernie ich wypasać... preria przetrwa jeszcze długie lata. Ale ruszajmy stąd, panie Teksaszczyku. Zobaczymy, co potrafisz!

Rachela nie miała na butach ostróg. Wystarczyło jednak, że lekko dotknęła obcasami boków klaczy, a ta ruszyła galopem. Charlie pospiesznie dosiadł swego konia, który, nawet nie ponaglany, zaczął gonić za klaczą. Był od niej znacznie większy i szybszy i po chwili jeźdźcy niemal ocierali się o siebie.

- Myślę, że teraz podejdziemy do zagrody - oświadczyła Rachela, gdy oboje zeskoczyli z siodeł. - Będziesz miał szansę pokazać, czy dasz



sobie radę ze złapaniem na lasso i spętaniem jednego z młodych byczków.

- Chcesz powiedzieć, że mam się uporać z jednym z tych longhornów, ja sam i to w tej ciasnej zagrodzie?

- Właśnie o to mi chodzi - to mówiąc otrzepała niedbale kurz ze swych dżinsów. Klacz prychnęła i nerwowo cofnęła się kilka kroków, lecz dziewczyna bez trudu przytrzymała konia. - Czyżbyś miał jakieś obawy?

- Nie jestem zawodnikiem, bawiącym się w rodeo - powiedział miękko i wskakując ponownie na konia, dorzucił: - Masz cholerną rację, że boję się. Tylko głupiec podjąłby się tego. A mój tata nie wychował ani jednego durnia, szanowna pani. Na otwartej przestrzeni, gdzie jest dużo miejsca i gdzie byłoby więcej sztuk bydła, to co innego. Ale w tej sytuacji... nie, dziękuję pięknie za tak atrakcyjną propozycję.

Nim zdołała coś dorzucić, Charliego już nie było. Dopiero po chwili znalazła właściwe słowo, ale gdyby wypowiedziała je przy matce, dostałaby tęgiego klapsa. Powtórzyła je więc jeszcze raz i zawróciła w kierunku rancza.

Spotkali się wieczorem przy kolacji. Charlie obrzucił ją taksującym spojrzeniem i pomyślał, że wystarczyło odjechać parę kilometrów od Libertyville, aby zaczęła się powoli zmieniać. Włosy miała upięte w klasyczny kok, jej kobiece kształty maskował raczej męski, dwurzędowy garnitur. Mimo to emanowała z niej kobiecość. Nie miała już na twarzy tej nie skrywanej chęci dominowania nad otoczeniem, komenderowania nim. Było sporo podobieństwa między nią i portretem dziadka, wiszącym na ścianie. Z drugiej jednak strony nie

robiła wrażenia osoby zajmującej się wyłącznie biznesem, osoby o nieokreślonej płci... W tym momencie stała przy nieczynnym kominku, ze szklaneczką martini w ręku.

- Spóźniłeś się dziesięć minut - powiedziała lodowatym tonem, spoglądając na zegarek i jednocześnie pociągnęła łyk alkoholu.

- Jest ósma trzydzieści pięć - odparł, sprawdzając czas na własnym zegarku. - Rzeczywiście spóźniłem się i ogromnie przepraszam. Ale tylko pięć minut. - W tym momencie wielki, stojący w holu zegar dziadka wybił pełne pół godziny.

- A więc oboje myliliśmy się - stwierdził chichocząc, podszedł do niej i klepnął ją pojednawczo po ramieniu. Ale ona pociągała w tej samej chwili kolejny łyk trunku i od razu zakrztusiła się. Ostry kaszel zatamował jej oddech. Twarz zrobiła się czerwona. Charlie pospieszył natychmiast na ratunek. Obrócił dziewczynę plecami do siebie, objął ramionami i gwałtownie nacisnął jej klatkę piersiową. Dało to dobry skutek, drogi oddechowe Racheli udrożniły się znowu. Niestety, część alkoholu wytrysnęła przez półotwarte usta. i opadła na stojącą przed nią sofę.

- Zobacz, co zrobiłeś - wyszeptała ze złością.

- Ale przyznasz chyba, że lepiej poplamieć mebel niż zadławić się na śmierć?

- To jest jednak bardzo cenny egzemplarz - wyszeptała przez zdławione gardło, choć miała ochotę wykrzyknąć.

- Czyżby? - wycedził. - Wygląda na rocznik 1900. Rachelę chciała się koniecznie uspokoić. Oddychała głęboko, a jednocześnie szybko

myślała. On ma przecież rację. Przed chwilą, być może, uratował mi życie.

Tymczasem ja mam do, niego pretensję, że zabrudził się przy okazji jakiś stary gruchot. Winnam mu przeprosiny. Ale byłby to gest dawno już zapomniany przez Rachelę Hammond. Z drugiej strony wiedziała, że nie może stać przy nim bez końca, mrugając tylko w zakłopotaniu oczami. Powiedziała więc:

- Czy napijesz się czegoś?

Charlie uśmiechnął się porozumiewawczo, co wprawiło ją w jeszcze większe zakłopotanie. O Boże, co ja zrobiłam? Wybrałam mężczyznę, który jest zbyt sprytny dla mnie.

- Chyba strzelę sobie szklaneczkę żytniej whisky.

- A co do niej?

- Zupełnie nic - odparł ze swoim zwykłym uśmiechem. - Mój tatko mówił zawsze, że jedyny sposób, aby się nie upić, to trzymać się jednego trunku i nie zanieczyszczać go domieszkami.

- Twój papcio miał zdaje się wiele do powiedzenia - rzekła i gestem zaprosiła go, żeby usiadł. - A teraz powiedz mi coś o sobie, panie... Charlie. Ale coś istotnego, liczącego się. Na przykład, jaki był twój ojciec?

- No więc, przede wszystkim umarł młodo. W okresie tych cholernych wojen. Natomiast mój dziadek jest wciąż liczącym się człowiekiem. Dużą część życia spędził jako duchowy przewodnik. A potem wycofał się na ranczo i całą duszą zajął się hodowlą krów.

- Był pastorem? - zapytała z sarkazmem w głosie.

- To, co opowiadasz zaczyna brzmieć jak kiepska powieść z Dzikiego Zachodu. Utrzymujesz więc, że twój dziadek był kaznodzieją?

- I to najlepszym z możliwych, moja pani. I jest nim nadal. Ma wspaniały, głęboki, mocny głos. Gdy powie coś o ogniu piekielnym i obejrzyz się dokoła, to odnosisz wrażenie, że płomienie już cię ogarniają. Jego kazania są w starym stylu. Pełno w nich właśnie ognia piekielnego i wiecznego potępienia. Przez lata był kapelanem w armii. Najpierw niedaleko stąd, w Forcie

Riley, potem w Fortcie Leavenworth. Gdy przeszedł z wojska na emeryturę, powrócił do Teksasu i tam też osiedliła się jego rodzina. To twardy człowiek, bojący się tylko Boga. Tak jest, szanowna pani.

Do pokoju weszła pani Colchester. Twarz miała zaczerwienioną, jej biała głowa poruszała się miarowo do przodu i tyłu, jak u dumnie kroczącego gołębia.

- Kolacja podana - powiedziała.

Charlie powstał z fotela i ofiarował swe ramię Racheli. Odtrąciła go jednak.

- Daj spokój tym nonsensom - powiedziała z pogardą i przepłynęła obok niego, w kierunku drzwi. Tak mu się właśnie wydawało... że przepłynęła. Miała na sobie długą spódnicę, model z roku 1890, skrywającą całe nogi i sprawiała wrażenie okrętu wojennego, zmierzającego do portu. A swoją drogą, ten kto zaprojektował spódnicę tak, aby przykrywała te wspaniałe nogi, powinien być przebadany przez lekarza. Z tą myślą i z kwaśną miną Charlie przeszedł do jadalni.

Cały posiłek znajdował się już na stole. Nigdy nie będzie chyba jakiegoś wyszukanego jadła w tym domu, pomyślał Charlie i podsunął Racheli półmisek ze stekami.

- Daj spokój, wszystko mam na wyciągnięcie ręki - prychnęła. Zachowywała się jak ambitny porucznik w swą pierwszą noc na linii frontu i przez chwilę major w stanie spoczynku, Charlie Mathers, chciał ją ostro skarcić. Ostatecznie tylko mrugnął porozumiewawczo i ustawił półmisek w pobliżu jej talerza.

- A z jakiej racji teraz podkpiwasz? - zapytała.

- Niczego takiego nie robię, szanowna pani, to znaczy chciałem powiedzieć, że tylko tak ci się wydaje. Wszystko to przypomina mi pewną sztukę teatralną, którą kiedyś oglądałem.

- Sztukę? Ty oglądałeś sztukę?

- Wyobraź sobie, że nie spędziłem całego dotychczasowego życia na uganianiu się za krowimi ogonami - wycedził przez zęby. - O ile dobrze pamiętam, autorem sztuki był Szekspir... Widzisz, boja chodziłem do szkoły - ironizował. - I to do niezłej.

- Pozwól, że zgadnę. Chodziłeś do Teksańskiej Rolniczej?

- To również była dobra szkoła. Ale ja chodziłem do Metodystów Południa. Do jednej z tych małych wyznaniowych uczelni. Mój dziadek, jak wspomniałem, był kaznodzieją, wobec tego...

- Tak, tak. Rozumiem - burknęła. Pochłaniała ze smakiem wszystko, co było na stole. Stek, ziemniaki, jarzyny. - A co myślisz o dzieciach? - Pytanie to rzuciła nagle i z uwagą czekała na jego reakcję. Ale jak się okazało, temat nie zrobił na nim większego wrażenia.

- Dzieci... - chwilę zastanawiał się. - No więc, nie przywiązuję do nich większej wagi. Jeśli mowa o cudzych dzieciach. Natomiast gdyby chodziło o moje własne, to inna sprawa.

Usłyszawszy to, Rachela aż podskoczyła.

- Ty masz dzieci?

- Nie, w każdym razie nic na ten temat nie wiem. Raz czy dwa razy myślałem, że tak będzie, ale ostatecznie okazało się to fałszywym alarmem. Wiesz jak to jest.

- Nie, nie wiem. Opowiedz mi.

- Coś mi się wydaje, że wyciągasz mnie na jakieś szczególne wyznania. Dlaczego nie powiesz wprost, o co chodzi? Albo może pozwolisz, że ja zadam jedno czy dwa pytania?

- W porządku. Jeśli chcesz coś wiedzieć, pytaj - odparła Rachela i pomyślała, że jeśli tylko on nie dotknie zbyt drastycznego tematu, to ona udzieli stosownej odpowiedzi. Ale co, u licha, dzieje się z nią, zreflektowała się. Jeśli dziadek byłby świadkiem tego przedstawienia, pochwyciłby na pewno za gruby kij i wyłoił jej skórę.

Aby się opanować, zmieniła temat.

- Wydaje się, że pani Colchester chce już zabrać naczynia ze stołu. Przejdźmy może na werandę i tam porozmawiajmy.

To znowu nie jest zaproszenie, lecz raczej polecenie, pomyślał Charlie. Uśmiechnął się po swojemu, pomógł jej wstać i wyszli na przestronną werandę, która z trzech stron otaczała stary, zbudowany z kamienia dom. Dwa wygodne fotele stały przy małym stoliku, na którym dymił dzbanek z kawą.

- A teraz, jakie masz pytania?

- Po pierwsze, u licha, powiedz, jaki jest związek między tym wszystkim... tu dokoła - i Charlie jakby wskazał na krowy porykujące w zagrodzie, na odgłosy nocnych ptaków, fruujących nad nimi, na zapach kwiatów, napływający od prerii - a tym sznurowatym, grzebiącym się we wszelkich brudach magazynem, tam, w mieście? I, jak słyszałem, podobno prowadzisz ten magazyn z wielkim zadowoleniem?

Twarz Racheli na chwilę pokryła się rumieńcem. Łyknęła trochę kawy, co miało ostudzić wzmagające się wzburzenie.

- Pieniądze łączą to wszystko - powiedziała po chwili. - Dziadek zostawił mi ranczo, natomiast po ojcu odziedziczyłam magazyn. On przynosi mi zyski w przeciwieństwie do rancza, tu ponoszę tylko straty. Wolałabym, żeby było wprost przeciwnie, ale tak nie jest.

- Zatem topisz wszystkie swoje dochody w tym ranczu?

- To byłoby zbyt proste - odparła Racheli. - Te aktywa nie należą wyłącznie do mnie. Są też inni posiadacze akcji. A oni jęczą i narzekają każdego roku, gdy mówię im, jak duże straty przynosi ranczo.

Patrzyła na mężczyznę znad kubka kawy. Oczy jej błyszczały.

- I, na Boga, nie zadawaj mi tylko pytania: „Co taka miła dziewczyna, jak ja, robi w tak obskórnym miejscu jak to ranczo”?

- Bynajmniej nie mam zamiaru zadawać głupich pytań, gdyż wiem, jaka jest odpowiedź. Ty, po prostu, nie jesteś miłą dziewczyną.

Kubek zadygotał w jej dłoni i omal nie upadł na podłogę. A więc dopadłem cię, pomyślał Charlie. Kochana, mała dziewczynka chce wyglądać jak sekutnica, jędza, ale nie chce, żeby ją tak nazywać.

Zrobiliśmy zatem pierwszy krok we właściwym kierunku i teraz posuwajmy się dalej.

- Wydaje mi się, szanowna pani, że nie pojmujesz istoty sprawy. Skoro ranczo przynosi straty, a nie magazyn, dlaczego nie zatrudnisz jakiegoś sprytnego faceta, aby prowadził to gospodarstwo i na wstępie usunął kilka jego słabych punktów? Tak, żeby w miejsce strat pojawiły się zyski? Jest to na pewno możliwe. Przecież w okolicy są trzy czy cztery inne wielkie gospodarstwa hodowlane i przynajmniej część z nich przynosi zyski.

- Jest ich siedem, jeśli mamy być dokładni - powiedziała opryskliwie i zdecydowanym ruchem postawiła swój kubek na stoliku. - Jak rozumiem, myślisz, że mógłbyś wziąć sprawę w swoje ręce? - zapytała.

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, abym był najlepszym kowbojem w tej okolicy. Ale przyznam się, że widzę tu parę problemów, nad którymi warto pomyśleć.

Wyraźnie wkradał się między nich chłód. Nie taki arktyczny, niesiony falą od bieguna północnego, charakterystyczny dla środka zimy, ale chłód emocjonalny. Rachela Hammond gdzieś się rozpląnęła, jej miejsce zajęła pani Hammond, dyrektor.

- Podaj mi parę przykładów - powiedziała tonem kategorycznym.

- To całkiem łatwe - wycodził przez zęby i dorzucił szybko, gdy zobaczył, że ona sięga po papierosa: - Ja sam nie palę i nie lubię, gdy ktoś robi to w mojej obecności. Jeśli więc szanowna pani pozwoli...

Rachela, z papierosem w pół drogi do ust, zeszywniała. Pod każdym innym mężczyzną natychmiast podpałiłaby wielki ogień, tak



żeby popędził od razu z powrotem do Teksasu. Teraz jednak zgasła zapalną i położyła papierosa na popielniczce.

- Sądzisz, że to takie ważne? - zapytała lodowato. Charlie natychmiast pojął, że zaraz zacznie się kolejne starcie. Kobieta wyraźnie zaciskała pięści.

- Tak, jestem przekonany, że to ważne - powiedział. - Czy próbowałaś kiedyś całować dziewczynę, która pali? To smakuje jak... ssanie brudnej ścierki. Chciałem powiedzieć, że...

- Wydaje mi się, że nie mam zwyczaju całować dziewczyn, które palą - przerwała mu - i nim się posuniesz dalej, powiem, że i ja czytałam Szekspira. Miałaś na myśli „Poskromienie złoŃnicy”. Mam rację?

Przyglądał się jej, w przekonaniu, że powie jeszcze coś ostrzejszego. Gdy to jednak nie nastąpiło, powrócił do swego tematu.

- Weź, dla przykładu, bydło rasy longhorn. Jest dzisiaj wielki popyt na rynku na chude mięso, którego ono właśnie dostarcza. Ale z longhornów nie uzyska się dostatecznie dużo wołowiny, trzymając je zamknięte w zagrodzie. Te krowy muszą biegać po pastwisku.

- Masz zupełną rację - wymamrotała. - Spełnić trzeba tylko jeden warunek. Longhorny należy trzymać z daleka od drugiej mojej rasy, herefordów. A do tego niezbędne są kilometry dodatkowego ogrodzenia i dodatkowi ludzie do pilnowania stad. W przeciwnym wypadku longhorny dobiorą się do wszystkiego, co porusza się w zasięgu ich wzroku.

- Tak się nie stanie, jeśli pozbawisz ich rogów. A to nie jest wielkim problemem. Na dodatek trzeba jeszcze oznakować je i już

można by puścić stado luzem. Ilu masz w tej chwili ludzi do wykonania tej pracy?

- Dwóch - powiedziała, ciężko wzdychając. - I tylko na tyłu mnie stać.

- Gdy chcesz zarabiać pieniądze, musisz je także wydawać - rzekł sentencjonalnie. - Dwóch ludzi podola tej robocie, zakładając, że do pomocy będą mieli helikopter.

- Helikopter?! Z trudem utrzymuję głowę ponad wodą, a ty chcesz, żebym zamieniła taniego pastucha na przerażająco drogiego pilota helikoptera? Oszalałeś chyba, człowieku?

Charlie podniósł się od stolika i z góry popatrzył na kobietę. Księżyc był już wysoko na niebie. Wspaniały jak srebrna dolarówka. Jego miękkie promienie usunęły z twarzy Racheli bruzdy powstałe ze zmartwienia i niepokoju. Usunęły też wyraz uporu i srogości. Przypominała małą przestraszoną dziewczynkę. I pomyśleć, że wuj Roger chciał, żebym przyjechał do Kansas - Charlie przypomniał sobie - ponieważ bał się, że coś się stanie, czy już się działo, z tą ostatnią przedstawicielką rodu Hammondów. O co mu mogło chodzić?

- Pełno jest wszędzie pilotów helikopterów - powiedział, zwracając się do Racheli. - Szkolonych do walki w Wietnamie i nad Zatoką Perską. Wszyscy oni wręcz gonią za dolarem.

- Skąd to wiesz?

- Ponieważ jestem jednym z nich, szanowna pani. Założę się, że w każdej chwili mógłbym zwerbować pół tuzina takich chłopaków. Znających się na hodowli bydła, a jednocześnie latających helikopterem. Co ty na to, pani Hammond?

Ona także podniosła się od stolika, przy jego dżentelmeńskiej pomocy.

- Kim ty właściwie jesteś? - zapytała bez złości. - I co, u licha, tutaj się dzieje? Nie wynajęłam cię, abyś był kowbojem, a jednak nim jesteś. Nie potrzebny mi jest brygadzysta hodowlany, a gadasz jak jeden z nich. Nie szukam także pilota helikopterów... Powiedz, kim jeszcze jesteś?

- Zwykłym człowiekiem, szukającym pracy - powiedział to miękko, podobnie jak ona. Podeszła więc bliżej.

- Chciałabym w to wierzyć.

- Uwierz, dla własnego dobra. A przy okazji powiedz, jak to jest? Jeśli nie zamierzasz wynająć mnie do jednej z tych prac, to po co mnie tu w ogóle ściągnęłaś?

Rachela poczuła dziwny ucisk w żołądku. Spowodowany albo tym co Charlie powiedział, albo po prostu samą jego obecnością.

Dziewczyna szybko myślała. Czy on był w stanie sprawić, żeby ranczo stało się dochodowe? Czy można będzie przekształcić „Gossipera” w tygodnik, który ją naprawdę zadowoli? I czy wszystko to wpłynie jakoś na jej główny zamiar? Była tak zaabsorbowana własnymi myślami, że nie zauważyła, kiedy Charlie objął ją ramieniem. Zimny wiatr obniżał temperaturę nocy i ciepło mężczyzny było tym, czego w tej chwili najbardziej potrzebowała. Mimo to jej praktyczny umysł doszedł do głosu. Odsunęła lekko jego ramię, poprawiła bluzkę i spódnicę i odchrząknęła.

- Tak jest, wynajmuję cię - powiedziała.

Charlie zdał sobie od razu sprawę, że zachodziło w niej kolejne przeobrażenie. Miał znowu do czynienia z kobietą nazywaną Hammond. I Bóg jeden tylko wiedział, gdzie podziała się Rachela.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeśli będziesz się trochę interesował ranczem. Głównym jednak celem naszego tu pobytu jest, powtórzę, nasze bliższe poznanie.

- Dlaczego, w jakim celu? - zapytał Charlie. - Uwikłaliśmy się w tę szaradę tylko po to, żeby się bliżej poznać? To przecież nonsens!

Odsunęła się od niego na bezpieczną odległość. Muszę pamiętać, upomniała siebie, że mam dla niego czysto biznesową propozycję. Nic innego, tylko biznes. O Boże, tato. Dlaczego obciążyłeś mnie takim zadaniem?

- Mam tylko jeden cel - powiedziała, zwracając się do Charliego. - Chcę, żebyś stał się ojcem mego dziecka.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wściekle myśli pędziły przez głowę Racheli, gdy wstrząśnięta patrzyła na jego szerokie plecy, znikające w wieczornych ciemnościach. Jeśli miałabym dość siły, zapewniała sama siebie, to pobiegłabym za nim i walnęła go czymkolwiek w głowę. Ale nie mam takiej mocy, w tym rzecz. Jak on śmiał odwrócić się do niej tyłem, bez słowa? Przecież cały dzień zastanawiała się, jak powiedzieć mu o swoim zamiarze wobec niego. I gdy wreszcie zdobyła się na ten krok, on stał spokojnie przed nią, przez chwilę, tylko usta zacisnął i otworzył parę razy, a potem bez jednego słowa, nawet bez krótkiego „tak” lub „nie”, zasalutował jej po swojemu i odszedł dumnym krokiem. Co za bezczelność!

Dopiero po dłuższej chwili naszły ją pierwsze wątpliwości. Może wyjawiała swój zamysł zbyt otwarcie i bezpośrednio? A może, przeciwnie, uczyniła to nie dość jasno? Albo, być może, on oczekiwał czegoś więcej niż tylko zwykłej, niedwuznacznej, biznesowej propozycji? Oczywiście było jedno, że cokolwiek chciał teraz uczynić, zachował to w swych myślach. I nagle przykre, bolące wspomnienia opadły ją ze wszystkich stron.

Jej ojciec utrzymywał całe swe otoczenie w karnym posłuchu. W sposób najgorszy z możliwych. Doprowadził tym jedyne syna do alkoholizmu, a w konsekwencji do śmierci. Potem brutalnie starał się, żeby bojaźliwa, nieśmiała Rachela zastąpiła mu męskiego potomka. Ta nowa rola rozdarła ją wewnątrz. Doszło na koniec do tego, że stała się jakby kolejnym wcieleniem Hammonda, człowieka o kamiennej twarzy, związanego z tygodnikiem „Gossiper”, znanym z fatalnej

reputacji. I tylko w sytuacji najcięższej, i tylko gdy była zupełnie sama, spoza owego Hammonda w spódnicy wyłaniała się dawna Rachel. Żeby nad sobą zapłakać.

Teraz właśnie pojawiły się takie okoliczności. Pani Colchester odjechała do swego własnego domku. A Charlie... jakiś tam... bo przecież nadal nie wiedziała, jakie jest jego nazwisko, odszedł w ciemną noc. Rachel, potwornie znużona, czując się dwa razy starsza, chwiejnym krokiem przeszła do swego pokoju i opadła bezwładnie na łóżko.

Łzy wreszcie ustały i spróbowała wziąć się w garść. Żaden zwykły, pospolity mężczyzna nie będzie nią komenderował. Musi być jakieś wyjście z tego przejściowego niepowodzenia. Tylko jakie?

Zapaliła górną lampę, żeby mogła zobaczyć wyraźnie swe odbicie w wielkim lustrze umieszczonym po drugiej stronie drzwi, teraz zamkniętych. I nagle przeszła ją niespodziewana myśl. Taka, która nigdy jeszcze nie przyszła jej do głowy. Może jednak nie jest dość atrakcyjną kobietą?

Dotychczas myślała, że mężczyźni są zawsze gotowi, gdy tylko kobieta kiwnie palcem. Nawet więcej - z tego, co wyczytała w książkach wyniosła przekonanie, że nie jest potrzebne zaproszenie ze strony kobiety. A poza tym wszelkie prośby były przeciwne jej naturze.

Jeszcze raz przyjrzała się swemu lustrzanemu odbiciu. Nie, nie była piękną, skonstatowała. Brak w niej było czegoś bardziej... męskiego. Przeciwnie, przypominała laleczkę z drezdeńskiej porcelany. W jasnym świetle, padającym z sufitu, sploty blond włosów miały w sobie coś sztucznego. Twarz była zbyt okrągła, a cera zbyt perłowa.

Falszywie doskonała. I te błękitne oczy, teraz podpuchnięte od łez! Powoli zdjęła z siebie ubranie i nadal przyglądała się krytycznie swemu odbiciu. Piersi niepokoiły ją najbardziej. Ojciec żądał od niej, aby rugowała z siebie wszelkie przejawy kobiecości. Gdy przez lata normalnie rozwijała się, on traktował to jako coś najbardziej nienormalnego. I pod koniec jego życia musiała kępować swoje piersi na płasko. Teraz, gdy przyglądała się swej nagiej figurze, kształt i wielkość tych piersi wydawały się niemożliwe do zaakceptowania. Także szczupła talia nie pocieszała jej ani trochę. Patrząc od góry, najpierw ciało zapadało się, aby potem spuchnąć obszernymi biodrami, które wydawały się... Obrzydliwość! Z tą myślą Rachela gwałtownie odwróciła się od lustra, narzuciła na siebie prostą, bawełnianą koszulę nocną i zgasła światło.

Jednak nie mogła mieć nadziei na to, że szybko zaśnie. Sen przychodził tylko po dniu ciężkiej pracy. Minione godziny były wprawdzie pełne napięcia, ale bez fizycznego wysiłku. Nie chciała jednak oszołamiać się pastylkami nasennymi. Przez długie godziny kręciła się więc nerwowo w pościeli, przewracała z boku na bok. Na dodatek dręczyły ją bez przerwy na pół senne, czarno-białe majaki. I dopiero gdy rozległo się pianie koguta w pobliskim kurniku, na godzinę czy dwie przed świtem, była w stanie naprawdę zasnąć.

Charlie Mathers nie należał do ludzi, którzy mają kłopoty z Morfeuszem. Zwykle przez cały dzień pracował lub godnie zabawiał się, a potem łatwo pogrążał się w zasłużonym śnie. Ale śnie lekkim, jakby naskórkowym. Przez wszystkie noce swego dorosłego życia miał włączony tajemny, wewnętrzny budzik, który utrzymywał go w

ustawicznej dyscyplinie. Tym razem nie poszedł jednak od razu do łóżka, lecz wybrał się na długi spacer pod górę, w kierunku zagrody, gdzie stado longhornów ułożyło się już do spoczynku. Gdzieś z oddali, spoza rancza, dobiegł go skowyt kojota.

O co, na Boga, w tym wszystkim chodzi? Charlie zadawał sobie, po raz któryś z rzędu, gnębiące go pytanie. Czy ona powiedziała to, co mu się wydawało, że powiedziała? Ujęła to w słowach, które aby na pewno dobrze zapamiętał? „Chcę, żebyś stał się ojcem mego dziecka”. Niejedna kobieta spośród mu bliżej znanych wysyłała mu sygnały tego rodzaju, ale zawsze w aluzyjny sposób, nigdy w dosłownym brzmieniu.

Ta dziewczyna była szaloną istotą. Czy taką właśnie widział wuj Roger, gdy napisał do siostrzeńca, aby szybko wracał do domu? Oczywiście, służąc w lotnictwie wojskowym, nie można na pierwsze wezwanie rzucić wszystkiego i dołączyć do rodziny. Ewentualnie jedynie generałowie mogą to uczynić, natomiast majorzy na pewno nie. Oni muszą czekać, aż będą mieli w garści wszystkie papiery potrzebne do wystąpienia z wojska. Wtedy dopiero jest czas na powrót w rodzinne strony.

Podchodź do sprawy na zimno, pomyślał i ruszył z powrotem do domu. Po pewnym czasie znalazł się w ciemnym holu i po omacku, dotykając ścian, doszedł do swego pokoju. I do swego łóżka. Nie tracąc czasu szybko pogrążył się we śnie.

O siódmej rano nikt nie pojawił się przy stole, na którym przygotowane było śniadanie. Pani Colchester z dezaprobatą pokręciła głową. Zawsze wiedziała, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć, gdy



kobieta z mężczyzną przebywają pod jednym dachem, a nie są małżeństwem.

Charlie pojawił się w jadalni o godzinie ósmej i sadzone jajka były już zupełnie zimne, owsianka całkiem zakrzepła, a kawa sprawiała wrażenie jakby pokrywał ją biały meszek. Jednak, zdając sobie sprawę, że to jego własna wina, przełknął jakoś jajka, zignorował owsiankę, a kawę wypił nawet ze smakiem. Nie była jeszcze tak całkiem lodowata. Ciągle przecież pamiętał, jak paskudny bywa ten napój, gdy służy się w wojsku.

Rachela pojawiła się dopiero o dziewiątej i wyglądała jakby spadło na nią przekleństwo boże. Włosy szesała na jedną stronę, szlafrok ledwo okrywał nocną koszulę, a oczy nadal pełne były snu.

- Dzień dobry - Charlie powiedział to na próbę.

- Zamknij się - warknęła. - Nikt nie ma prawa mówić do mnie, nim nie wypiję pierwszej kawy. - Potknęła się o nogę stołu i opadła ciężko na krzesło.

Charlie, w przystępie ludzkiego współczucia, nalał jej kubek kawy. Otoczyła go dłońmi, jakby chciała się ogrzać, i upiła łyczek.

- Pięknie zaczyna się ten dzionek! - krzyknęła z wściekłością. - Chcesz mnie otruć? Kto przygotował te pomyje?

- W każdym razie nie ja. Wszystko zastałem już w tym stanie. Ale wydawało mi się, że kawusia smakuje wspaniale.

Rachela z przesadną starannością ustawiła kubek na stole, odgarnęła włosy z oczu i wysyczała:

-Ty... ty...

- Nazywam się Charlie - powiedział z ironią. - Pamiętasz mnie? Jestem Charlie. Zaprosiłaś mnie, żebym spędził miesiąc na tym ranczu, a potem...

- Natychmiast przestań. Ani słowa więcej. Czy jadłeś już cokolwiek?

- Zimne jajka. I były całkiem niezłe, pomijając fakt, że usmażone na smalcu, a nie na maśle. A poza tym...

- Dobry Boże, miej mnie w swej opiece - zamruczała i wzięła z talerza kawałek przypalonej zimnej grzanki. - Posłuchaj, panie...

Charlie. Musimy porozmawiać. Ale nie teraz. Odejdź na razie, proszę, a po lunchu zjaw się w moim biurze.

- Ty jesteś szefem - powiedział i szybko opuścił pokój. W holu natknął się na panią Colchester.

- Czy smakowało śniadanie? - zapytała. Charlie popatrzył na nią badawczo. W jej tonie nie wyczuł sarkazmu, ale nigdy nie wiadomo.

- Tak, kawa była dobra - odpowiedział - ale nigdy nie przepadałem za smażonymi jajkami. I nie wiem, jak Hammond będzie mogła zjeść owsiankę.

Pani Colchester zrobiła co mogła, żeby popatrzeć mu prosto w oczy, okazało się to jednak nieco trudne, zważywszy bardzo dużą różnicę wzrostu.

- Gdybyście przyszli we właściwym czasie - powiedziała z nutą krytyki w głosie - śniadanie byłoby całkiem dobre. A spóźnialskich Pan Bóg karze.

Charlie Mathers, który swoje młode lata spędził w rodzinie pastorskiej, nastawił ucha. Boża kara za to, że ktoś spóźnił się na

śniadanie? To chyba cytat ze Starego Testamentu. Był czas, kiedy znał Biblię na wrywki. Ale to odległe dzieje.

- A poza tym - dorzuciła pani Colchester - jej ojciec nigdy nie pozwoliłby spóźnionej dziewczynie odejść od stołu, nim nie zjadła wszystkiego, co na nim się znajdowało. Był silnym człowiekiem, o twardych zasadach.

- Tak, wyobrażam sobie, że właśnie taki był - Charlie przytaknął.

- Oszczędzisz kija, a zepsujesz dziecko - oświadczyła sentencjonalnie pani Colchester i podreptała do kuchni. Na twarzy miała szeroki uśmiech. Zdziwiło to nieco Charliego, bowiem nigdy dotychczas nie widział jej w takim nastroju. Kręcąc głową wyszedł z domu i skierował się do stajni. Ku swemu zaskoczeniu zastał tam trzech mężczyzn. Jeden z nich podszedł do niego i z wyraźną niechęcią zapytał:

- Kim jesteś, do diabła?

Charlie przyjrzał mu się uważnie. Facet był wysoki, na pół łysy. Twarz miał pokrytą zmarszczkami od długiego przebywania na słońcu i wietrze. Po bliższym obejrzeniu wydawał się niezbyt stary. Był rodzajem człowieka sponiewieranego przez życie, ale na pewno z dużym wyobrażeniem o sobie.

- Pewnie jesteś brygadziwą? - zapytał Charlie.

- Jasne, że tak - odparł nieznajomy. - A ty co tu robisz?

- Och, po prostu przyjechałem z Hammondówną i myślę, że będę tu około miesiąca.

- Hej, chłopaki - brygadziwa przywołał ręką dwu pozostałych kompanów. - Popatrzcie kogo tu mamy? Sympatia pani Hammond.

- Nie wygląda na pieska salonowego - powiedział z ironią jeden z zagadniętych. - Raczej na hydrant przeciwpożarowy.

- Chciałem się tylko dowiedzieć - zaczął pojednawczo Charlie - co się stało z dwudziestoma longhornami, które jeszcze tej nocy były w zagrodzie?

- Och, i to wszystko, co chcesz wiedzieć? Widzę, żeś ciekawski chłopak. Mam rację? A może powiesz, skąd jesteś, chłoptasiu?

- Z Teksasu. A więc co z tymi krowami?

- Na tym ranczu nie było żadnych krów rasy longhorn, przynajmniej od dwudziestu lat - powiedział brygadzysta. - A teraz lepiej będzie, jak wrócisz do domu i zajmiesz się czymś, co zadowoli pannę Rachelę. Jestem pewien, że masz jakieś zajęcia w kuchni. Bo my mamy tutaj męską robotę.

- Na pewno macie - Charlie odsunął się na bok, a oni dosiedli koni i szybko odjechali. Po chwili odnalazł wałacha, którego używał poprzedniego dnia i popędził śladem tamtych trzech. Zwierzę wyraźnie rozpoznało jeźdźca i było zadowolone z rannego galopu.

Preria ciągnęła się aż po widnokrąg, czego nie można było powiedzieć o ogrodzeniu, które otaczało pastwiska, należące do Racheli. Charlie ściągnął wodze, żeby mu się przyjrzeć. Brakowało około pięćdziesięciu metrów kolczastego drutu. I bynajmniej nie leżał on zerwany na ziemi, lecz po prostu zniknął. W wysokiej trawie nie można było odszukać śladu kopyt krowich. Natomiast po drugiej stronie ogrodzenia Charlie łatwo dostrzegł koleiny wyżłobione w ziemi przez jakiś ciężki samochód, który najwyraźniej wracał w to samo miejsce parę razy. Można było także usłyszeć, nadbiegające z oddali,

przytłumione głosy ruchu samochodowego. Przebiegała tam szosa numer 35, jedna z głównych arterii przecinających stan Kansas.

- Popatrz, popatrz, koniku - zamamrotał Charlie - zdaje się, że odkryliśmy coś interesującego. Czas na kolejne spotkanie z Rachelą.

Zawrócił więc konia i skierował się do domu. Gdy dojeżdżał na miejsce, rozległ się właśnie dzwonek na lunch.

Charlie przemył twarz w kubie stojącym przy drzwiach stajni i wbiegł do domu. Wchodząc do jadalni, spotkał się z Rachelą.

- Tym razem jesteś mniej więcej na czas - powiedziała sucho. - Zrozum wreszcie, że cenimy tu punktualność. Parę minut spóźnienia, a odszedłbyś od stołu głodny.

- Przynajmniej nie musiałbym jeść mrożonej owsianki - odparł i usiadł na krześle tuż obok niej, a nie na drugim końcu stołu, gdzie czekało wyznaczone dla niego nakrycie. Te kilka słów wprawiło ją w złość od nowa, ale opanowała się i powiedziała:

- Starasz się być przykry, nieznośny. Nie mam pewności...

- Czy jestem takim mężczyzną, jakiego potrzebujesz - wpadł jej w słowo. - Może więc zaproponuję ci coś, co będę w stanie uczynić dla ciebie.

W tym momencie do pokoju weszła pani Colchester, niosąc tacę i dwa talerze. Znowu nie zapowiadało się na ucztę. Na talerzu postawionym przed nim znalazł skromną kanapkę, przybraną kiszonym ogórkiem. Rachelą wzięła do ręki widelec i odezwała się:

- Chciałeś, zdaje się, coś powiedzieć?

- Myślę, że mogę ci podpowiedzieć, jak to ranczo uczynić opłacalnym. Będiesz wtedy mogła mniej przejmować się magazynem.

- Dlaczego sądzisz, że tygodnik zanadto mnie absorbuje? - Co, na Boga, miałabym robić z wolnym czasem, pomyślała. Bawić się w wyszywanki? Przecież nienawidzę tego. A poza tym, czy ten mężczyzna myśli, że będzie kierować moim życiem?

- Masz tutaj, jak mi się wydaje, brygadzystę do spraw hodowlanych.

- Owszem, mam takiego. Nazywa się Hendrix. Przybył tu jeszcze za życia mego ojca.

- A jak często udaje ci się oderwać od tygodnika i przyjechać na ranczo? Kiedy, na przykład, byłaś tu poprzednio?

- Chcesz powiedzieć, że zaniedbuję to gospodarstwo?

- Nie, nic podobnego. Ale powiedz, proszę, jak często tu bywasz?

- No więc, ustaliłam taką zasadę, że powinnam być na ranczu cztery razy w roku - powiedziała wyraźnie rozdrażniona. - Ale to jest oczywiście teoretyczne założenie. Miniony rok był bardzo ciężki dla tygodnika i nie mogłam się tu zjawić ani jesienią, pod koniec sezonu, ani nawet w okresie Świąt Bożego Narodzenia.

- Oczywiście, jeśli masz zaufanego brygadzystę na ranczu, nie powinno to wywoływać żadnych problemów. Jak mówiłem ci wczoraj, panno Rachelo, mając czternaście lat zajmowałem się ranczem większym od twojego i jeśli zechcesz skorzystać z mego doświadczenia, w czasie gdy tu będziemy, poczuję się zaszczycony. Miesiąc to za dużo czasu dla takiego mężczyzny jak ja, aby mieć tylko jeden cel przed sobą.

W chwili, gdy wypowiedział to ostatnie zdanie, zrozumiał, że palnął głupstwo. „Mieć tylko jeden cel przed sobą”... To musiało zabrzmieć dwuznacznie. Ale Rachelą widocznie nie dostrzegła aluzji,

bowiem ku zaskoczeniu Charliego zastanawiała się wciąż nad jego przeszłością.

- Chcesz powiedzieć, że prowadziłeś ranczo w Teksasie całkowicie samodzielnie?

- Jasne, że nie. Tata pracował na miejscu, mama mu pomagała. A poza tym znajdowało się tam dużo innych osób. Byłem jednak najstarszym dzieckiem w rodzinie... miałem czterech braci i trzy siostry...

- Aż tyle rodzeństwa? - zapytała wyraźnie zaszokowana.

Trafiłem ją w czuły punkt, pomyślał Charlie i zauważył, że oczy jej się rozświeciły.

- Tak, szanowna pani. To była bardzo liczna rodzina i dlatego w gospodarstwie radziliśmy sobie naprawdę doskonale. Aż do chwili, kiedy wszyscy się pożenili i powychodzili za mąż.

- Wszyscy się pożenili?

- Tak, wszyscy z wyjątkiem mnie. Po ukończeniu nauki postanowiłem przewietrzyć się trochę po świecie. Mój brat, Albert, przejął po mnie kierowanie rodzinnym ranczem, a wszyscy pozostali znaleźli pracę w naszej spółce. Moja matka często cytowała starą irlandzką zasadę: „Jeśli nie jesteś w stanie pokonać wroga, to zatłamsz go własnymi dziećmi”.

Widelec wypadł z ręki Racheli z głuchym łoskotem.

- I wszyscy twoi bracia i siostry mają duże rodziny?

- Tak właśnie jest. Nasze zjazdy rodzinne przypominają do złudzenia zloty klanowe w starym kraju. Nie pamiętam dokładnie liczby, ale w pewnej chwili musiałem sporządzić sobie specjalny wykaz

urodzin moich krewniaków i wypadło, że średnio na miesiąc mieliśmy cztery okazje do składania urodzinowych życzeń i związanej z tym zabawy. Ale wróćmy do mojego pytania. Czy chcesz, żebym ci pomógł w prowadzeniu rancza?

Po raz pierwszy tego dnia Rachela wydawała się wniebowzięta. Odpowiedziała mu z ożywieniem:

- Oczywiście możesz mi pomóc w wielu wypadkach. Skończyłeś już swój lunch? A może chciałbyś zjeść coś jeszcze?

Charlie Mathers popatrzył na panią Colchester, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

- Rzecz jasna przegryzłbym jeszcze coś niecoś. Na przykład dwa hamburgery i popił je kubkiem prawdziwej kawy.

Późnym popołudniem spokój panujący dotąd na ranczu został całkowicie zakłócony. Charlie usadowił się w saloniku tuż przy telefonie i przeprowadził już pół tuzina rozmów, gdy nagle usłyszał galop konia, zbliżającego się do domu. Po paru minutach podniesione głosy zaczęły dochodzić z biura Racheli. Wtrącanie się w cudze sprawy czy nawet podsłuchiwanie nigdy nie budziło odrazy w Charliem. Uważał, że gromadzenie możliwie dużej liczby informacji wszelkimi sposobami jest słuszne, jeśli tylko pomoże osiągnąć sukces. Tak w miłości, jak i w biznesie.

Gdy głosy podniosły się jeszcze bardziej, wstał od telefonu i przeszedł do holu. Henrietta skamlała na werandzie, również zaniepokojona awanturą. Drzwi do pokoju biurowego były na wpół otwarte. Charlie bez zdawkowego pytania „czy można?” wszedł do środka. Rachela siedziała za biurkiem, wyraźnie doprowadzona do



ostateczności. Brygadzysta polowy, Hendrix, stał nachylony nad biurkiem, uderzając rytmicznie pięścią w jego blat.

- Posłuchaj - mówił schrypniętym od wściekłości głosem. - Ja tu jestem brygadzystą, ja prowadzę ranczo. Cokolwiek stało się z tymi longhornami jest moją sprawą! Prowadzę to gospodarstwo według wszelkich reguł twojego ojca, przez dużą część twego życia. I komu teraz, Hammondównu, pozwalasz wtrącać się do tego co robię? Mięczakowi, przybłędzie, którego sprowadziłaś nie wiadomo skąd?

Rachela była bliska płaczu. Magazyn prowadziła żelazną ręką, pomyślał Charlie, natomiast nad tym, co działo się na ranczu, nie miała żadnej kontroli. Czyżby dlatego, że i pod tym względem chciała słuchać ojca? Jakże ogromny musiał być jego wpływ na tę dziewczynę! Ale od tego punktu należy właśnie rozpocząć zmiany.

Z tą myślą Charlie podszedł od tyłu do Hendrixa i dotknął lekko jego ramienia. Brygadzysta wyprostował się gwałtownie i obrócił. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, wyższym od Teksańczyka o dobre kilka centymetrów. I ważył zapewne dziesięć kilo więcej. Ale nie miał takiej muskulatury jak Charlie. Hendrix próbował odtrącić jego rękę, ale bez skutku.

- Nie możemy zapominać - powiedział miękko Charlie - że to jest ranczo panny Racheli i ona nim kieruje. Czyż nie jest tak? - To mówiąc, zacisnął palce na ramieniu brygadzysty, a Hendrix aż się skrzywił i wykrztusił z siebie:

- Ty, ty... puść mnie natychmiast!

- Gdy przyjdzie na to pora. Panna Rachela chciała ci powiedzieć, że będę pomagał tutaj na ranchu przez parę tygodni. Prawda, szanowna pani?

- Właśnie tak - przytaknęła Rachela, opadła na krzesło i ukradkiem otarła łzę z oka. - Ma zamiar pomóc tutaj! - Tę drugą część zdania wypowiedziała już znacznie mocniej.

- Po trzydziestu latach zajmowania się ranchem żadna pomoc z jego strony nie jest mi potrzebna! - ryknął Hendrix. - Twój ojciec nigdy nie zrobiłby mi czegoś takiego!

- Ale jej ojca nie ma już między nami - nadal miękkim głosem powiedział Charlie, a jednocześnie jeszcze mocniej zacisnął swe palce na ramieniu Hendrixa.

- Wobec tego ja nie mam zamiaru... - znowu ryknął brygadzysta, ale przerwał w pół zdania. Charlie Mathers puścił ramię przeciwnika, złapał go za klapy kurtki i lekko unióś parę centymetrów nad podłogę.

- Nim ktoś coś powie, czego potem może pożałować, proponuję, żebyśmy obaj wyszli na werandę i tam porozmawiali w cztery oczy. - Brygadzysta nie był w stanie nawet jednym słowem zaprotestować. Machał tylko bezradnie nogami, gdy Charlie, mrugając porozumiewawczo do Racheli, wywlekał go na zewnątrz.

Dziewczyna ponownie opadła na swój miękki fotel i głęboko odetchnęła.

Dlaczego doszło do tej awantury? - zadała sobie pytanie. Ale odpowiedź znała doskonale. Ojciec wpędzał ją w trudne do wyobrażenia sytuacje w redakcji, urabiając ją na swój obraz i podobieństwo. Natomiast nigdy nie chciał przekazać jej kontroli nad ranchem.

Wielokrotnie mówił: „Zajmowanie się magazynami to robota dla kobiet, natomiast prowadzenie rancza to męska praca”. I dopiero teraz Rachela Hammond zdała sobie w pełni sprawę, że filozofia taty była źródłem tak wielu jej utrapień.

Po kwadransie Charlie pojawił się znowu, ale był sam.

- Ja zadałam mu tylko jedno pytanie - powiedziała tonem usprawiedliwiającym. - Nie mogę się zupełnie połapać w tych księgach rachunkowych, powtarzam... zadałam mu więc jedno jedyne pytanie. Zgodzisz się chyba, że właściciel ma prawo do prostego wyjaśnienia? - Uniosła się z fotela z takim wigorem, że uderzył on w ścianę i przewrócił się.

- Oczywiście miałaś zupełną rację - powiedział Charlie, ominął biurko i podszedł do niej z wyciągniętymi ramionami. Rachela, bez chwili wahania, dała się objąć i natychmiast poczuła otaczające ją wspaniałe ciepło. Trwało to dobre parę sekund. Po czym delikatnie odsunęła się od niego. Nie protestował. Podniósł fotel, ustawił na nogach. Rachela usadowiła się wygodnie i znowu głęboko westchnęła.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała cicho.

- Co masz na myśli? Ten uścisk? - Delikatnie uniósł jej brodę i popatrzył głęboko w oczy. - Nigdy cię wcześniej nie ściskano?

- Niezbyt często.

- Ale podoba ci się to? - Usiadł w wielkim fotelu, po drugiej stronie biurka.

-Tak.

- Obejmowanie się ramionami - powiedział belferskim tonem - jest podstawową potrzebą ludzkiej natury. Sama powiedziałaś, że musimy

się dobrze poznać. A nie ma na to lepszego sposobu, niż właśnie obejmowanie się, przytulanie.

- A nie całowanie?

- Nie. Gdyż całowanie tworzy inne, dodatkowe... napięcia.

Przytulanie się to jest to, panno Rachelo. A teraz, powracając do twego pana Hendrixa...

- On... nie jest moim panem Hendrixem, lecz mojego ojca. Co chcesz o nim powiedzieć?

- Utrzymuje, że ty nie masz bladego pojęcia, co to jest prowadzenie rancza. Że twój ojciec nigdy nie pozwalał ci nawet myśleć o sprawach tego gospodarstwa.

- Obawiam się, że taka jest prawda. Chciał, żebym sprawnie prowadziła magazyn, tak aby zdobytymi tą drogą pieniędzmi można było wspomagać ranczo. Natomiast nigdy...

- Dobrze już, dobrze - przerwał jej. - Dzisiaj nie jest to ważne. Każdy może się nauczyć tego biznesu, jeśli tylko ma się dobrego nauczyciela.

-I ty chcesz być właśnie owym nauczycielem? - zapytała i duch przekory, niezależności odezwał się w niej znowu.

- Wszystko będzie zależało od ciebie, panno Rachelo. Już od tej chwili mogę zająć się ranczem. Ty potem ocenisz, czy nadaję się do tego. Jeśli przez miesiąc nie zdołam niczego poprawić, znajdziesz sobie innego człowieka.

- Nie podoba mi się to, co mówisz. Czy mam rozumieć, że pan Hendrix...

- Tak jest, odchodzi - przerwał jej znowu. - Po szczerej rozmowie powiedział mi na koniec, że pracował już tutaj dość długo i ma zamiar wycofać się.

- O mój Boże! Tak sobie, po prostu porozmawialiście i on...

- Powiedział, że „zmywa się”, jak niektórzy to nazywają, już od jutra.

- On pracował przecież na ranczu bardzo długo. Wobec tego należy mu się emerytura, odprawa i inne rzeczy.

Charlie uśmiechnął się w odpowiedzi szeroko i nachylił nad biurkiem, na którym nadal leżały księgi rachunkowe.

- Pan Hendrix - mówił, rozwlekając słowa - pobierał swą odprawę już co najmniej od dziesięciu lat.

- Nie rozumiem.

- Przypomnę ci bydło rasy longhorn - wyjaśniał dalej, stukając jednym palcem w księgę rachunkową.

- Nie wiem, kiedy kupiłaś te krowy, żeby je należycie wypaść i jak długo trzymaliście je tutaj. Ale na koniec sprzedano je. I jestem przekonany, że nie zostało to odnotowane w tej książce. Pan Hendrix i jego dwóch kompanów po prostu zatrzymali dla siebie uzyskane ze sprzedaży pieniądze. Nie masz najmniejszego pojęcia, jak wiele można dzisiaj dostać za dwadzieścia dobrze podhodowanych longhornów. Krowy tej rasy to czyste, chude mięso. W naszych czasach, kiedy ludzie mają bzika na punkcie odchudzania się, w każdym supermarkecie wszyscy domagają się tylko chudego mięsa.

- Masz rzeczywiście rację - powiedziała z przekonaniem. -I zgadza się, że nie mam pojęcia, jakie pieniądze wchodzą w rachubę. - Charlie rzucił więc liczbę. - Wielki Boże - jęknęła zaskoczona Rachela.

- Taka jest prawda. A teraz możemy wezwać szeryfa, żeby zaaresztował pana Hendrixa. Lub też możemy mu dać dobrego kopniaka i pozbyć się go na zawsze. Jeśli zostanie zaaresztowany, wywoła to niemały skandal w okolicy. Jeśli natomiast zastosujemy drugi środek, kłopotów będzie znacznie mniej.

Rachela Hammond nie należała do istot, które długo podejmują decyzję, powiedziała więc krótko:

- Wyrzuc go!

- Już to zrobiłem - rzekł Charlie, jakby od niechcienia, masując jednocześnie kostki prawej dłoni. Dziewczyna przyjrzała im się bliżej. Skóra na całej potężnej łapie była podrapana.

- Nie zraniłeś go chyba?

- Nie bardzo. On początkowo traktował całą tę sprawę jak dobry dowcip. Ale na koniec wytłumaczyłem mu sytuację należycie, wsiadł do swej ciężarówki i odjechał, zabierając ze sobą pomocników, którzy, wyobraź sobie, są jego kuzynami. Gdy zakończyłem już spór z Hendrixem, tamci dwaj nie mieli ochoty dorzucać swych argumentów.

Rachela poczuła ogromną ulgę. Charlie patrzył na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Tak szerokim, że zniknęły zupełnie głębokie bruzdy wokół ust, nadające surowy akcent jego rysom. Teraz wyglądał wręcz przystojnie, atrakcyjnie. Rachela pomyślała sobie, że jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak miłość, to mężczyzna siedzący naprzeciw niej byłby właściwym obiektem!

- A więc, szefowo, co chcesz, żebym teraz zrobił?

- Myślałam, że wszystko już uzgodniliśmy. Teraz ty jesteś brygadzystą, to znaczy kierownikiem, i ty będziesz ustalać, co należy robić dalej. Mam rację?

Charlie po tych słowach śmiał się serdecznie i długo, a potem oświadczył:

- W porządku, będę planował każdy następny krok, ale ty będziesz musiała zatwierdzać go, jako szefowa. Na przykład w tej chwili potrzebujemy nowych pomocników na ranchu. Czy zgadzasz się z tym?

- Okay, wynajmij ich.

- Już to zrobiłem, zjawią się lada chwila.

- Wobec tego musimy przeliczyć stado i przekonać się, ile naprawdę mamy zwierząt.

- Tak jest, w terenie, a nie na papierze. W Teksasie nazywamy to łapanką. Ale do tego potrzebny nam będzie helikopter. Prawdę mówiąc, znalazłem już jedną taką maszynę, niedaleko stąd.

- Jak na początek, dobrze sobie radzisz - powiedziała zdecydowanym tonem. - Ale przypomnę ci, że wszystko, co na razie robisz nie jest głównym celem twojej tutaj wizyty.

Charlie kiwnął głową, jakby godząc się z tym.

- Gdy mówiłam, że chcę, abyś był ojcem mego dziecka, naprawdę tak myślałam. Ale musi się to stać poprzez... sztuczne zapłodnienie!

Słowa te były pełnym zaskoczeniem dla Charliego Mathersa. Zerwał się na równe nogi i jego fotel z trzaskiem przewrócił się na podłogę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez następne trzy dni nic się nie działo na całym ranczu. Również w domu panował niezwykły spokój. Pomijając to, że dwa czy trzy razy Rachela wychodziła do stajni. Pojawiał się tam również nie wzywany Charlie, siodłali konie i pędzili po prerii do utraty tchu. Po południu trzeciego dnia Teksaszczyk pożyczył samochód i wyjechał.

Dzień później nad domem pojawił się helikopter. Zatoczył kilka kręgów, budząc ogromny niepokój w koniach trzymanyh w stajni. Rachela wyszła na zewnątrz. Na czole miała głęboką zmarszczkę. Przed odjazdem Charlie udzielił jej lekcji księgowości i tego ranka wiele godzin spędziła nad książkami rachunkowymi. I nie była zachwycona tym, co z nich wynikało.

Pilot helikoptera wyraźnie szukał płaskiego kawałka gruntu do lądowania. Maszyna osiadła ostatecznie na ziemi, ale nie był to manewr, który mógłby zachwycić znawcę. Śmigła znieruchomiały. Z kabiny wygramolił się Charlie. Rachela podbiegła do niego natychmiast, co wywołało grymas niesmaku na twarzy pani Colchester, przyglądającej się tej scenie. Co się z nią dzieje, pomyślała. Nie poznaję mojej pani.

- Niewiele brakowało, a miałybyście do czynienia z garścią siekanej wątróbki - wymamrotał Charlie, wyraźnie z siebie niezadowolony. - Siedemnaście lat praktyki i wciąż mam kłopoty z poprawnym lądowaniem.

- Daj spokój, Charlie - powiedziała z przymilnym uśmiechem. - Przez chwilę nie wątpię, że jesteś najlepszym pilotem w... Stęskniłam się za tobą.



- Po jednej nocy już się stęskniłaś? - zaśmiał się i delikatnie pogładził ją po policzku. - A najlepszym pilotem jestem w całych Siłach Lotniczych, moja pani. Nasi nowi ludzie powinni się tu zjawić w każdej chwili - dorzucił.

- Już przyjechali - raportowała pani Colchester.

- Dwóch ludzi, dwie ciężarówki, dwie przyczepy, dwa konie. I wszyscy są Indianami. Ja także jestem Indianką, ze szczepu Potowotami.

Charlie przeciągnął się i roześmiał. Po raz pierwszy zobaczył na poważnej twarzy gospodyni coś innego niż dostojałość.

- Czy konie są też Indianami? - zapytał rozbawiony.

- Wiesz, co mam na myśli - kobieta ofuknęła go, przybierając znowu pozę powagi. - Ci ludzie nie wywodzą się z plemion osiadłych w okolicy.

- To są Komancze - wyjaśnił i spostrzegł, że jej oczy z wrażenia zrobiły się okrągłe. - To są Komancze-wojownicy. Lepiej ukryj się gdzieś, mała Potowotami.

- Nie naśmiewaj się z niej - powiedziała Rachela Hammond, która wyraźnie wydorosłała w ciągu tych ostatnich dni. Zdecydowanie lepiej kontrolowała swoje zachowanie i swoje emocje. Dobrze, że już wrócił. Bardzo dobrze, pomyślała. Ale to bynajmniej nie oznacza, że mam mu o tym mówić albo zachowywać się tak, że wyczyta wszystko z mojej twarzy.

Charlie położył ręce na ramionach dziewczyny i obrócił ją pod światło.

- Jak widzę, dzisiaj wyglądasz znacznie lepiej, szefowo. Przebywałaś na świeżym powietrzu?

- Zwinięta w kłębek nad interesującą księgą. Wykazem wydatków i przychodów rancza. Mam wrażenie, że w tej „tkaninie” jest wiele dziur.

- Tak wielkich jak dziury w płocie, okalającym twoje pastwiska. - Gdy Charlie to mówił, wielka ciężarówka przejechała obok i skierowała się ku wzgórzom. Z boku miała napis: „Pontiak, Reperacje Ogrodzeń”.

- To specjalna załoga, która doprowadzi do porządku twoje płoty - wyjaśnił. - Będą mieli dużo roboty. Pamiętasz chyba to stare powiedzenie: Zachód zawojowano przy użyciu rewolwerów i ogrodzeń z kolczastego drutu. Rewolwery nie będą nam potrzebne, ale przyzwoite ogrodzenia, jak najbardziej. Czy jesteś zaprzyjaźniona ze wszystkimi sąsiadami?

- Z większością, tak. Proponuję teraz, żebyś poszedł się umyć. Przeprowadziłam rewolucję w kuchni, ale zasada punktualności nadal obowiązuje.

Charlie objął dziewczynę swym potężnym ramieniem i przytrzymał jej głowę tak, że na jej czole mógł złożyć krótki pocałunek. A potem obrócił się na pięcie i skierował do łazienki. Rachela patrzyła w ślad za nim. Podziwiała jego wydłużony krok, niezmiernie szerokie bary. Pomyślała, że każdej kobiecie by to odpowiadało. I natychmiast uśmiechnęła się do siebie. Bo jednocześnie Charlie nie był przecież ani wysoki, ani czarnowłosy. A właśnie takich kobiety uwielbiają. W sumie nie był specjalnie przystojny, chociaż to zawsze kwestia dyskusji. Rachela dotknęła ręką miejsca, gdzie pocałował ją przed chwilą. To było bardzo miłe, pomyślała... i skierowała się do własnej łazienki.

Oboje pojawili się w jadalni w oznaczonym czasie. Pani Colchester nakryła do stołu bardziej starannie niż dotychczas, włączając w to biały jak śnieg obrus. Zastawa stołowa była również ładniejsza niż ta, do której Charlie zdołał się już przyzwyczać.

- To po mojej babci - wyjaśniła Rachel.

- Zaczyna mnie to niepokoić - powiedział - bo zauważyłem, że ilekroć w restauracji zmieniają porcelanę na lepszą, to zawsze psuje się równocześnie jedzenie.

- Tym razem nie będzie gorsze, lecz po prostu inne - powiedziała również żartobliwie.

I tak też było. Pani Colchester wjechała do pokoju z ruchomym bufetem, na którym znajdował się półmisek hamburgerów, dzbanek dymiącej kawy i niewielki talerz z jarzynami.

- Ale szlagier! - powiedział.

- Rzeczywiście szlagier, tylko że pani Colchester oświadczyła, iż zamierza opuścić ten dom. Twierdzi, że to nie po chrześcijańsku obżerać się wołowiną.

- Oblaskawiłaś ją? Podwyżką czy czymś takim?

- Daj spokój - rzuciła z ironią. - Sprawdzalam książki rachunkowe.

Nie tylko Hendrixowi dobrze się tu wiodło. Powiedziałam jej, że jeśli nie poprawi swych usług i nie podniesie poziomu, to ja ją zwolnię. A teraz co mi powiesz na temat propozycji, którą wysunęłam parę dni temu?

- Muszę najpierw coś zjeść - zaproponował - a potem mam kupę roboty. Trzeba trochę poczekać, Rachelo.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Czy jesteś naprawdę pewien, że wszyscy twoi bracia i siostry mają liczne rodziny?

- Każde z nich, Bóg świadkiem - odparł, sięgając po kolejnego hamburgera.

- I ty nie miałeś w dzieciństwie żadnego... wypadku?

- Raz złamałem nogę - powiedział z niewinną miną.

- Niech cię diabli - zamruczała. - Złamana noga nie miałaby na to wpływu. Oczekuję właściwej odpowiedzi.

- Wszystko w stosownym czasie - powiedział cicho, z ustami pełnymi jedzenia. - Czy to, co mam w gębie, nie jest lepsze od brukwi?

Praca była ciężka. Najpierw helikopter obleciał wszystkie tereny rancza. Rachelę i jeden robotnik z zespołu do naprawiania płotów siedzieli z tyłu maszyny.

- Tam, dalej, widzę jeszcze jedną - powiedział Charlie. Helikopter wykonał nagły skręt i zanurkował jak atakujący jastrząb. Rachelę straciła swój zwykły arogancki chłód i zapiszczała z wrażenia, a potem gwałtownie pobladła.

- Czy musisz to robić? - zapytała rozdrażniona, pochylając się do przodu, żeby uspokoić nerwową reakcję żołądka.

Charlie niedbale rzucił okiem za siebie.

- Nie odwracaj się! - krzyknęła ostrzegawczo.

- Patrz, dokąd lecisz!

- Nie wiedziałem, że masz problemy z żołądkiem - rzekł takim tonem, jakby się usprawiedliwiał. - Czy zlokalizowałeś tę sztukę, Heinz?

- Tak, mam ją. A więc razem jest dopiero sześć. Wydaje się, jakby w ogóle nie było bydła na tym ranczu. Być może większość krówek powędrowała sobie w kierunku Topeki.

- Wątpię - powiedział Charlie. - W środkowej części rancza jest dobra trawa i dużo wody. Bydło nie jest może najbystrzejszym ze wszystkich stworzeń na świecie, ale rzadko zdarza się, aby opuszczało z własnej woli piękne pastwiska. Powtarzam, z własnej woli. A teraz jeszcze jeden nawrót i koniec zadania.

-Może, tym razem, zwolnisz nieco... - poprosiła Rachel.

Charlie obrócił się ponownie do tyłu i przyjrzał się jej. Miała blade policzki, pot na czole i ręce trzęsły się jej nerwowo.

- Masz rację, polecimy wprost do domu, odwaliliśmy już kawał roboty - powiedział, jakby ze współczuciem w głosie.

Przy kolacji Rachel robiła wrażenie bardzo wyczerpanej. Fizycznie, co było u niej rzadkością.

- Czyżby jakaś starodawna, tajemnicza choroba stanu Kansas? - zażartował Charlie.

- Porządki domowe! - warknęła w odpowiedzi. - Nie miałam pojęcia, jak niewiele sprzątno w tym domu w ciągu ostatnich lat. Pani Colchester oświadczyła, że jest kucharką, a nie sprzątaczką. Boli mnie każde miejsce, nawet takie, o którym nie wiedziałam, że w ogóle istnieje.

- Po jedzeniu zrobię ci dobry masaż - obiecał.

- Nie. Dziękuję bardzo - powiedziała, z trudem jednak wyprostowując się na krześle. - Czyżby jeszcze jedna twoja specjalność?

- Tak - odparł z głębokim westchnieniem. - Ale muszę z przykrością stwierdzić, że już ostatnia. Czy to, co jemy, te pyszne kurczaki, są własnego chowu?

- Jak najbardziej. - Jej głos pełen był samozadowolenia. - Uprawiamy i hodujemy wszystko, co jest potrzebne do jedzenia. Z wyjątkiem świeżych warzyw. No i mąki. Ale tę dostajemy od sąsiadów, w zamian za nasze produkty. To ranczo powinno stać się w pełni samowystarczalne.

- Nie obawiaj się - powiedział. - Tak się właśnie stanie. Szybciej, niż ci się wydaje. Gwarantuję.

Następnego dnia Rachela zaproponowała, że uda się z nim razem w objazd pastwisk.

- Nie spodoba ci się to - powiedział, daleki od zachwytu. - Lepiej zostań w domu. Kobiet na ogół nie interesuje praca w gospodarstwie hodowlanym.

- Nie jestem słodką idiotką - powiedziała i wbrew jego zastrzeżeniom osiodłała konia i dołączyła do załogi.

- W pierwszym rzędzie chcemy zgromadzić stado w jednym miejscu - powiedział Charlie. - Nasi ludzie ogrodzili wczoraj kawałek terenu w środku pastwisk. To rodzaj corralu. Zapędzimy tam bydło i zaczniemy robotę.

- Jak należy to rozumieć? - zapytała zaciekawiona. Chciał już jej wyjaśnić, w czym rzecz, ale w ostatniej chwili powstrzymał się.

- Poczekasz, a zobaczysz.

Do południa udało im się spędzić do corralu około pięćdziesięciu sztuk bydła. Pojawiła się pani Colchester. Przyjechała furgonem, który

miał służyć jako bufet. Rachela oparła się o prowizoryczne ogrodzenie i przyglądała swemu porykującemu dobytкови.

- Nie wyglądają źle - stwierdził Charlie. - Starsze sztuki mają po cztery lata i są gotowe do sprzedania. Dokąd je zwykle dostarczacie?

- Najczęściej wozimy je ciężarówkami do Holcombs. Do dużych rzeźni, na zachód od nas.

- Zatem na wstępie sprzedamy dwadzieścia dwie sztuki - powiedział, robiąc jednocześnie odpowiednie nacięcia na kiju, który miał stale przy sobie i który służył mu jako swoisty notatnik. - Czy masz jakieś wyobrażenie, ile na tym zarobisz? - zapytał.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Mogę ci natychmiast przytoczyć wszystkie ceny ogłoszeń w moim tygodniku, natomiast ceny związane z ranczem... Pan Hendrix zawsze się tym zajmował.

- Co z ciebie za posiadaczka? - zażartował. - Jest to wołowina najwyższej klasy. Możesz spodziewać się, że dostaniesz za nią... - Tu padła suma, która oszołomiła Rachelę. Odniosła wrażenie, jakby Święty Mikołaj miał się wybrać po raz drugi w ciągu roku do tej wyżynnej krainy.

- A co się stanie z resztą stada? - pytała nadal dociekliwie.

- Część z niego stanowią całkiem młode sztuki, trzeba je będzie oznakować, a potem... - Charlie nie dokończył zdania, jakby pragnął jej czegoś oszczędzić.

- Chciałeś coś jeszcze powiedzieć?

- Chodźmy jeść, Rachelo - powiedział wymijająco.

- Nie wykręcaj się, to jest moje ranczo. I chcę znać wszystkie szczegóły!

- Masz zupełną rację, ale do tematu wrócimy po lunchu.

Pani Colchester rozpięła tymczasem nad swoim zaimprovizowanym bufetem rodzaj baldachimu, który stwarzał nieco cienia. Wszyscy się tam zgromadzili, nałożyli sobie jedzenie na talerze i zaczęli się posilać. Wołowy gulasz był smaczny, więc nakładali dodatkowe porcje. Nawet Rachela to zrobiła, chociaż wydawało się jej, że posiłek był za ciężki. Charlie poszedł do pobliskiego źródła i napełnił manierkę wodą. Gdy wrócił, dwaj kowboje przystępowali już do znakowania bydła.

- Chcę zobaczyć, jak to się robi - powiedziała Rachela, wciąż zaciekawiona wszystkim, co działo się wokoło. Charlie odciągnął ją jednak na bok.

- To nie jest widok dla dziewczyny z dobrego domu - oświadczył pół żartem, pół serio. Gdy zatem rozpoczęło się znakowanie jałówek, ona usłyszała tylko skwierczenie i poczuła swąd przypalanej skóry zwierzęcej. Bydło porykiwało żałośnie, rzucało się, wierzgało nerwowo.

- Myślałam, że znakowanie nie jest tak bolesnym zabiegiem.

- To zależy od grubości skóry zwierzęcia.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak to okrutnie brzmi? - zapytała rozzłoszczona Rachela. - Jakbyś się czuł, gdyby ktoś chciał wypalić swój znak firmowy na twoim... zadku? To nieludzkie, aby tak traktować małe urocze krówki.

- Ale nie chciałabyś, żeby ci pouciekały? - zapytał Charlie, z grymasem na twarzy. - A teraz, odpowiadając na twoje pytania, oświadczam, że po pierwsze nie miałbym ochoty, żeby napiętnowano mi tyłek, a po drugie nie tylko jałówki podnoszą ten hałas.



- Mam dość wykrętnych odpowiedzi! - parsknęła. Na chwilę była znowu członkinią rodu Hammondów, w całym swym królewskim majestacie. - Powiedz mi wreszcie, co się tu dzieje?

- Dobrze, moja pani. Ale pamiętaj, że sama się napraszałaś. Otóż niektóre z tych młodych bestii są rodzaju męskiego.

- To mi nic nie mówi!

- Jesteś w biznesie, który ma na celu wypasanie bydła - powiedział wzdychając. - Osobniki męskie są krnąbrne, nieposłuszne, rozrabiają. Jeśli chcesz, żeby szybko przybrały na wadze, a jednocześnie nie sprawiały kłopotu, to musisz...

- O Boże, one nie są chyba...

- Tak, szanowna pani, właśnie są. A teraz, czy chcesz się temu przyjrzeć?

Rachela zareagowała natychmiast. Zerwała się na nogi i pogoniła w kierunku pobliskiego źródła. W chwili gdy ją dogonił, zwróciła już cały lunch i słała się na nogach, trzymając się rozpaczliwie za żołądek. Na dobitkę w tej właśnie chwili dwaj kowboje wyszli zza ogrodzenia i jeden z nich powiedział:

- Robota skończona, Charlie. Będziemy mieli dzisiaj wieczorem doskonale żarcie, ostrygi z prerii. Czy dołączysz do nas?

- Ostrygi z prerii? - wyszeptała Rachela.

- Oni zostaną tu na noc - wyjaśnił. - Wozy ciężarowe przyjadą dopiero rano i zabiorą pierwszą partię zwierząt. Potem wrócą po następny transport.

- Ja pytam o ostrygi z prerii - dziewczyna domagała się znowu wyjaśnienia. On starał się unikać jej wzroku, ale bez skutku. Miała bladą twarz, oczy w czerwonych obwódkach i cała się trzęsła.

- Musisz mi uwierzyć. Taka jest tu zasada - tłumaczył jej, dobierając słowa. - W takim dniu nic się nie może zmarnować. Ale nie chcę ci mówić o szczegółach.

- O mój Boże - Rachela jęknęła, podniosła się z klęczek, rozejrzała bezradnie dokoła i... rzuciła w jego ramiona.

Pani Colchester spakowała wszystko, zaprzęła łaciatego konia do swego wozu, wskoczyła na siedzenie i popędziła przez prerię w kierunku domu.

Rachela Hammond bez słowa protestu dała się zaprowadzić do wierzchowców stojących opodal, poczekała, aż Charlie je osiodła, a potem ruszyli także w drogę. Zajęła im całą godzinę, a oni nie zamienili ze sobą ani słowa.

Gdy zbliżyła się pora kolacji, przy stole pojawił się tylko Charlie. Pani Colchester, usługując mu, cały czas coś mruzczała pod nosem. Posiłek się udał, ale kucharka była wyraźnie niezadowolona. Godzinę później, wybierając się do domu, podeszła do Teksańczyka.

- Pani Hammond prosi szybko do siebie, do biura - powiedziała. - Bardzo mi się dzisiaj podobało, tam daleko, na pastwiskach. Ale panienska czuła się chyba źle?

- Masz zupełną rację - odparł, popijając piwo.

- Paniencie całkiem się to nie podobało.

Mimo wyraźnej dyspozycji, że ma przyjść od razu, Charlie nalał sobie kolejny kubek kawy, wypił go, przeciągnął się raz i drugi i wreszcie ruszył do niej.

Drzwi do biura były zamknięte, zastukał więc ostro i bez zaproszenia wszedł do środka. Kobieta siedziała za biurkiem. Popatrzyła na niego. Nie była to Hammond z „Gossipera”, ale nie była także Rachelą, pełną obaw i kompleksów.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć?

- Tak, Charlie. Ja nie mogę już dłużej czekać - powiedziała, nerwowo odgarniając włosy z czoła. I pomyślała, że tym razem muszą ostatecznie wszystko omówić i postanowić. Nie pozwoli mu, aby jeszcze raz wykręcił się sianem. Przecież nie jest jeszcze za późno, żeby wróciła do Libertyville i sięgnęła po mężczyznę drugiego na liście.

Ale czy rzeczywiście, czy naprawdę nie jest już za późno? Nie chodzi przecież tylko o to, aby stał się ojcem jej dziecka. On jest człowiekiem o wielu twarzach i, dziwnym zrzędzeniem losu, ta jego różnorodność bardzo się jej podoba. Jej głupiej!

Charlie rozsiadł się po drugiej stronie biurka, zakładając niedbale jedną nogę na oparciu fotela.

- A teraz powiedz, cóż to jest, z czym nie możesz dłużej czekać? - zapytał nie bez ironii.

- Wiesz doskonale, co mam na myśli - warknęła.

- Chodzi o moje dziecko! Czy zgadzasz się na moją propozycję?

Zawahał się chwilę, obrzucając ją wzrokiem od góry do dołu.

Wreszcie zapytał:

- Czy nie sądzisz, że to szaleńczy pomysł? Myślisz, że z tym swoim magazynem i z ranczem na głowie znajdziesz jeszcze czas na troszczenie się o dziecko? Założę się, że nie będziesz nawet wiedziała od czego zacząć.

- Nauczę się - wymamrotała przez zaciśnięte zęby.

- Wiele kobiet daje sobie całkiem dobrze radę bez większych przygotowań. Ja mogę się wszystkiego zawczasu nauczyć. Są odpowiednie podręczniki. Mogę też zapisać się na specjalny kurs uniwersytecki. Nie ma w tym nic trudnego.

- Nie chodzi tylko o zmienianie pieluszek i napełnianie butelek pokarmem - powiedział chłodno. - Musiałabyś jeszcze kochać to dziecko. A to nie jest twoja specjalność. Czy się mylę?

Rachela gwałtownie obróciła się na swoim krześle plecami do niego, ale nie dość szybko. Mógł więc zauważyć, że jej oczy napełniły się łzami.

Charlie pomyślał, że cios, który jej zadał, był nie fair.

Hammondówny nie można było niczym dotknąć. Natomiast Rachela była ogromnie wrażliwa. Ona nie płacze nad ewentualnym dzieckiem, lecz nad swoim własnym życiem, życiem bez miłości. W tym momencie Charlie zdał sobie sprawę, że przez to, że tyle lat spędził w wojsku, mimo licznej rodziny, w jego życiu też nie było zbyt wiele uczucia... Po tej autorefleksji chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ona obróciła się na krześle, tym razem frontem do niego. Oczy jej błyszczały od gniewu.

- Ty cholerniku! - eksplodowała. - Wydaje ci się, że masz monopol na miłość?! - On uniósł obie ręce do góry, na znak, że się poddaje, Rachela jednak nie dała sobie przerwać. - Jeśli będę miała dziecko,

troszczyć się będę o nie jak nikt inny. Bo kto może wiedzieć lepiej niż ja, co znaczy dla dziecka życie bez miłości? - W tym miejscu na chwilę przerwała, żeby wytrzeć łzy z oczu. - I przyjmij do wiadomości, że będę miała dziecko!

- Posłuchaj! - Charlie podniósł głos. - Nic nie mam przeciwko temu, żebyś została matką. Jako ostatnia z Hammondów jesteś to nawet winna swemu ojcu. Ale powiedz mi, dlaczego właśnie ja miałbym być ojcem twego dziecka?

- Ponieważ - warknęła - zostałeś starannie wybrany przez mojego doktora z setki kandydatów, jako ten najbardziej nadający się do odpowiedzialnego zadania.

Genetycznie, fizycznie, psychicznie, pod każdym względem. I jak już mówiłam, zamierzam ci dobrze zapłacić za tę przysługę. Czy, że tak powiem, za uprzejmość.

Jak widzę, prowadzisz coś w rodzaju mojej „książki usług ogiera”!

- Masz cholerną rację - powiedziała z zaciętym, groźnym wyrazem twarzy. - To dziecko jest zbyt dla mnie ważne, abym cokolwiek pozostawiała ślepeму losowi. I nie zwracaj mi już głowy pseudoargumentami, że miliony kobiet jakoś sobie radzą bez przygotowań i zabezpieczeń, które ja podjęłam. Nie jestem jedną z milionów, lecz jedyną z rodu Hammondów. I muszę być szczególnie ostrożna. - Po chwili przerwy Rachela dodała płaczliwie: - Ja nie rozumiem, co się stało? Po tych wszystkich poszukiwaniach i testach ty... ty zachowujesz się tak, jakbyś nie był mężczyzną, który przeszedł przez te wszystkie próby?!

- Sądziysz, że jestem czymś w rodzaju kukułczego jajka, podrzuconego do twego gniazda? To masz na myśli? - Przez sekundę Charlie miał zamiar wyjawić jej całą prawdę, jak przez czysty przypadek przedostał się przez hammondowski system zabezpieczeń, obszedł, ominął cały kompleks sprawdzianów. Ale taki zamiar miał tylko przez sekundę. Jego wujek, nim umarł, ogromnie chciał, aby Charlie przyjechał na północ i pomógł tej dziewczynie. Wuj Roger był bardzo ważną postacią w okresie dorastania Charliego. Dlatego też wstrzymał się z ujawnieniem prawdy i skinął głową na znak zgody.

- A zatem dobrze - powiedział. - Jak mi się wydaje, mógłbym, teoretycznie, zgodzić się na twoją propozycję.

- To wspaniale! - radośnie krzyknęła. - Wezwę więc zespół medyczny na jutro i oni załatwią to migiem.

-Chwileczkę - zaproponował. - Zwolnij odrobinę obroty. Powiedziałem, że można moje ojcostwo uznać za sensowny pomysł, ale tylko generalnie rzecz biorąc. Ty jednak, jak podejrzewam, upierasz się, żeby to miało formę sztucznego zapłodnienia? A na to ja się nie godzę.

- Jak możesz mówić coś takiego? To przecież najbardziej naukowa metoda! Ranczerzy stosują tę technikę z powodzeniem od dłuższego czasu. Jeden byk może zaspokoić całe stado krów! Nie mogę pojąć twoich zastrzeżeń!

- Wyjaśnij mi wobec tego - Charlie upierał się przy swoim - dlaczego zależy ci na tym, żeby jeden byk zadowolili całe stado? Czy jest więcej takich jak ty kandydatek poukrywanych gdzieś po kątach?

- Co też wygadujesz?! - wykrzyknęła wściekła, ale od razu pomyślała: Ty cholerniku, chcesz ze mnie wyciągnąć więcej forsy!

Zdrowy rozsądek wziął jednak górę i powiedziała: - Nie. Oczywiście nie ma innych kandydatek. Jestem tylko ja. Użyłam po prostu metafory.

Podniosę twoje wynagrodzenie o pięćdziesiąt procent. Zadowolony?

- Coraz lepszych rzeczy się dowiaduję, ale przecież. .. - sapnął.

A więc jednak mięknie, pomyślała Rachel. Przyszpiliłam go. Nie wszystko było jednak jasne.

- Powiedziałeś przed chwilą „ale”? Czy zatem jest w dalszym ciągu jakieś „ale”? - zapytała.

- Rzeczywiście jest - odparł i uniósł się z fotela. - Trafiłaś na niewłaściwego byka... to znaczy, chciałem powiedzieć, na niewłaściwego mężczyznę, panno Hammond. Taki jest właśnie kłopot z wszystkimi badaniami. Metoda sztucznych zapłodnień jest zapewne doskonałym rozwiązaniem dla ranczerów. Być może krowy też nie protestują. Ale czy ktokolwiek, kiedykolwiek pytał jakiegoś byka, co on sądzi o tej metodzie?

- To, co mówisz, jest bez sensu - powiedziała chłodno. - Tymczasem wszystko wygląda tak prosto! Dlaczego mielibyśmy wprowadzać elementy emocjonalne do prostej biznesowej propozycji? Chyba nie oczekujesz, że powrócimy do staromodnych...

- Otóż to - przerwał jej - dokładnie to miałem na myśli. Jeśli chcesz mojego współdziałania, szanowna pani, musi się to odbyć z tymi wszystkimi staromodnymi ochami i achami, z niepokojami i nadziejami. I na nic innego się nie zgodzę.

Zerwała się z fotela z ustami ułożonymi jak do krzyku, typowego, w takich okolicznościach, dla Hammondów. Ale z tych ust nie wyszedł żaden głos. Co się ze mną dzieje? - zadała sobie nerwowo pytanie. Nie

ośmielała się wrzasnąć na niego? Może ją porzucić w pół słowa? A więc? W tej chwili odezwały się głębsze pokłady jej inteligencji. Nie chciała przechodzić przez ten sam koszmar jeszcze raz, z jakimś innym mężczyzną. Chciała jego! Ale czy nie jest to pozbawione logiki? Może dzieje się z nią coś niebywałego, emocjonalnego i... głupiego? Coś, co może być miłością?

- Charlie, usiądź, proszę - wykrztusiła na koniec. - Oczywiście jesteśmy dwójką logicznie myślących ludzkich stworzeń i możemy dojść do jakiegoś kompromisowego rozwiązania.

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy - powiedział. - Posłuchaj, szanowna pani, jestem zmęczony. To był długi i ciężki dzień. Potrzebny jest mi odpoczynek. Jeśli chcesz, żebym był ojcem twego dziecka to, powtarzam, musi do tego dojść staromodnym sposobem. I jest to moja ostateczna propozycja.

- Ale... to może zająć całe miesiące - powiedziała z głębokim westchnieniem. - A poza tym, mimo że tego nigdy nie próbowałam, wydaje mi się, że twoje rozwiązanie jest bardzo... wulgarne. I nie ma w nim pewności na sukces. Nikt nie wyliczył, ile razy... ja... Nie miałeś chyba tego na myśli, Charlie?

- A właśnie, że miałem - rzucił pospiesznie. - Masz dużo doskonałych argumentów, Rachelo. Mówisz o krowach, nawet o ich tłumie, o wygodzie twego rozwiązania. Ale ja patrzę na sprawę ściśle z punktu widzenia byka. Jeśli dysponujesz jakimiś naukowymi materiałami, które dowodzą, że byki są zachwycone twoją metodą, to jestem gotów rzecz całą jeszcze raz przemyśleć. Ale bez tego, moja



pani, w grę wchodzi tylko stara metoda. A teraz, jeśli pozwolisz, udam się do łóżka.

Patrzyła za nim, jak dumnym krokiem wychodził z pokoju. Robi wrażenie obrażonego, pomyślała. A przecież chciała jedynie do jego propozycji dodać trochę zdrowego rozsądku. Jasne jest przecież, że nie ma sensu dorzucać do ich współdziałania jakichś elementów emocjonalnych, czego on się wyraźnie domaga. Pozostaje zatem jedno wyjście. Ona musi wrócić do miasta i zażądać od swych doradców, aby przedstawili jej drugiego z kolei mężczyznę z listy. Ale... ponownie opadły ją wątpliwości. Czy będą mogli znaleźć człowieka, który zajmie się w równej mierze nią, jak i kłopotami jej rancza? Czy znajdą mężczyznę równie pełnego humoru, czułości i troskliwości? Nie tylko o nią, ale o wszystko i o wszystkich? A jeśli nawet znajdą takiego, to czy ona będzie w stanie myśleć o tym nowym tak, jak myśli o... kochanym Charliem? Gdy ta zbitka słowna, „kochany Charlie”, pojawiła się w jej myślach, Rachela była zaszokowana. Nie mogła uwierzyć, że tak go nazwała. Czyżby po tylu latach przysłuchiwania się wywodom ojca i zaledwie po niewielu dniach przebywania z Charliem mogła wypaść z kręgu ludzi wyznających stoicką logikę? Kochany Charlie? Daj spokój, kobieto. Myśl rozsądnie. W jakim stopniu odpowiada on takiemu określeniu? Oczywiście mogę nazwać Henriettę kochaną. To przecież krótka forma wyrażenia uczucia, przywiązania. Ale nigdy nie myślę o pani Colchester jak o osobie kochanej. Czy z tego coś przypadkiem nie wynika, Rachelo Hammond? A swoją drogą, ciekawe, jak by to przyjął sam Charlie, gdyby dowiedział się, że jest zaliczany do tej samej grupy co jej pies? Po tych refleksjach Rachela miała wątpliwości, czy potrafi

rozwiązać problem byka i... zdecydowała, że czas na pójście do łóżka. Może sen przyniesie jej odpowiedź?

Charlie wyszedł z zamiarem położenia się spać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i wszedł pod prysznic. Chciał zmyć brudy długiego dnia i uspokoić się trochę po burzliwej rozmowie z Rachelą. Cholerna baba! - pomyślał, wystawiając się na gorący strumień wody. Dlaczego tak obstaje przy nim? To fajny kawałek kobiety, niewątpliwie. Ale oczywiste jest również, że chodzi jej nie o niego, lecz o usługę, jaką mógłby jej wyświadczyć. Podkreślała to już przecież wielokrotnie. A jeśli tak, to nie pozwoli wykorzystywać swych „klejnotów rodzinnych” dla jakiejś tam sprawy sztucznego zapłodnienia. Tak myśląc, przestawił wodę na zimną, po czym wytarł się ostrym ręcznikiem. To go odrobinę otrzeźwiło. Ale myśli związane z Rachelą oczywiście wciąż go nie opuszczały. Zastanawiał się, kto jest owym doktorem, na którego ona się powołuje? Czy rzeczywiście zetknęli się kiedyś? A poza tym ciekawe, czy gdzieś w szerokim świecie jest jakiś potężny chłop, dla którego ideałem byłaby taka kobieta jak Rachelą? Ta możliwość rozbawiła go tak dalece, że śmiał się, mijając jej zamknięte drzwi.

Rachelą tymczasem wciąż nie mogła zasnąć, mimo że bardzo tego chciała. Usłyszała więc jego kroki w korytarzu, potem zdała sobie sprawę, że zawahał się na moment przy jej drzwiach, ale poszedł dalej, śmiejąc się.

Cholerny, przeklęty facet, pomyślała sobie. Ponieważ już przez wiele minut wierciła się na łóżku, jej koce opadły na ziemię, prześcieradła zwinęły się w kłębek, a poduszka gdzieś przepadła, Rachelą podniosła się z posłania i podeszła do okna. Na zewnątrz była

czysta, chłodna noc typowa dla stanu Kansas. Tysiące gwiazd błyszczało na niebie. Wiszący wśród nich księżyc przemieniał wszystko w czyste srebro. Do samotnego kojota, zawodzącego na wzgórzu, dołączyła partnerka i teraz oboje, w duecie, rzucali wyzwanie do księżyca. Czy była to miłosna pieśń? Rachela poczuła, że po plecach przebiega jej dreszcz. Rozgoryczona odszukała na ślepo, w ciemności, swą podomkę i owinęła się nią dokładnie. Pomyślała, że na dworze znajdzie trochę spokoju, którego na próżno szukała we własnej sypialni. Cicho, tak aby go nie zbudzić, uchyliła drzwi i przeszła do kuchni, a potem na zewnątrz, na werandę.

Wiał chłodny, prawie zimny wiatr. Podeszła tam, gdzie stały wypoczynkowe fotele. Rachela Hammond, wewnątrz wzburzona, usiłowała wziąć się w karby. Ale na próżno. Od strony stajni dobiegały ją pojedyncze dźwięki. Szczęk łańcucha, uderzenie końskiego kopyta, plusk małego źródelka, które zaopatrywało w wodę zarówno dom, jak i całe obejście. Z oddali dobiegł krzyk nocnego ptaka. Wiatr rozwiewał jej włosy. Odniosła wrażenie, że wreszcie powoli odpręży się.

Jej lewa ręka zwisała z fotela, omal dotykając podłogi werandy. Nagle poczuła pchnięcie zimnego, mokrego psiego nosa. Pomyślała, że to Blue. Ale nie był to szczeniak, lecz jego matka, Henrietta. Suka polizała ją przyjaźnie.

- Tylko my, kobiety, trzymamy nocną straż - powiedziała Rachela, a pies warknął cicho, jakby na potwierdzenie słów pani. - Jesteśmy godne siebie - dodała. I znowu usłyszała potakujące warknięcie. - Czy nie jestem głupia, mój piesku? Wiem wszystko o tym, jak należy prowadzić plotkarski szmatławiec. Po co więc, u diabła, marzę o tym,

żeby stać się ranczerem? Zamiast używać psychologa do wynalezienia mi mężczyzny, powinnam użyć mężczyzny, aby znalazł mi psychologa!

Jej suka warknęła jakby z obrzydzeniem i ułożyła się do snu. Potrzeba mi tego samego, pomyślała Rachel. Jutro odegra rolę niewiniątka i całkowicie zlekceważy teksańskiego kowboja. Przez kolejny tydzień postara się wypocząć, a potem powróci do miasta i do magazynu. Być może Charliego zostawi tutaj, żeby prowadził ranczo. Wydaje się, że on robi to bardzo dobrze, zna się na koniach, bydło, helikopterach. Przyznała sama przed sobą, że ta cyniczna decyzja nieco ją zaskoczyła. Próbowwała usadowić się wygodniej w fotelu, lecz wiatr stawał się coraz mocniejszy i temperatura spadała. Powiedziała więc sobie, że nie ma co pozować na bohaterkę i wstała, żeby wrócić do domowego ciepła. Potrafiła po drodze psa, który wydał się wyraźnie niezadowolony.

Rachela po omacku odszukała klamkę. Drzwi wejściowe były stare, podobnie ich zamek. Zawsze zacinał się i trzeba było mocno nacisnąć, żeby ustąpił. Spróbowała raz i drugi, ale bez żadnego skutku. Jęknęła z rozpaczą, bo domyśliła się, co się stało. Zamek był zatrzaskowy, yalowski, i nie było sposobu, żeby go teraz otworzyć, nie mając klucza. Powinna więc obejść dom dokoła i zapukać do okna Charliego. Tego jednak nigdy w świecie nie zrobi, pomyślała sobie. Zawróciła więc do fotela na werandzie, przywołała do siebie psa, aby razem było im trochę cieplej i resztę nocy postanowiła spędzić na rozmowie z gwiazdami.

Chyba zdajesz sobie sprawę, dziewczyno, pomyślała, że gdybyś była w dobrych stosunkach z Charliem, cała ta przygoda byłaby tylko tematem do śmiechu. Miała więc nauczkę i dobrą moralną lekcję. Co jednak ani trochę nie podniosło temperatury otaczającego ją świata.

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia rano Rachela nie pojawiła się przy stole śniadaniowym. Do pokoju weszła natomiast pani Colchester, ze słoikiem pełnym słodkiego syropu do naleśników. Kręciła głową z wyraźną dezaprobatą.

- Jest bardzo źle - powiedziała. - Ona ma katar, oczy zażwawione, kaszle. Nie rozumiem, dlaczego spędziła całą noc na werandzie. Modliła się do gwiazd czy coś w tym rodzaju? Ja takiej modlitwy nie znam. Prosi, żebyś po śniadaniu przyszedł na chwilę do jej sypialni.

- Zrobi się - odparł Charlie, przełykając kolejny kęs soczystego naleśnika. - Jeśli ona nie przyjdzie na śniadanie, to mogę zjeść także jej porcję?

- Będę się bardzo cieszyć - powiedziała pani Colchester z chichotem. - Ona zawsze martwi się o jedzenie. Mówi: dziś oszczędzisz, zostanie na jutro. I takie tam rzeczy.

- Jestem zadowolony, że ktoś się tutaj czymś cieszy. A teraz uciekaj już, dziecko!

- Żadne dziecko - obruszyła się. - Mam sześćdziesiątkę i nie jestem żadnym dzieckiem!

- Tak, tak, rzecz jasna, że nie jesteś. Ale czy naprawdę masz sześćdziesiąt lat? Jak długo jesteś tutaj, na ranczu?

- Przyszłam, kiedy byłam bardzo młoda. Jeszcze za życia dziadka. Miałam wtedy... trzynaście lat.

- I nigdy nie chciałaś ukończyć jakiejś szkoły? Kobieta popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Zawsze to samo pytanie! Po co miałam kończyć szkołę? Czy uczą tam, jak ma się żyć, jak pracować na ranchu, jak znaleźć męża? Nic z tych rzeczy. Mój ojciec także mówił, że mam się uczyć, bo biedni Indianie bez nauki zostają biedni. Ale pan Hammond mówił, że kobiecie całkiem wystarczy, jeśli potrafi pracować w domu i w kuchni. Dał mi więcej pieniędzy i zostałam tutaj. Posyłałam wszystkie dolary do domu i ojciec przestał się upierać. A ty skończyłaś szkołę?

Charlie, w pierwszej chwili zaskoczony, zamrugął oczami.

- No więc, wydaje się, że tak. Udało mi się skończyć college. Zajęło mi to sześć lat, ale mam już sprawę za sobą. Nie sądzisz, że wyglądam teraz na sprytniejszego?

Kobieta znowu zachichotała. Charlie pokręcił głową z niesmakiem wobec samego siebie. Chichot Indianki oznacza bowiem coś innego niż u białej kobiety. Mówi, że temat ją krępuje.

- Głupie gadanie - powiedziała na koniec. - Nie widzi się na zewnątrz, że chodziłaś do szkoły. To jest u ciebie, ale... w środku. Nie zapomnij, że panna Rachela chce cię zobaczyć!

- Nie zapomnę. To była bardzo pouczająca rozmowa, pani Colchester.

Kobieta jeszcze raz zachichotała i szybko zniknęła za drzwiami. Charlie powrócił do swego talerza z naleśnikami i poświęcił im tyle uwagi, na ile zasługiwały.

Rachela siedziała na wąskim łóżku wyprostowana. Za plecami miała dwie pękate poduszki. Jej nos był zaczerwieniony i wyraźnie ją bolał. Oczy miała zmętniałe i bardzo dokuczała jej głowa. Miała na sobie plisowaną koszulę, którą kupiła jej ciotka Harriet, jeszcze wtedy,

gdy brat Jimmy wciąż był następcą tronu, a mała Rachela niefrasobliwą, beztroską dziewczynką. Od ciotki Harriet nie miała żadnych wieści od blisko dziesięciu lat, ale kupiona przez nią odzież tkwiła nadal w głębinach szafy Racheli. Dzisiaj, z niewiadomego powodu, dziewczyna kazała pani Colchester odszukać te stare łachy. Koszula była z czystej, białej bawełny. Okazało się, że jest prawie całkiem przezroczysta. Zasłaniała wszystko, od brody po kostki nóg, a jednak wszystko pozostawiała odkryte. Rachela próbowała sprawdzić, jak się prezentuje, patrząc do lustra stojącego po drugiej stronie pokoju. I wtedy właśnie pojawił się Charlie. Wszedł bez ceregieli, przez wpółotwarte drzwi. Robił wrażenie, jakby w ogóle niczego nie zauważył. Cholerny chłop, pomyślała Rachela.

- Słyszałem, że nie czujesz się najlepiej? - powiedział i bez zaproszenia przysunął krzesło do jej łóżka.

- Czuję się dostatecznie dobrze, żeby zajmować się poważnymi sprawami - mruknęła i lekko zakaszła, jakby na potwierdzenie swych słów. - Hammondowie nie rozklejają się z powodu byle przeziębienia.

- Odnoszę wrażenie - bąknął - że lada moment dowiem się, iż twój katar jest moją winą.

- Bo tak jest rzeczywiście. Przecież to ty naprawiałeś ten stary yalowski zamek przy drzwiach kuchennych i on właśnie zatrzasnął się, nie pozwalając mi wejść z powrotem do domu. Zostałam więc na zewnątrz, na chłodzie. Ale nie dlatego chciałam się z tobą zobaczyć.

- Czyżby? - zapytał i skrzyżował wyciągnięte nogi.

- Chciałam ci powiedzieć - wyrzuciła z siebie pospiesznie - że godzę się na twoje warunki.



- Ty godzisz się, żebym...?

- Albo masz najkrótszą pamięć, albo najniższy poziom seksualnego libido spośród wszystkich znanych mi mężczyzn - warknęła.

- Ach, o to ci chodzi. - Zrobił krótką pauzę, jakby się nad czymś zastanawiał.

Patrzyła na niego przeszywającym wzrokiem, siłą sugestii pragnąc zmusić go do uległości. I pomyślała: tylko, cholerniku, nie stawiaj mi pół tuzina dodatkowych warunków. Po prostu powiedz...

- Okay - oświadczył, przerywając jej strumień myśli. - Zatem, okay.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia? Po prostu... okay! Ja wypowiadam coś ogromnie ważnego, a ty kwitujesz to krótkim: okay!

Trudno jej było zapanować nad wściekłością, zwłaszcza gdy tak źle się czuła, gdy bolała ją każdy mięsień. Ona podejmowała najważniejszą decyzję w swoim życiu, a on, ten despotyczny poganiacz krów, ten pastuch, mówi tylko jedno słowo: okay.

-Powiedz przynajmniej, kiedy? - zapytała łamiącym się głosem, wciąż wzburzona. - Kiedy możemy zacząć to... przedstawienie?

- W każdej chwili - powiedział zgodliwie i podniósł się z krzesła. - Dodam tylko, że takich rzeczy nie robi się, kiedy jeden z partnerów nie domaga. Rozumiesz?

- Pytam kiedy, ty niegodziwcze?

- Jest jeszcze ogromnie dużo spraw do załatwienia na tym ranczu - powiedział tonem dobrego gospodarza. - Na przykład są nowe kłopoty

ze stadem i muszę w najbliższym czasie sprawdzić, o co chodzi naprawdę.

- A poza tym, jak przypuszczam, jest jeszcze pół tysiąca problemów nawet ważniejszych - ironizowała dziewczyna.

- To wszystko zależy od punktu widzenia, szanowna pani.

- Nie mów do mnie „szanowna pani”.

- Tak jest, szanowna pani. - Gdy mówił te słowa i wychodził już z pokoju, jej brudny kubek po kawie rozbił się o ścianę, dwadzieścia centymetrów od jego głowy. Nie zwracając na to uwagi, zagwizdał jakąś melodię i poszedł do holu, co przyprawiło Rachelę o jeszcze większy ból głowy.

Migrena utrzymywała się przez cały dzień, a nawet pogłębiała. Charlie kręcił się tuż obok, ale nie zajął do jej pokoju. Rachelę przez cały czas niespokojnie wierciła się na łóżku. Ogromnie chciała zapytać go, co się dzieje na ranczu. Chciała zapytać kogokolwiek, jak będzie wyglądał występ w „Gossiperze” w następnym tygodniu. Chciała dowiedzieć się od kogokolwiek, dlaczego głowa bolała ją tak bardzo. Chciała być małą dziewczynką, wdrapać się na czyjeś kolana i szukać pocieszenia. I chciała... zamordować tego człowieka.

Pani Colchester zajął do niej dwa razy. Najpierw, żeby zmierzyć temperaturę Racheli. Mamrotała wtedy cały czas, że jest kucharką, a nie siostrą miłosierdzia w domu opieki. Następnym razem przyniosła dużą szklanę gorącej lemoniady z czymś na dodatek, mówiąc, że jej matka stosowała to na wszelkie przeziębienia całymi latami, nim jeszcze w Kansas zaroilo się od doktorów. Nalegała, aby

Rachela wypila zawartość szklanki za jednym zamachem. Dziewczyna spełniła to polecenie i, o dziwo, zapadła w długi, choć niespokojny sen.

Gdy ocknęła się, na dworze było już ciemno. Czowała się w dalszym ciągu okropnie, do tego stopnia, że nie mogła opanować dreszczy i zanosila się od płaczu.

Charlie spędził cały wieczór w pokoju biurowym i praca papierkowa także przyprawiła go o ostry ból głowy. Gdy wreszcie uporał się ze wszystkim i szedł do własnej sypialni, usłyszał zza zamkniętych drzwi do pokoju Racheli jej donośny płacz. Nigdy by się tego nie spodziewał po przedstawicielce rodu Hammondów. Zatrzymał się więc na chwilę, po czym wszedł do środka.

W nikłym świetle lampki nocnej zobaczył dziewczynę niespokojnie przewracającą się na łóżku. Koszulę miała podwiniętą aż po uda. Koce zsunęły się na podłogę. Mamrotała coś pod nosem. Charlie na palcach podszedł do łóżka i położył jej dłoń na czole. Było gorące i suche. Zbyt gorące. Wiedział dobrze, że do najbliższego doktora było pięćdziesiąt kilometrów. Musiał podjąć decyzję: zabrać Rachelę do doktora, czy doktora sprowadzić do niej? A może jakiś kompromis?

Pani Colchester już dawno odjechała do swojego domu, wszystko spoczywało więc na jego głowie. W pierwszym rzędzie musiał dziewczynę odświeżyć, poprawić jej samopoczucie. Poszedł więc do kuchni, wyszukał emaliowaną miednicę, napełnił ją gorącą wodą i zaniósł do pokoju chorej. Gdy zawołał ją po imieniu, w odpowiedzi zajęczała tylko. Wzruszył ramionami i przystąpił do pracy. Obnażenie jej nie było sprawą łatwą. Nocna koszula przywierała do całego tułowia. W pewnej chwili Rachela wymamrotała:

- Co ty robisz ze mną?

W odpowiedzi wyrecytował jakiś nieudolny wierszyk, co ją jednak zadowoliło. Gdy koszula została wreszcie odłożona na bok, obmył delikatnie całe ciało dziewczyny, od twarzy po palce nóg. Efekt tego starannego zabiegu dał zaskakujący rezultat, jeśli chodzi o pacjenta. A także o niego samego. Ona wyraźnie się uspokoiła, a on musiał narzucić sobie samodyscyplinę. Nie była kobietą do pogardzenia, a on bynajmniej nie był obojętny na sprawy seksu. Mimo tych, rozpraszających uwagę, okoliczności zdołał ukończyć swe zadanie, zmienił prześcieradła i założył jej męską koszulę, która miała służyć dziewczynie do końca nocy.

W czasie tych zabiegów Rachela pochwyciła go za rękę i wyszeptała:

- Nie zostawiaj mnie samej.

- Nie mam takiego zamiaru - odparł, lecz krytycznie oszacował rozmiary jej wąskiego łóżka. Zamamrotał więc do siebie: - Nie mam zamiaru spędzić całej nocy na siedząco.

- Nie zostawiaj mnie samej - powtórzyła Rachela, tym razem wyraźnie i z odcieniem paniki w głosie.

Pozostawało więc jedyne wyjście z sytuacji. Wziął ją delikatnie na rękę... i nagle przy uchu usłyszał jej szept:

- Dziękuję ci, tatusiu. - Poczul się, jakby oblano go kubłem zimnej wody. W sekundę opuściła go cała męskość i zaniósł ją w ramionach, jakby była małym dzieckiem, do swej sypialni. Na jej środku stało potężnych rozmiarów, staromodne, mosiężne łoże, które mogło pomieścić nawet trzy osoby. Cały czas trzymając dziewczynę w

ramionach, z trudem odsunął na bok koce i ułożył ją w pościeli. Jednocześnie nucił jakieś strzępy melodii, którą kiedyś śpiewał przy nocnym przepędzaniu krów. Nagle zdał sobie sprawę, że Rachela uśmiecha się szeroko do niego, choć wciąż pogrążona w półśnie.

I co teraz? - zapytał sam siebie. To był długi, ciężki dzień na ranczu. Nigdy nie spotkał się z tak niespokojnym stadem bydła. A ponadto jeden z fragmentów świeżo naprawionego ogrodzenia znowu został zerwany i jeszcze raz trzeba się było nim zająć. Czy to jakiś wypadek, czy może zła praca ekipy remontowej? Ale przecież ten zespół polecono mu specjalnie? Idź do łóżka, pomyślał, jutro trzeba wszystko sprawdzić na miejscu, osobiście.

Charlie wszedł jeszcze raz pod gorący prysznic i poczuł, jak odprężają mu się mięśnie. Był uwiązany na tym ranczu i to nie wiadomo, na jak długo. W jakimś sensie obiecał już Racheli, że będzie ojcem jej dziecka, a to nie była sprawa jednej nocy. Lub nawet dziewięciu miesięcy. Jeśli będzie nosiła jego potomka, to zamierzał dłużej pozostać na miejscu i pomóc w opiece nad małym. Bowiem byłby to przypuszczalnie chłopak. Przecież Hammondównie o to wyłącznie chodziło. No, a potem złożyłaby mu podziękowanie i odprowadziła do drzwi. I on musiałby na to się zgodzić. Charlie mruknął coś do siebie i zakręcił wodę. Wytarł się szorstkim ręcznikiem, owinął go sobie wokół bioder i poszedł do własnej sypialni.

Na szczęście trochę księżycowego światła wpadało przez wschodnie okno, bo w przeciwnym razie potknąłby się o własne kowbojskie buty, leżące na podłodze. Próbował wśliznąć się do łóżka możliwie delikatnie. Ale bez sukcesu. Jego dziewięćdziesiąt pięć kilo

żywej wagi przewyższało wytrzymałość starych sprężyn. Jęknęły głucho. Zamarł w pozycji półleżącej. Rachela poruszyła się i szepnęła coś niewyraźnie. Coś, co chyba dotyczyło magazynu. Charlie ułożył się ostrożnie obok dziewczyny, ale jak najdalej od niej. Odrzucił ręcznik na sąsiednie krzesło, przykrył się kocem i zamknął oczy.

Przebudził się tuż po pomocy. Dziewczyna leżała nieco bliżej, twarzą zwrócona ku niemu, z głową opartą o jego ramię. Po chwili przysunęła się do niego jeszcze bliżej, otoczył ją więc ramieniem i wtedy poczuł, że jego nagi tors dzieli od jej jędrnych piersi tylko bawełniana koszula. W tej sytuacji był kompletnie unieruchomiony. Mógł tylko leżeć bez drgnienia, z nadzieją, że ona się nie przebudzi i nie zażąda wyjaśnień.

Aby usnąć ponownie, postanowił liczyć owce. Ale jako ranczer, przez lata związany z hodowlą bydła, przerzucił się wkrótce na liczenie jałówek. Dodawał jedną do drugiej, teksańskie longhorny, przełazące przez dziurę w ogrodzeniu z kolczastego drutu. Może jest w tym jakieś powiązanie z realnym światem, pomyślał. Niebawem, wyczerpany tą matematyką, pogrążył się we śnie.

Rachela Hammond obudziła się około ósmej. Zdała sobie od razu sprawę z dziwnej sytuacji. Po pierwsze, w jej łóżku leżał jakiś mężczyzna, a jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Potrzeba było wiele hammondowskiej odwagi, żeby nie zaczęła krzyczeć. Musi być przecież jakieś logiczne wyjaśnienie tego, powiedziała sobie i zaczęła delikatnie dotykać jego podbródka.

Był to niewątpliwie dorosły mężczyzna. Powinien się ogolić. Włosy na głowie były zmierzwione, co nadawało mu raczej chłopięcy

wygląd. Miał małą szramę na prawym policzku, a drugą pod prawym uchem. Rachela lekko pokręciła głową. Robił wrażenie bardziej pirata niż chłopaka.

Bądź ostrożna w swoich ocenach, kobieto! - skarciła się. Odsuń się delikatnie od niego, wydostań z uścisku, nim wulkan wybuchnie, pomyślała i zaczęła powolutku realizować swój zamiar. On zamruczał na znak protestu, sprężył ramię obejmujące ją, a potem je rozluźnił, ale jednocześnie położył swoje drugie wielkie łapsko na jej lewej piersi. Położył, objął palcami, jakby zważył i... popieścił. Kolejne westchnienie... rozkoszne? Przepelniona oburzeniem, Rachela oderwała się od niego krótkim zdecydowanym ruchem ciała i... wylądowała na podłodze. A raczej na jego ostrogach do konnej jazdy, które leżały obok butów. Na szczęście nie były to kolczaste ostrogi, mogące przedziurawić nawet grubą skórę konia, ale ich tępa, bezpieczniejsza odmiana. Miękka pupa Racheli nie była jednak gotowa do przyjęcia nawet takiego urazu. Krzyknęła więc głośno.

Drzwi od sypialni otworzyły się gwałtownie. Stała w nich pani Colchester ze swą miotłą.

- Co się tu dzieje?! - zawołała, zrobiła dwa kroki do przodu i uniosła miotłę do pozycji atakującej. Hałas był zbyt wielki dla Charliego. Obudził się i natychmiast jego myśli pobiegły wstecz do wydarzeń sprzed sześciu miesięcy, kiedy brał udział w prawdziwej wojnie. Wskoczył błyskawicznie z łóżka, całkowicie nagi, gotowy do walki.

Pani Colchester jeszcze raz krzyknęła przeraźliwie. Rachela, nie chcąc być gorsza, też zerwała się na równe nogi, mimo ostrego bólu w dolnych partiach ciała.

- Charlie! - wrzasnęła i rzuciła się, w kierunku łóżka. On ogarnął wzrokiem nie zaplanowany pokaz swej męskości i skrył się ponownie w pościeli.

- Nie mam zamiaru dalej pracować w tej jaskini grzechu - zdecydowanie oświadczyła pani Colchester. - Ani przez sekundę dłużej. Jak mogłaś zrobić coś takiego, Rachelo Hammond? Co by powiedział twój ojciec? Twój dziadek? Wstyd, hańba!

- Nie mam pojęcia, co powiedziałyby ojciec - cicho odrzekła Rachela. - Natomiast jeśli chodzi o dziadka, to powiedziałyby coś w rodzaju: „Najwyższy czas, dziewczyno!” Przecież nie był świętym, chociaż takim chcesz go uczynić, pani Colchester.

Mimo swego gniewu kucharka podsunęła dziewczynie krzesło, na które ona osunęła się z uczuciem dziwnej ulgi. Jestem okropnie znużona, pomyślała, słaba jak mały kociak. Co, u licha, stało się ze mną? Jej wzrok powędrował tam, gdzie na łóżku siedział wyprostowany Charlie. Dolną połowę ciała miał przykrytą prześcieradłem, górną, muskularną, całkowicie naga. Rachela zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Czy więc stało się? - zadała sobie pytanie. Mówią, że wymaga to wielkiego fizycznego wysiłku. Jak widać wyczerpał mnie całkowicie, a ja nie wiedziałam nawet, co się dzieje. Cholerny facet!

- Dość tego, pani Colchester - kategorycznym tonem powiedziała Rachela. - Nic się tu nie stało, czego Charlie czy ja powinniśmy się



wstydzić. Jeżeli sądzisz, że nie możesz tu dłużej pracować, to spakuj swoje manatki. Wyliczę zaraz, co ci się ode mnie należy.

- Jak widać, masz tupet - warknęła kucharka.

- Chcesz mnie wyrzucić bez jakiegokolwiek wypowiedzenia po tylu latach służby u twego ojca i dziadka?

- To nie ja cię wyrzucam, tylko ty rezygnujesz - powiedziała dziewczyna. - Przykro mi, że twoja wstydlivość została narażona na... ale nie mogę nic na to poradzić. Nie mogę nawet obiecać, że nigdy się to już nie powtórzy. Więc odchodzisz czy zostajesz?

- Przebrała się miarka. Odchodzę. Od razu, natychmiast. Oboje pójdziecie prosto do piekła, na zatracenie - oświadczyła pani Colchester, z proroczą nutą w głosie, i trzasnęła drzwiami.

- A więc co teraz? - zapytał Charlie.

- Jak na jednego człowieka narobiłeś dostatecznie dużo kłopotów. Pójdę do biura i wyliczę, ile się jej należy.

- Wszystko w swoim czasie - powiedział z naciskiem. - Ona może poczekać, mój żołądek nie. Może zajrzysz do kuchni i przygotujesz coś na śniadanie?

- Chętnie bym to zrobiła odparła, odgarniając włosy z czoła - kłopot jednak polega na tym, że nigdy nie uczyłam się gotowania.

Godzinę później oboje znaleźli się w kuchni, gotowi do bitwy.

- Mogę usmażyć stek - zaofiarowała się Rachel.

- Pani Colchester lubiła, jak się jej pomagało. Ale tylko podając czy odnosząc coś. Natomiast bardzo pilnowała swych sekretów kucharskich. Ale szpiegowałam ją dość długo, aby podpatrzeć wszystkie tajniki dotyczące steków.

- Ja też potrafię przygotować stek i jajka - pochwalił się Charlie. - To jest oczywiście standardowe jedzenie na ranczu. W gospodarstwie hodowlanym zawsze jest pod dostatkiem wołowiny. A poza tym wydaje mi się, że co rano słyszę, gdzieś tutaj, gdakające kury.

- Pani Colchester zawsze się nimi zajmowała - powiedziała Rachela ponurym głosem. - Zaraz za stodołą znajduje się duży kurnik. Nie mam pojęcia, ile jest tam ptaków. Pani Colchester karmiła je ziarnem, raz na dzień. Podbierała też jajka. Czasami zdarzało się, że jajek nie było. Po paru dniach takiej posuchy mieliśmy kurę na obiad. Ziarno znajduje się w dużym worku, w stodole.

- Z tego wnioskuję, Rachelo, że zajmiesz się tymi sprawami, aż pani Colchester przejdą humory. Czy często się to jej zdarzało?

- Jak pamięcią sięgnę, taka eksplozja nastąpiła tylko raz i to właśnie dzisiaj. Pozwól, że ci coś wytłumaczę - mówiła dalej, z trudem ukrywając swój zły humor.

- Wychowywano mnie na wydawcę tygodnika. Tę pracę wykonuje bardzo dobrze. Mam swój apartament w hotelu „Sheridan”. Jest tam oczywiście kuchnia. Gdy zamawiam coś do jedzenia, przynoszą mi to do pokoju w gotowej do spożycia postaci. Mój tata zawsze mówił, że człowiek ma określoną pojemność mózgu. Nie trzeba się więc uczyć tego, co w życiu będzie nieprzydatne. I ja nie muszę się znać na gotowaniu. Nadal nie muszę.

- Dobrze powiedziane - cicho zaśmiał się Charlie, co pogłębiło jeszcze jej zły humor. - Wobec tego myślę, że będziemy mieli teraz do jedzenia stek i jajka. Ty popędzisz do kurnika i przyniesiesz parę jajek, a ja rozejrzę się za wołowiną. Jest chyba jakaś w domu?

Rachela wzruszyła ramionami.

- Znajdziesz coś takiego z tyłu domu, w chłodni. Myślę jednak, że lepiej będzie, gdy wynajmiemy kogoś do kuchni albo przeniesiemy się do hotelu.

Popatrzył na nią jakby z wyrzutem, ale też z uznaniem, bo tym razem była ładnie, ze smakiem ubrana.

- Nie załamamy się chyba przy pierwszym niepowodzeniu - powiedział surowym tonem. - Wspominałaś kiedyś o samowystarczalności... Chcesz także sama wychowywać dziecko, ale jednocześnie nie możesz sobie wyobrazić paru tygodni bez kucharki. Daj spokój, dziewczyno.

- Nie mogę ciągle jadać na śniadanie steku z jajkami - poskarżyła się Rachela. - Jajka można ścierpieć od czasu do czasu, ale stek jest dla mnie za ciężkim jedzeniem. Mnie potrzeba czegoś łatwo strawnego. Jak płatki zbożowe, mleko.

- To przecież bardzo łatwo przygotować - powiedział pocieszająco Charlie. - Płatki kupuje się gotowe w pudełkach. Sypiesz je do miski i dolewasz mleka.

- Obawiam się, że w domu nie mamy więcej mleka niż pół litra. A mnie jest potrzebne pasteryzowane mleko, nie prosto od krowy. Musimy być ostrożni. Jem teraz za dwoje.

Obszedł stół kuchenny dookoła i zatrzymał się przed nią na pół kroku, z gniewnym wyrazem twarzy. Co takiego powiedziałam, myślała szybko. Czy może wyrosły mi rogi?

- Chodzi mi o mleko, pasteryzowane - powtórzyła.

- Co do mleka, rozumiem - wycedził przez zęby.

- Nie widzę w tym szczególnej trudności. Po prostu ktoś będzie musiał jeździć do miasta po zakupy. Jak to jest daleko?

- Prawie pięćdziesiąt kilometrów. Do Beaumont. Pani Colchester jeździła tam raz w tygodniu. Mogę gdzieś tu znaleźć jej starą listę zakupów. - Gdy to mówiła, on patrzył na nią jakby przeszywającym wzrokiem. Czowała się upokorzona i jednocześnie rozzłoszczona. Traktuje mnie jak głupawe dziecko, pomyślała.

- Jestem dobra w zakupach - dodała niepewnym tonem. - Doślą nam samochód i sama będę jeździła do Beaumont. - Gadam wciąż jak przestraszone dziecko, Rachela skarciła samą siebie. Weź się w garść, pani Hammond.

- Mówisz o Beaumont - Charlie podrapał się w głowę. - O ile pamiętam, jest tam dookoła dużo płaskich miejsc. A my mamy przecież helikopter pod ręką. Polecimy tam oboje.

- Zapomniałam całkiem, że potrafisz latać na tej maszynie - powiedziała i natychmiast odwróciła wzrok od niego, aby ukryć swój wyraz twarzy. Przypomniała sobie bowiem przeżycia związane z jej pierwszym lotem, gdy on siedział za sterami. I nie była pewna, czy jest przygotowana, aby znieść drugi taki koszmar. On tymczasem patrzył na nią wyczekująco i jakby zachęcał do krótkiego „tak”. - Oczywiście, polecimy - powiedziała wreszcie - zaraz po śniadaniu, które ty przygotujesz, Charlie.

Uśmiechnął się na to szeroko i od serca, tak że na lewym policzku pojawił mu się mały dołek. Całkiem ładny chłopak, pomyślała Rachela. Dlaczego wpadam przy nim w taką panikę? Policzki zaczerwieniły się jej nieco. On to również zauważył i docenił.

Po pracowitym, męczącym dniu oboje siedzieli w saloniku.

- Czuję się jak sędziwy, wiekowy mężczyzna - powiedział Charlie, odkładając gazetę z poprzedniego dnia. - Po całym dniu gonienia po tym dużym mieście... Wyobraź sobie, co by to było, gdybyśmy mieli ze sobą, na dodatek, troje czy czworo dzieci. One przecież bez przerwy pytają „dlaczego” albo „dlaczego nie”.

- A mnie się tam bardzo podobało - powiedziała Rachel. Siedziała naprzeciw niego w obszernym fotelu wypoczynkowym. U jej stóp leżały liczne kłębki włóczki. - Mówisz tak - dorzuciła - jakbyś nie miał sporego doświadczenia z dziećmi.

- Rzeczywiście miałem kiedyś duże doświadczenie w tym zakresie. Już nie pamiętam dokładnie, ile ich było, tych moich siostrzeńców i bratanic. Jednak przez długie lata służby w wojsku wiele szczegółów wyleciało mi z pamięci. Ale powiedz, co ty właściwie robisz?

- Jak to, nie widzisz? Przecież robię na drutach.

- A mnie się wydawało, że takich zajęć nienawidzisz. Wielki pukiel włosów zsunął się jej na czoło. Odgarnęła go palcami.

- Chcesz być złośliwy? - zapytała.

- Złośliwy? Ani trochę. Zupełnie nie znam się na robocie na drutach.

W świetle lampy twarz Charliego nabrała łagodnego wyrazu i dziewczyna uwierzyła jego słowom. Tym bardziej że zrobił dla niej coś tak wspaniałego. Zastanowiła się jednak, dlaczego nie cieszy jej to wewnątrz. Czyżby była jedną z tych zimnych kobiet?

- Ja też nie mam pojęcia o robocie na drutach -powiedziała szczerze - ale tyle kobiet daje sobie z tym radę, że chyba i ja potrafię. Jeśli się tylko przyłożę.

- Czy wiesz o tym, że Juarez Joe też bawi się drutami?

- Ten potężny Indianin, z twarzą pełną blizn? On także robi na drutach?

- Właśnie ten. Był w mojej eskadrze w czasie wojny i został ranny. Chyba nie wiesz o tym, że do wielu wojskowych szpitali przychodzą ludzie z zewnątrz, aby nauczyć pacjentów rozmaitych robótek, które pomagają rannym i chorym przejść przez trudny okres powrotu do zdrowia. Mnie samego, w takich okolicznościach, pewna starsza pani nauczyła tkania dywanów. U siebie, w Teksasie, mam kilka własnej roboty.

Jego kolejna specjalność nie zrobiła na Racheli większego wrażenia, natomiast wiadomość, że przebywał w wojskowym szpitalu, wywołała ukłucie w sercu.

- Byłeś ranny?

- Raz czy dwa razy - przyznał, co sprawiło, że gwałtownie wstrzymała oddech.

- Raz czy dwa razy? Mój Boże, jak możesz być taki zblazowany?

- Nie wydaje mi się, aby Pan Bóg miał z tym coś wspólnego. Nie było to zresztą nic poważnego. Jak widzisz, mam nadal i ręce i nogi. Ale przyznaję, że latanie w okresie wojny jest niebezpiecznym zajęciem. Serdecznie doradzam wszystkim napotkanym ludziom, żeby raczej nie próbowali.

- Jesteś więc bohaterem?

- Niekoniecznie. Bohaterowie to ludzie, którzy oddają wszystko co mają, żeby ratować innych. Tymczasem ja byłem tylko facetem, który znalazł się w pobliżu, gdy prawdziwi bohaterowie wykonywali swe zadanie. Ale dlaczego tak to przeżywasz?

Bo ja..., pomyślała, bo doszłam do takiego momentu, kiedy bardzo troszcę się, niepokoję o ciebie. Im bardziej cię poznaję, tym więcej chciałabym z ciebie mieć. I jak mi się wydaje, po prostu zakochałam się w tobie, Charlie... jak ci tam. Tak myśląc, zapytała:

- A przy okazji, czy mogłabym się wreszcie dowiedzieć, jak się nazywasz?

- Oczywiście Charlie.

- Daj spokój, nie jestem małą dziewczynką, która lubi lizaki. Jakie jest twoje nazwisko?

- Ach, o to ci chodzi. Otóż ochrzczono mnie jako Charlesa Alberta Mathersa. Dość pospolite nazwisko. Nieprawdaż?

- Może masz rację - powiedziała wreszcie usatysfakcjonowana, ale jednocześnie pomyślała, że z tym nazwiskiem coś się jej kojarzy. - Kiedyś, w tych stronach, mieszkała rodzina Mathersów. Czy to twoi krewni? - zapytała.

- Nie zdziwiłbym się - odparł ze śmiechem. - Zawsze byliśmy wędrownikami. Być może jacyś krewniacy przywędrowali także w te strony, do Kansas, ale także na przykład do Nebraski.

- Mężczyzna o nazwisku Borgen - powiedziała ostrożnie - mieszkał w Libertyville. Umarł niedawno. Roger Borgen. Być może go znałeś? - rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie. - To może zabrzmie głupio, ale bardzo go przypominasz.

- Wielu mężczyzn w naszej rodzinie miało na imię Roger. Poczynając od Rogera Mathersa, korsarza, żyjącego w szesnastym wieku. Powieszono go w dokach Bristolu.

Rachela poczuła przebiegający ją dreszcz. Pokręciła głową i pomyślała, że nic więcej z niego tym razem nie wyciągnie. Spróbuje kiedy indziej. Teraz zmieni temat.

- Powiedz, Charlie, jak do tego doszło, że zostałeś ranny?

- Niewiele jest do powiedzenia - rzekł uśmiechając się. - Leciałem maszyną F-111 w misji zwiadowczej, kiedy zaatakowało mnie pół tuzina Migów 23. Pod koniec utarczki zamiast zrobić gwałtowny zwrot w lewo, zrobiłem go w prawo i dostało mi się. Łokciem trąciłem w przycisk wyrzutni i razem z fotelem zostałem katapultowany z samolotu. I tak to wyglądało. A teraz, po mojej opowieści, mam chyba prawo zadać ci pytanie?

- Ale tylko jedno.

- Dlaczego, u diabła, zabrałeś się do robienia na drutach? I po co, u diabła, to całe gadanie o tym, że jesz za dwoje?

- Dlatego że...

Było jej bardzo trudno rozmawiać na ten temat bez zaczerwienienia się. Spiekła więc raka i odparła:

- Robię na drutach ubranko dla mego maleństwa. Wszystkie kobiety, spodziewające się dziecka, robią to przecież. I muszę uważać na to, co jem, z tego samego powodu.

- Być może czegoś nie łapię - wycedził z twarzą kamienną, jak u sędziego.

- Nie rozumiem, czego ty nie rozumiesz, skoro jesteś tego sprawcą.



- Ja... ja mam z tym coś wspólnego?

-Wiesz przecież... minionej nocy! - powiedziała z trudem i ponownie zabrała się do roboty na drutach. - Przyznam ci się, że ja z kolei nie rozumiem, dlaczego nie daje mi to radości. Wszystkie książki, które czytałam na ten temat, mówią, że kobieta w takich okolicznościach przeżywa wielkie zadowolenie.

Charlie zerwał się z fotela gwałtownie i odsunął od niej.

-Posłuchaj, Rachelo. Zupełnie nie wiem, o czym mówisz. Minionej nocy byłaś bardzo chora. Obmyłem cię całą i zaniósłem do mojego łóżka, bo prosiłaś, żebym cię nie zostawiał samej. Na szczęście twoja gorączka obniżyła się i usnęłaś spokojnie, na moim ramieniu. Mimochodem powiem, że rano moje ramię było całe zdrętwiałe. I to było wszystko, szanowna pani, co wydarzyło się minionej nocy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ty... - opuściła swoje druty i splotła ręce przed sobą. - Chcesz powiedzieć, że ja... że ty...

- Nic się nie wydarzyło - powiedział twardo. - Absolutnie nic.

- A więc ja nie jestem...

- Jesteś dokładnie taka, jaką byłaś przedtem - powiedział jeszcze raz z naciskiem. - Mówiłem ci przecież, że zajmiemy się tamtą sprawą, gdy oboje będziemy do tego gotowi. A jeśli podejrzewasz, że mógłbym wykorzystać chorą kobietę, to jesteś chyba jeszcze bardziej szalona, niż przypuszczałem. - Po tych słowach Charlie wyszedł z pokoju, pozostawiając Rachelę jej własnym myślom.

Niech Bóg ukarze tego człowieka! - krzyknęła w myślach. Sądziła, że ma już wszystko za sobą, a tymczasem nic się nawet nie zaczęło!

Dobierze się jeszcze do skóry temu facetowi! Obie jej pięści zacisnęły

się. Poczwała, jak paznokcie wbijają się w dłonie. Jej lewe oko  
zwilgotniało odrobinę. W chwilę potem Rachel Hammond gorzko  
płakała.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Charlie poszedł do łóżka około jedenastej. Ale sen nie nadchodził. Głowę miał pełną myśli. O Racheli, upierającej się, że musi być matką, i to matką chłopaka. Myślał o ojcu Racheli, który w okrutny sposób doprowadził dziewczynę do tej obsesji. Myślał też o sobie, dlaczego przez kaprys losu miałby być narzędziem w urzeczywistnieniu owego szaleństwa. Ale dla Charliego jedno było oczywiste. Nie będzie żadnego dziecka, kręcącego się po bezkresach stanu Kansas, pozbawionego jego, Mathersa, ojcowskiej opieki. Gdy dochodził do takiej konkluzji, nagle usłyszał, jak małe grudki ziemi uderzają w szybę jego okna. Zwłóknął się z łóżka i doszedł go głos:

- To ja, Joe, szefie. - Wielki Komancz stał na zewnątrz. Jego koń przywiązany był do słupa podpierającego werandę. - Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć - mówił Indianin. - Jakieś ciężarówki jadą wzdłuż ogrodzenia. Jest w nich dwu albo trzech mężczyzn. Sprawdzimy to?

Pytanie było zbyt szybko. Charlie błyskawicznie nałożył robocze ubranie i za chwilę już skradał się ku drzwiom frontowym. Niełatwo było bezszelestnie, po ciemku przemknąć się obok pokoju Racheli. Toteż gdy znalazł się tam, dziewczyna stała już w otwartych drzwiach.

- Co się dzieje? - zapytała szeptem.

- Jeszcze nie wiem - odparł równie cicho - ale założę się, że to złodzieje bydła. Joe i ja pojedziemy sprawdzić.

- To są moje zwierzęta.

- Zupełna racja. Ale mnie się spieszy, Rachelo!

- To są moje zwierzęta, jadę z wami.

Tylko z wielkim trudem mógł dostrzec w ciemności biel jej nocnej koszuli. W swym życiu dużo najeździł się po ogromnych pastwiskach. Najeździł się też niemało w towarzystwie różnych kobiet. Ale nigdy nie działo się to równocześnie.

- Nie wiem, czy dasz radę w takiej ciemności - powiedział wyraźnie wąpiącym tonem.

- Spróbuję. Moje zwierzęta, moje płoty, jadę!

- Uparciuch! - rzucił przez zęby, wzruszył ramionami i skierował się do drzwi. - Ubierz się błyskawicznie, załóż coś ciepłego. Przygotuję konie.

Z pomocą Indianina wierzchowce były szybko gotowe do drogi. Po dwóch minutach zjawiała się Rachel. W kowbojskich butach, w dżinsach, ciepłym swetrze i kurtce osłaniającej przed wiatrem. Bez słowa znalazła się w siodle. Prowadziła konia w prawdziwie zachodnim stylu, miękko przygięta do przodu. Ze zwierzęciem stanowiła jedność. Charlie wydał pomruk pochwały. Przez dłuższy czas jechali w prawie całkowitej ciszy. W pewnej chwili Indianin odezwał się ledwo słyszalnym głosem:

- Frankie pojechał w bok, żeby zająć ich od drugiej strony.

Wygląda na to, że jest tam dwadzieścia pięć niezłych, mięsnych sztuk. Faceci mają nadzieję na dobry nocny połów.

- Gdy tam dojedziemy - Charlie wydał dyspozycję - ustawisz się po drugiej stronie dziury w ogrodzeniu. Ja będę pilnował z tej strony...

- A ja stanę w środku - przerwała Rachel - i będę pilnować, żeby nic się nie wydostało na zewnątrz.

- Daj spokój, u diabła - warknął Charlie, starając się mówić jak najciszej. - Powinnaś zostać w domu. To nie jest miejsce dla kobiet. Chcę, żebyś... ale co tam masz, u licha?

- Nie panikuj - odszepnęła. - To jest sześćcio-strzałowiec, kaliber 44. Nigdy nie widziałeś czegoś takiego?

- Widziałem raz - mruknął i ustawił swego konia tuż obok niej. - Widziałem raz - powtórzył - w ręce młodego głupka, któremu się wydawało, że zjadł wszystkie rozumy. I skończył jako sztywny trup. Oddaj mi to.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli oddam! - Rachelę dorzuciła jeszcze dwa inne mocne słowa, a potem nagle pisnęła, gdyż wyrwał jej broń z ręki. - Oddaj mi to natychmiast! - zawołała.

- Jak sama powiedziałaś, niech mnie diabli porwą, jeśli oddam - wyrzucił z siebie. - Jeżeli już musisz zabrać broń na taką przejażdżkę jak nasza, to nie powinnaś mieć kuli w lufie. Myślałem, że Hammondowie nie mieli głupawych dzieci, ale okazuje się, że byłem w błędzie.

- Oddaj mi rewolwer - powtórzyła. Każde słowo było wypowiedziane z naciskiem, spotęgowanym wściekłością.

- Powiedziałem „nie” i nie żartowałem. Jesteśmy porządnymi facetami, Rachelo Hammond. Nawet jeśli ci go zwrócę bez naboju, to co sobie pomyślą tamci, gdy zobaczą tę broń? Nie, żadnych pukawek. Bez dyskusji.

Rachela zdawała sobie sprawę, że nie chodzi tu o żarty, ale przecież cała jej wiedza o złodziejach bydła wywodziła się z filmów o Dzikim Zachodzie.

- W jaki sposób wobec tego zamierzasz ich powstrzymać?

- Tym oto - szepnął i wskazał na łąso przytroczone z tyłu siodła. Wziął je na chwilę w ręce, aby jej pokazać, w świetle księżyca, jak formuje pętlę. - To jest prawie dziesięć metrów dobrej, solidnej łąny. Kiedyś była robiona z surowej skóry, dzisiaj jest z nylonu.

- Ale ja nie wiem, jak się tego używa - zajęczała.

- Cicho bądź - wyszeptał. - Jesteśmy już bardzo blisko. Zachowaj się choć raz jak dojrzała kobieta, Rachelo. - Był od niej za daleko, aby go mogła uderzyć. A bardzo tego chciała. Dała więc tylko ostrogę koniowi i pojechała przodem.

Ludzie z zaparkowanej niedaleko ciężarówka czuli się widać bardzo pewnie. Rozmawiali bowiem głośno i używali reflektora. Jakby sądzili, że świat do nich należy. Charlie wstrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Wszyscy poszli za jego przykładem.

- Co, u licha - Charlie zamruczał pod nosem, zaskoczony.

- Rozbiliśmy obóz-pułapkę, dwadzieścia kilometrów do przodu - wyjaśnił Joe, wskazując ręką ku południowemu wschodowi. - Nauczyłem się przecież czegoś w wojsku, majorze.

- Nie mów do mnie majorze - cicho zaprotestował Charlie. - Podjedź na drugą stronę tej dziury w ogrodzeniu.

W tym momencie z oddali dobiegło żalosne zawodzenie lelka kozodoja.

- Ten chłopak niczego się nie nauczy - skomentował Joe. - Dla niego głos lelka jest taki jak skrzek wrony. Ale to jednak oznacza, że on jest już z tyłu, za nimi.

- Po tych słowach Indianin ześliznął się z konia i zniknął w wysokiej trawie prerii.

Charlie podsunął się do najbliższego słupa ogrodzeniowego i przykucnął przy nim. Rachela zrobiła to samo. Tak blisko, żeby się mogli wzajemnie słyszeć, ale tak daleko, aby się nie dotykali. Chciała mu zadać setkę pytań.

- Powiedział do ciebie: majorze?

- To po prostu stare przyzwyczajenie - odparł.

- Mojego dziadka przez lata nazywali generałem, a on jest tylko kaznodzieją.

- Dlaczego generałem?

- Do diabła, Rachelo Hammond. Bądź uprzejma zamknąć się. Nie przyjechaliśmy tu przecież na towarzyską herbatkę.

- Ale ja chcę wiedzieć!

- Jeśli ci odpowiem, będziesz wreszcie cicho?

- Tak, przynajmniej przez chwilę.

- Okay, więc nazywali go generałem, bo miał stopień generała brygady.

- Ale przecież...

Charlie uciszył dziewczynę, kładąc jej wielką dłoń na ustach. I zrobił to niezbyt delikatnie.

- Obiecałaś być cicho - syknął - tym bardziej, że właśnie zbliżają się.

Rzeczywiście podchodziło w ich kierunku dwóch kowbojów, tych samych, którzy odjechali z Hendrixem po jego ostrej sprzeczce z Charliem. Jeden z nich niósł wielkie nożyce do cięcia drutu kolczastego.

- Wytnij w ogrodzeniu jeszcze parę metrów - powiedział drugi rabuś - tak, żeby łatwo nam było przepędzić zwierzaki do ciężarówki. O co ci tym razem chodzi? - zapytał, widząc wahanie kompana.

- Zgubiłem jedną rękawicę. Pójdę do wozu i poszukam drugiej pary, nie chcę się pokaleczyć tym cholernym drutem.

- Mogłem się spodziewać, że znajdziesz jakiś wykręt. Kolce na tym drucie nie są dość ostre, żeby... -Ale tamtego już nie było. Mężczyzna zamamrotał coś do siebie, wyraźnie rozzłoszczony i odciągnął na bok wcześniej wycięty fragment ogrodzenia.

Rachela nie mogła już dłużej tkwić w bezruchu. Miała za sobą wiele godzin ostrego sporu z Charliem. Długa jazda konna, w chłodnym powietrzu, też zrobiła swoje. Zaczęła się więc podnosić. Ale ciężka ręka Teksańczyka natychmiast przygniotła ją z powrotem do ziemi. Przewróciła się w trawie i już miała ostro zaprotestować, kiedy usłyszała świszczący odgłos rzucanego lassa. Celem był kowboj, stojący w świetle reflektora, kilka kroków od nich. Zdołał tylko wykrzyknąć: - Co się dzieje, do cholery! - a pętla lassa już obejmowała mu ramiona. Drugi koniec liny był przymocowany do siodła na koniu Charliego. Zwierzę było doskonale wyuczone. Gdy tylko poczuło, że lasso się napina, zaczęło się cofać. Lina oplótła ciało kowboja, który przewrócił się na plecy. Charlie, jak wprawny uczestnik konkursów rodeo, znalazł się natychmiast przy leżącym mężczyźnie. W rękach miał dwa kawałki linki, służącej do pętania zwierząt. W mgnieniu oka kowboj był skrępowany jak należy i odciągnięty w cień.



Zanim Rachelą była w stanie wypowiedzieć choćby słowo protestu, Charlie już stał przy niej i jeszcze raz przygotowywał lasso do rzutu.

Oboje znowu skryli się w trawie. Przed nimi, kawałek dalej, dał się słyszeć męski podniecony głos:

- Lou? Gdzie jesteś, do diabła, Lou? - A po chwili ten sam głos, ale nieco przyciszony, zawyrokował: - Powinienem przewidzieć, że on znowu się wykręci. Zawsze miga się od roboty, ale po zapłatę to przychodzi...

W sekundę potem niedawna sytuacja powtórzyła się i drugi spętany linkami mężczyzna leżał obok pierwszego.

Rachela podniosła się na kolana, tak że głowa wystawała jej ponad trawę. Kolejny ludzki kształt przybliżał się do nich. Tym razem był to jednak Joe Juarez.

- Nie jestem tu w ogóle potrzebny - wymamrotał, gdy spostrzegł Charliego i Rachelę. - Z powodzeniem mogłem pozostać w moim śpiworze.

- Nie ma już nikogo więcej? - zapytał Charlie.

- Nikogo. Tego trzeciego, Hendrixa, mój chłopak dopadł od tyłu, parę minut temu. Co teraz robimy, szefie?

- Zabierzcie ich do szeryfa - powiedziała Rachelą, w wielkim podnieceniu. - Złapaliśmy ich przecież na gorącym uczynku.

- Jeśli byłoby w pobliżu jakieś drzewo, chciałabyś ich zapewne zlinczować, czyli od razu powiesić - powiedział ironicznie Charlie.

- Dlaczego by nie? Przecież kradli bydło!

- To dopiero trzeba udowodnić w sądzie. A to długa procedura. Na razie oficjalnie niczego nie możemy im zarzucić.

- Na Boga, nie myślisz chyba, że mamy ich puścić wolno? Szlag by mnie trafił, gdybym...

- Rachelo, jesteś nieodrodną córką swego ojca. Uspokój się.

W tym momencie w krąg światła wjechał na koniu młodszy Indianin, prowadząc przed sobą na linie człowieka. Hendrix, zadyszany, ale zbyt dumny, żeby pogodzić się z przegraną, obrzucił wszystkich wokół wyzywającym spojrzeniem i przysiadł, aby odpocząć.

- Nie jesteście dość sprytni, żeby wszystko trzymało się kupy - wymamrotał. - Lepiej dla was będzie, gdy nas wypuścicie.

- Może masz rację - powiedział Charlie zgodliwie. - Na pewno nie moglibyśmy wam niczego udowodnić, gdyby w waszej ciężarówce nie było ani jednej sztuki z naszego stada. - Na chwilę zapadła cisza, a potem rozległ się śmiech Hendrixa.

- No właśnie! Przecież ich tam nie ma! - zawołał triumfalnie. - Powtarzam, niczego nam nie udowodnicie!

- Być może - znowu przyznał Charlie i powiedział to tonem, który mógłby świadczyć, że cała sprawa zupełnie go nie obchodzi.

Tymczasem obaj Indianie gdzieś zniknęli. Po chwili rozległy się porykiwania bydła, jakby budzonego ze snu wbrew swej woli. Ale niebawem wszystko uspokoiło się znowu i dwaj Indianie pojawili się jakby spod ziemi.

- Trzy sztuki są w ciężarówce - Joe raportował. - Wszystkie są świeżo oznakowane. Zrobiłem im fotografie polaroidem. Wyglądają bardzo przystojnie.

- To cholerne oszustwo! - wrzasnął Hendrix, nieporadnie unosząc się na nogi. - Nie dotykaliśmy nawet tych waszych krówek!

- Może masz znowu rację - Charlie rzucił od niechcienia. - Przymuszczalnie zwierzaki same wspięły się na ciężarówkę, szukając czegoś smacznego do jedzenia. Powiem ci, co teraz zrobimy. A więc pozostawimy wszystko tak jak jest, zdrzemniemy się trochę, a jeden z nas pojedzie do szeryfa i sprowadzi go tutaj.

- Wydaje się wam, że on przyjedzie, aby popatrzeć na tych parę krów? Do biura szeryfa musi być więcej niż sześćdziesiąt kilometrów. - Hendrix, czując, że sprawy przyjmują korzystny dla niego obrót, rozsiadł się w trawie i odprężył.

- Znowu racja - powiedział Charlie i podniósł się z ziemi. - Dodajmy jeszcze, że tylko około dziesięciu kilometrów jest do naszego domu i do helikoptera. Myślę więc, że powinniśmy już z panną Rachelą ruszać w drogę.

- Helikopter? - zaskowyczał Hendrix.

- Zgadza się. Postęp techniczny dociera już także na równiny Kansas. Odjeżdżamy więc, a was pozostawiamy w rękach dwu najwspanialszych teksańskich Indian.

- Z jakiego plemienia? - zapytał Hendrix, dysząc ciężko.

- To są Komancze - odparł Charlie. - W starym stylu. I radzę wam, chłopaki, dobrze się zachowywać, bo nigdy nie wiadomo, co tym Indianom może strzelić do głowy. Chodź, Rachelo, jedziemy.

Gdy szli do swych koni, dziewczyna zapytała:

- Nie masz chyba zamiaru pozostawiać ich na łasce tych Indian?

- Właśnie to chcę uczynić, szanowna pani. - Mówiąc te słowa, zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie. - Wydaje mi się, że za szybko osądzasz ludzi, panno Rachelo. Joe Juarez jest absolwentem college'u w Teksasie. Moja rodzina jest w posiadaniu sześciu gospodarstw hodowlanych w tamtej okolicy i Joe jest generalnym zarządcą firmy, która obejmuje wszystkie rancza. Zjawił się tutaj, bo go o to prosiłem. A chłopak jest jego najstarszym synem.

- Nigdy nie sądziłam... - Rachelo chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej ze złością:

- Czy wiesz, kim ty naprawdę jesteś? Cholernym, zepsutym dzieciuchem. Wydaje ci się, że nikt inny, tylko ty, masz zawsze rację. Lepiej byś zrobiła, prowadząc to ranczo przy pomocy robotów. Po dniu. pracy wstawiałabyś je, razem z końmi, do stajni czy stodoły i zapominała o nich. A teraz, szanowna pani, wskakuj na siodło.

Dziewczyna zrobiła to z takim rozmachem, że omal nie spadła na drugą stronę konia. Utrzymała jednak równowagę i pogalopowała w ciemną noc.

- Cholerne, głupie babsko - zamruczał Charlie, także dosiadł konia i pogonił za nią.

- Popatrz na nich - Joe zwrócił się do syna. - Co za zwariowana choroba, ta miłość. Pilnuj się, żeby jej nie złapać.

- Nie bój się, tato - odpowiedział chłopak. - Jestem uodporniony. Miałem tę chorobę już sześć razy.

- A masz zaledwie dziewiętnaście lat - jęknął ojciec. - Posłuchaj, jak galopują. W każdej chwili jeden z ich koni może wpaść nogą w jakąś

dziurę i lepiej nie myśleć, co się wtedy stanie. Chodź, synu, spróbujemy zmrużyć na chwilę oczy.

Tymczasem Charlie zdołał dopędzić Rachełę, złapał jej konia za uzdę i zmusił oba wierzchowce do wolnego truchtu.

- Nie namawiałem cię, żebyś złamała kark - bąknął.

- Trzymaj się z dala ode mnie! - krzyknęła ostrzegawczo. - Jeśli miałabym wolną rękę, to...

- Czy twój ojciec albo matka sprawili ci kiedyś lanie? - przerwał jej.

- Nigdy! - wyrzuciła z siebie z najwyższym oburzeniem. - I niech ci nic takiego nie przychodzi do głowy!

- Nie mam najmniejszego zamiaru - powiedział gburowato. - Jesteś na to za stara. Ale uwierz mi, ja muszę coś zrobić. - Ściągając uzdę, Charlie zmusił jej konia, aby biegł równoległe z jego zwierzęciem, potem rzucił wodze, nachylił się w jej kierunku i poderwał dziewczynę z siodła.

- Jak śmiesz! - krzyknęła.

- Śmiem, jak najbardziej śmiem! - odkrzyknął.

W pierwszej chwili miała to być kara, ale w sekundę potem, jak tylko dotknął jej warg własnymi ustami, taki zamysł wyleciał mu oczywiście z głowy. Były miękkie i ciepłe i bynajmniej nie odtrącały go. Może w pierwszym momencie zaskoczenia wyczuł coś na kształt oporu, ale w chwilę potem wszelkie bariery opadły. Objął więc dziewczynę mocniej, ale ona prawie nie czuła uścisku, bo po prostu całkowicie mu się poddawała. Robiła to po raz pierwszy w swym omalże trzydziestoletnim życiu. Sama zarzuciła mu ręce na szyję, starając się

wzmocnić pocałunek. Zamknęła oczy przy pierwszym jego natarciu, ale teraz otworzyła je szeroko i patrzyła na tę twarz, z którą wiązało się tyle jej przeżyć. Zaskoczenie pojawiło się z kolei w jego oczach. Odsunął się od niej i zaczerpnął tchu.

- Nie miałem takiego zamiaru - wyszeptał. Rachela cofnęła jedną rękę i obtarła nią pot, spływający po czole Charliego.

- Co, u licha, wyprawiasz ze mną? - zapytał, jakby nie rozumiejąc sytuacji.

- Nie wymagaj ode mnie wyjaśnień - powiedziała z kwaśną miną. - Przecież to ja miałam być ukarana. Czy nie mam racji?

- I, do diabła, nie zapominaj o tym.

Charlie wiedział, że musi coś zrobić, aby zachować twarz. Bądź wściekły, pomyślał. Bądź podły, nikczemny. I bądź gotowy zrobić to ponownie! Ale jego rozsądek zapanował nad emocjami. Naprowadził swego konia tak, że znalazł się tuż obok klaczy Racheli, uniósł dziewczynę jak piórko i posadził ją w jej własnym siodle.

- A teraz ruszaj przed siebie! - zawołał rozkazującym tonem.

- Chciałabym być koniem! - krzyknęła w jego kierunku.

- O co, na Boga, chodzi ci tym razem?

- Zauważyłam, że traktujesz wszystkie konie w bardzo kulturalny sposób.

- Bo przecież na to zasługują.

- A ja nie?

- Można to tak określić.

Poczuła, że wspaniałe emocje, które przeżyła przed chwilą, wypierane są przez zgoła inne, przez wściekłość.

- Ja po prostu ciebie nie rozumiem - warknęła, walcząc z ogarniającą ją furia. - A tak przecież starałyśmy się. Ja i moje dwie lekarki. Nie masz w ogóle pojęcia, ile wysiłku kosztowało, żeby wszystko było jak należy.

-I zawiodłem cię? Jak widać nie jestem doskonały.

- Z jednej strony jesteś bardziej niż doskonały - powiedziała - ale z drugiej strony, pod innym względem, nawet nie dość dobry. Nie odpowiadasz, po prostu, moim ideałom, moim wyobrażeniom o tym, jaki powinien być mężczyzna. I to chciałam ci powiedzieć.

- Przykro mi, że słyszę te słowa od ciebie, ale wiem także, że szczerą opinią jest najlepszą rzeczą na świecie. A co można powiedzieć o tobie?

- O mnie? Nikt nie miał nigdy zamiaru mnie oceniać. Jestem, jaka jestem i nigdy się nie zmienię.

- Jaka szkoda - powiedział. - Ktoś dawno powinien cię oszacować, a potem wziąć cię w swoje ręce i nastawić twój wewnętrzny motor na właściwe obroty.

- Może ty jesteś tym kimś?

- Mógłbym być - odpowiedział, zsunął swego stetsona na tył głowy i wytarł czoło z potu. - Mógłbym być, ale ty wolałaś mi dać zajęcie w swojej oborze. A tak szczerze powiedz, czego właściwie chcesz od życia? Zamierzasz jedynie przedłużyć dynastię Hammondów?

- Tak właśnie jest. Nie było najmniejszej wątpliwości, że mój ojciec chciał mieć chłopaka. Kiedy utracił swego małego Jimmy'ego, dokładał wszelkich starań, abym ja myślała i zachowywała się jak mężczyzna. Chociaż zdawał sobie sprawę, że nie uda mi się to w stu

procentach. Powiem więc, że rzeczywiście chcę mieć to dziecko głównie dla uczczenia pamięci mego ojca. A ponadto... - Tu głos się jej załamał i odwróciła się od niego. Było jeszcze ogromnie dużo spraw, o których chciała mu powiedzieć, ale nie śmiała.

- Co ponadto?

- Ponadto myślę, że nic z tego, co mówię, nie jest ważne dla ciebie.

Dajmy temu spokój.

-Wszystko jest dla mnie ważne, jeśli mam być ojcem tego chłopaka. Bo przecież to ma być chłopak.

- Oczywiście - powiedziała z goryczą. - Przeraza mnie myśl, że mogłaby to być dziewczynka i że miałabym zacząć jeszcze raz wszystko od początku. - Zapadła cisza między nimi, a konie dalej cwałowały w kierunku domu. - Jak mi się wydaje, wszystko to nie powinno cię martwić. Rozumiem, że wciąż nie jesteś przygotowany, żeby spełnić moją prośbę. Wobec tego, gdy załatwimy sprawę ze złodziejami bydła, wrócę do miasta, zajmę się znowu magazynem i zaczekam, aż uda nam się znaleźć lepszego kandydata niż ty.

- A co będzie ze mną?

- Potraktuj wszystko jako eksperyment, który się nie udał.

Mógłbyś także, jeśli nie masz nic przeciwko temu, znaleźć mi innego brygadzystę polowego. Chyba że sam chciałbyś wystąpić w jego roli.

- Nie. Nie ma powodu, żebym tu pozostawał. Gdy się rozejdziemy, zabawa się skończy. Oczywiście, kolejnego brygadzystę mógłbym ci znaleźć bez najmniejszego trudu. Bezrobocie idzie w górę, zarówno w całym stanie Kansas, jak w Nebrasce i w stanie Wyoming. Puszczę tylko



odpowiednią wiadomość. A do tego czasu Joe mógłby się zająć tutaj twoimi sprawami.

- A ty, Charlie, co zamierzasz robić?

- To co planowałem, przyjeżdżając do Kansas. Muszę zająć miejsce mego wuja, przypilnować wykonania jego testamentu i tak dalej. On nie miał dzieci. Założę się, że wszystko przebiega nie po jego myśli. Wujek był inwalidą przez ostatnie sześć miesięcy swego życia. Wszystko może się zmarnować, gdy człowiek tak długo przykuty jest do łóżka.

- Zgadzam się z tobą. Ze swojej strony chciałam ci podziękować, panie Mathers. Wzięłeś wszystko garść na ranczu i wprowadziłeś dużo wspaniałych zmian. Gdy pana nie ma w domu, koty harczą, to znana prawda.

W tej właśnie chwili konie wbiegły na podwórze i skierowali je ku helikopterowi. Maszyna miała klocki pod kołami i przed porywami wiatru była zabezpieczona specjalnymi linkami przymocowanymi do twardo osadzonych haków.

Charlie zeskoczył z konia i zapytał:

- Chcesz polecieć ze mną?

- Nie sądzę. - Rachela też zsunęła się na ziemię.

- Myślę, że omówiliśmy już wszystko, co tego wymagało.

- Nie zgadzam się z tobą. Jest jeszcze milion spraw, o których powinienem ci powiedzieć. Na przykład, że jesteś wspaniałą kobietą, panno Hammond. Ale zastanawia mnie, jak mogłaś po tylu zabiegach związanych z propozycją mojego ojcostwa, tak nagle ze wszystkiego

zrezygnować? - Rachela odsunęła się od niego gwałtownie, jakby był laską dynamitu z zapalonym lontem.

- Chcesz odejść przy pierwszej poważniejszej trudności

- ciągnął dalej. - Chyba nie mówisz tego poważnie?

-Jak najpoważniej! - powiedziała ostro. - Nie zrezygnowałam z mego zamiaru, zrezygnowałam tylko z ciebie. Znajdę jakąś drogę wyjścia, wierz mi. I znajdę innego mężczyznę, jeśli zajdzie taka potrzeba. - Jej głos obniżył się do szeptu. Pilnowała się, żeby nie zauważył jej łez!

Charlie położył ręce na jej ramionach i głęboko spojrzał w oczy. W ciemności nie mogła rozpoznać wyrazu jego twarzy.

- Pragnąłem, aby to się inaczej zakończyło - powiedział. W jego głosie wyczuwało się smutek, prawdziwy żal.

Przeleciał ją dreszcz. To wyglądało jak... A niech to licho porwie, pomyślała. Wziął ją w ramiona jeszcze raz i przytulił mocno, ale jednocześnie bardzo delikatnie. To nie jest to, czego mi naprawdę potrzeba, skłamała sama przed sobą. Nie będzie dominował nade mną i nie przemieni mnie w kurę domową z dziesięciorgiem dzieci. W pełni panuję nad swoimi potrzebami i pragnieniami i nie mogę się zgodzić, żeby zawładnął mną i przekształcił wedle swojego gustu. Jakiś pastuch z Teksasu? Jedyne, co przemawia na jego korzyść, to fakt, że bierze kąpiel każdego dnia. Jasne, że mogę sobie poradzić bez niego.

Taki był tok jej myśli, aż do chwili gdy pocałował ją. A potem niczego już nie pamiętała. Jego gorące wargi odcięły dziewczynę od reszty świata. Orgia kolorowych fajerwerków wystrzeliła w górę, ku niebiosom. Lecz ona uleciała jeszcze wyżej. Całym jej ciałem

wstrząsały dreszcze. Nie mogła przejąć kontroli nad swymi doznaniem, pozwoliła mu objąć się jeszcze bardziej i była gotowa przystać na wszystko.

I nagle to zapamiętanie skończyło się. Mężczyzna odsunął się delikatnie od niej. Ręką przyczesał jej wspaniałe włosy, jakby udzielając błogosławieństwa.

- Żegnam cię, Rachelo Hammond - powiedział miękko, z odcieniem żalu w głosie.

- Czy nigdy cię już nie zobaczę?

- A czy jest powód, aby było inaczej? Sprowadzę ludzi szeryfa i zajmę się całą papierkową robotą. A ty powinnaś tylko dobrze się wyspać i powrócić do swego magazynu. Mam rację?

- Chyba tak - powiedziała, prostując ramiona. Rachela gdzieś znikła. Pozostała tylko reprezentantka rodu Hammondów. - Przyjdź kiedyś do biura - szepnęła - zapłacę ci, ile się należy.

- Nie ma takiej potrzeby - zapewnił ją. - Niczego nie zrobiłem, więc nic mi się nie należy. Zgódźmy się, że jesteśmy kwita. Rachunki są wyrównane.

Tak, pomyślała odchodząc. On ma rację. Jesteśmy kwita. Ale skąd, w takim razie, to bolesne uczucie? Próbowała zastosować jedną z ojcowskich reguł.

Brzmiała ona: „Wyprostuj się, napnij wszystkie mięśnie, przybierz radosny wyraz twarzy”. Nawet jeśli on tego nie dostrzeże, w rozpraszającym się świetle zachodzącego księżyca. Zrób to, Hammondówna. Nie pozwól temu mężczyźnie zobaczyć, że płaczesz. Bo jeśli to dostrzeże, pomyśli, że po prostu odgrywaliście farsę.

Ale on, w pogłębiającym się mroku, mógł zaledwie zobaczyć, że kiwa mu ręką na pożegnanie.

Charlie podszedł szybko do helikoptera. Jak sprawny automat wykonał wszystkie czynności przygotowawcze do lotu. Myślał jednak wciąż o dziewczynie. Że jest wspaniałą kobietą, ale pełną goryczy, niedostosowaną do życia, kobietą, której rozpaczliwie potrzebny jest mężczyzna taki jak on, aby mogła wyjść za mąż. Ale ona nie chce tego. Potrzebne jest jej dziecko, a nie ojciec dziecka. Cóż to za szaleństwo? Charlie pokręcił głową z dezaprobatą. Instrumenty pokładowe świeciły na niebiesko i czerwono. Był już w powietrzu. Jak pokazywał wysokościomierz, sto metrów nad powierzchnią ziemi. Włączył radio i zaczął szukać połączenia z biurem szeryfa.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rachela Hammond obrzuciła wzrokiem swoje biuro na szczycie „piramidy” i westchnęła z odrazą. Po powrocie z rancza wszystko, co widziała wokoło, przyprawiało ją o niestrawność żołądka.

- Posłuchaj, Elmer - powiedziała, starając się panować nad głosem.  
- Przejrzałam wszystkie numery „Gossipera”, które wydaliście od chwili mego wyjazdu. Z wszystkich leje się nuda. Nieogarniona nuda. Czy zdajesz sobie sprawę, że nasza tygodniowa sprzedaż spadła w ostatnim czasie o osiem tysięcy egzemplarzy?

Elmer Chatmas był redaktorem tygodnika jeszcze od czasów dziadka. Wiedział zatem o tym i owym z zakresu prowadzenia periodyka. Odpowiedział więc spokojnie:

- Są wakacje, okres letni. Ludzie wyjeżdżają z miasta. Nasi czytelnicy nie zabierają ze sobą „Gossipera” na plażę. Nie jesteśmy odpowiednikiem „The Digest”. Chyba to rozumiesz?

- Tak, wiem - warknęła. - Ale nadal upieram się, że pierwsza strona przepełniona jest nudą!

-Posłuchaj, dziewczyno - powiedział Elmer nie-zrażony. - Jest, jak przewidywałem. Nie było cię zaledwie parę tygodni, a wróciłaś gotowa do przewracania wszystkiego do góry nogami. Co zatem proponujesz?

- Przede wszystkim musimy udowodnić całemu światu, że „The National Gossiper” ma wciąż żądło w ogonie. A jeśli chodzi o najbliższy numer tygodnika, to chcę, żebyś wynalazł kogoś na pierwszą stronę i poprowadził przeciwko niemu gigantyczną kampanię.

Mówiąc o jego ciemnych sprawkach, kradzieżach, kobietach, podejrzanym kontaktach...

- Defraudacjach, malwersacjach - Elmer wpadł jej w słowo. - To zawsze chwyta.

- Tak, masz rację. - Pomysł spodobał się jej. - Nadmuchaj ten balon jak tylko można. Dlaczego, u licha, nigdy wcześniej nie pomyślałam o defraudantach? Naszych czytelników interesuje przecież wszystko, co dotyczy forsy. A zwłaszcza brudnych pieniędzy.

- Nie przyszło ci to do głowy, kochanie, bo twoja myśl nie chodzi tymi ścieżkami. Jesteś bardzo dobrą, miłą dziewczyną. - Elmerowi potrzebna była zasłona dymna. Pogwałcił więc wszystkie reguły redakcyjne, wyciągnął fajkę i zapalił. W poprzednich latach nieraz był w opozycji do dziewczyny, ale zawsze spotykał się z łagodnym odporem. Tym razem Rachel eksplodowała.

- Dobra dziewczyna? Pokażę ci, jaka jestem dobra! Chcę, żeby najbliższy numer „Gossipera” był tak zjadliwy, napastliwy, trafiający w czułe miejsca, żeby słowo „dobra” nigdy nie przyszło mu... nie przyszło im do głowy, gdy pomyślą o nas.

Elmer o mało nie zadławił się dymem z fajki i wykrztusił:

- Chcesz, żeby materiał był cuchnący?

- Tak właśnie chcę!

- Niezależnie od tego, kogo będzie dotyczyć?

- Niezależnie od tego. Nawet gdyby to miał być arcybiskup Chicago. - Po tych słowach nastąpiła pauza pełna napięcia i wreszcie padło pytanie: - Ale chyba nie będzie chodziło o arcybiskupa, prawda?

- Nie, ale...

- Nie mów mi. Nic nie chcę wiedzieć! Gdy w następny poniedziałek otworzę gazetę, muszę być zaszokowana, ale jednocześnie przekonana, że to fachowa robota. Postaraj się. Chcę, żeby to był ostatni „plotkarski” numer naszego tygodnika. Potem przekształcimy się w coś bardziej... literackiego. Mam już dość tego, że nazywają mnie królową szmiry. Zrozumiałeś? A ponadto chcę ci powiedzieć, że zamierzam przyrzeć się dokładnie wszystkim działom tygodnika, przede wszystkim ich finansom. Za długo tolerowało się u nas różne dziwne rzeczy.

- Może masz rację - Elmer pociągnął z fajki i wypuścił wielki kłęb dymu. - Staraj się jednak nie przefajnować. Nie możemy przecież prowadzić magazynu tylko we dwoje. A gdy przyciśniesz za mocno, ludzie się zbuntują. Tak to bywa, kochanie. - Lata zrobiły swoje, Elmer podniósł się z trudem z fotela i pokuśtykał do drzwi.

Rachela zbliżyła się do okna i wyjrzała na ulicę Główną. Ruch był nieduży i to z oczywistego powodu. Dwie przecznice dalej, w alei Eisenhowera, autobus i ciężarówka zderzyły się ze sobą. Policyjny helikopter wynurzył się ze smogu i okrążył miejsce wypadku. Rachela poczuła ukłucie w sercu. On latał na podobnej maszynie. Nie widziała go ani nic o nim nie słyszała już od tygodnia. Od chwili, gdy wsiadł do helikoptera i odleciał z rancza Bar Nine. Rachela powróciła do miasta w sposób bardziej stateczny - własną limuzyną. Postanowiła nie korzystać z helikoptera do końca swego życia, a może nawet dłużej. Wspomnienia o Charliem, te dobre wspomnienia, prześladowały ją jednak nadal. Pamiętała, jak szybkim krokiem weszła do budynku w kształcie piramidy, starając się powstrzymać łzy.

- Czy dać pani chusteczkę? - spytała sekretarka, zaskoczona. I natychmiast się jej za to dostało. Od razu rozniosła się wieść, że Hammond wróciła i jest w bardzo złym nastroju. Cały personel pochował się więc po kątach, do chwili, aż szefowa udała się do swego apartamentu w hotelu „Sheridan”. A tam, po dokładnym zamknięciu drzwi, nawet na klucz, rzuciła się na obszerne łóżko i gorzko zapłakała.

Charlie Mathers zrobił w ciągu minionych trzech tygodni kilka wypadów na ranczo, żeby wszystkiego dopilnować. Na scenie pojawili się dwaj nowi, młodzi pomocnicy, z dobrą rekomendacją. Przybył także brygadzysta, starszawy, emerytowany sierżant piechoty. Joe Juarez obiecał, że razem ze swym synem pokreśli się jeszcze trochę po okolicy, aż nowo zatrudnieni rozpatrzą się w robocie. Po tych trzech tygodniach Charlie otrzepał kurz z butów, odprowadził helikopter do Beaumont, wynajął samochód i pojechał do Libertyville.

- Co, u licha, zamierzasz dalej robić? - Frank Losen, prawny doradca Charliego, zagłębił się w fotelu i sięgnął po szklanę z trunkiem. - Miałeś doskonałe wakacje. Ale jednocześnie wiem, że niczego bardziej nie pragniesz, jak zabawy w ranczera.

- Kpisz chyba? - prychnął Charlie. - Dobra zabawa? Ze świętobliwą Rachelą? Wielki Boże, ta kobieta mogłaby cię łatwo przekonać, że słońce wschodzi na zachodzie!

- Co mówisz? Było aż tak źle? A na marginesie, cóż to za okropna szkocka, gdzie ją znalazłeś?

- A gdzieżby? Za granicą stanu Missouri. Wiesz przecież, że tutaj mają ograniczenia alkoholowe. Skończ pić i zacznij gadać. Czego się dowiedziałeś?



Losen wyciągnął jakieś papiery ze swej aktówki.

- A więc przyjmij do wiadomości, że jest to w tej chwili jedna korporacja, jedna firma, która dzieli się na dwie części. Pierwsza to magazyn, a druga ranczo. Przez ostatnie piętnaście lat gospodarstwo hodowlane nie przyniosło ani centa zysku.

- Czyli magazyn wspomaga wszystko.

- Tak właśnie sprawy się mają. Twój dziadek miał piętnaście procent udziałów w tym całym kramie. Gdy jednak ojciec Racheli zaczął w magazynie uprawiać pornografię...

- Pornografię?

- Tak to przynajmniej nazywał twój dziadek.

- To znaczy, że sprzedał wszystkie swoje udziały?

- Nie, broń Boże. Bardzo lubił to ranczo i nie chciał go utracić. Po prostu podzielił swoje akcje, wycofał nazwisko z ksiąg finansowych i własne walory ulokował na tajnym koncie. Udawał, że dla niego magazyn nie istnieje.

- Zaczekaj! Co chcesz przez to powiedzieć? Prawnik zaśmiał się serdecznie.

- Chcę ci tylko oświadczyć, że po prostu odziedziczyłeś czterdzieści procent Korporacji Hammond-Borgen po swoim wuju Rogerze.

- A jednocześnie mój dziadek ma kolejne piętnaście procent na jakimś tam koncie? Czy dobrze rozumiem? Jeśli więc potrafiłbym nakłonić staruszka, żeby głosował razem ze mną, to moglibyśmy przejąć całą korporację! Innymi słowy, wyrzucić tych łotrów do diabła? Ale

niestety nie zrobimy tego, bo staruszek wolałby umrzeć, niż cokolwiek powiedzieć, złego czy dobrego, na temat tej szmaty.

- Dokładnie tak jest - Frank przytaknął. - Nie puści pary z gęby. Wiesz, jaki jest pruderyjny i zacięty. Nie, kochany przyjacielu. Jeśli planujesz jakiś mały hokus-pokus, musisz dotrzeć do powiernika owego tajnego konta.

- A kto nim jest?

- Czy to naprawdę najlepsza szkocka, jaką masz?

-Ostrzegam cię, Frank. Nie jestem dziś w żartobliwym nastroju. - Charlie przybliżył się do przyjaciela i zamilkł na chwilę, masując podbródek. - Wydaje mi się, że mam gdzieś tutaj czterdziestoletnią butelkę szkockiej... marki Chivas Regal. Ale diabli wiedzą, gdzie.

- Mógłbym zabić dla takiego drinka... Twój dziadek sądzi, że jestem obiecującym młodym człowiekiem, prawdziwym świętoszkiem. I powiedział mi, żebym cię namówił do prowadzenia magazynu, ale jako pisma uczciwego i rzetelnego...

- Frank, nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę! Kto jest powiernikiem?

-To ja, oczywiście, jestem powiernikiem twojego dziadka.

- Ach tak? Wobec tego przypomniałem sobie, że owa butelka jest na górze w sypialni. I myślę, że też się napiję. - Po minucie był z powrotem, machając w powietrzu dwoma butelkami.

- Nim rozpoczniemy świętować - Frank Losen powiedział z powagą w głosie - musisz zdać sobie sprawę, że mając w garści większość akcji, powinieneś usunąć ją z zarządu.

- Wiem to.

- Ale z kolei wiedz także, że kierowanie korporacją jest dla niej jedynym celem życia. Jeśli ją wyrzucisz na ulicę, załamie się całkowicie.

- Tak jest, z tego również zdaję sobie sprawę - zdecydowanym tonem odparł Charlie. Lecz w chwilę potem pojawiły się refleksje. Rachela Hammond rozbita na małe kawałeczki? Całe to piękne stworzenie pogruchotane? Wielki Boże! Tak myśląc, zawołał do Franka:

- Rusz się! Odkorkuj to, co trzymasz w łapie i zalejmy się w trupa!

Dopiero w poniedziałek rano Charlie był zdolny wyjść na miasto. Chciał się trochę przewietrzyć, oddać wspomnieniom i przemyśleć jeszcze raz, co powinien zrobić w sprawie Racheli Hammond. Dawno odrzucił już myśl, aby zapomnieć o wszystkim.

Frank Losen dołączył do niego niedługo po dwunastej. Spotkali się w śródmieściu, w restauracji o dziwnej renomie. Nazywała się „Barbecued Beef”.

- Czy zamierzasz coś tu zjeść? - zapytał Frank.

- Jak najbardziej. Widzę, że nie jesteś dzisiaj w dobrym humorze.

- Ale zwróć uwagę, że tylko połowa żarówek się świeci. Nie będziesz po prostu widział, co wkładasz do ust. Sałatki robią wrażenie, jakby przygotowywali je ludzie niedawno wyrzuceni z pracy.

-Tu nie przychodzi się na sałatki, Frank, lecz na najlepszą w świecie wołowinę. Powiedz jednak, czy zjawileś się, aby zepsuć mi apetyt, czy może chcesz mi coś powiedzieć, co kołacze ci się po twojej tak zwanej głowie?

- Wchodząc do tej knajpy, zobaczyłem przy drzwiach egzemplarz naszego milusińskiego „Gossipera” i myślałem, że szlag mnie trafi.

- Co przez to rozumiesz?

-Popatrz tylko tutaj. Rzuć okiem. - Frank podał przyjacielowi nad stolikiem egzemplarz tygodnika, prawie przewracając po drodze filiżankę z kawą.

- Nie mam czasu na studiowanie czegoś takiego - powiedział Charlie. - Podjąłem wreszcie decyzję w sprawie szanownej pani Hammond. Zbyt długo głaskałem tego kociaka. Chcę wyłożyć kawę na ławę.

- Dlatego lepiej będzie, bracie, gdy przedtem to przeczytasz!

- Wszystko w swoim czasie i po kolei - upierał się Charlie. - Nie jestem dość bystry, żeby jednocześnie patrzeć w dwu różnych kierunkach.

- Masz więc zamiar odnaleźć pannę Hammond i coś jej powiedzieć. Czy można wiedzieć, co takiego?

- Chcę jej oświadczyć, że zamierzam się z nią ożenić. Tylko tyle! - Charlie odsunął krzesło, zasalutował przepisowo swemu prawnikowi i wyszedł na słońce alei Custer.

Frank został przy stoliku i patrzył w zadumie za oddalającym się klientem.

- Oczywiście, możesz się z nią ożenić - zamamrotał do siebie. - Ale wtedy będzie ci potrzeba dwu prawników. Albo, być może, trzech!

Nim zobaczę się z tą kobietą, muszę dla lepszego samopoczucia kogoś uderzyć, pomyślał Charlie, zatrzymując się przed budynkiem „Gossipera”. Muszę uderzyć kogoś silnego... O, mam, czego mi potrzeba! -omalże zawołał na głos, bowiem w drzwiach „piramidy”

zobaczył dwu dobrze mu znanych ochroniarzy. Wciąż bardzo męskich, potężnych, jakby napraszających się o dobry cios w szczękę.

- Dżentelmeni, czy pracujecie w tym magazynie? - zapytał z głupia frant.

- Zgadza się. Czy my nie widzieliśmy się już kiedyś?

- A czy czytaliście już dzisiejsze wydanie tej szmaty?

- Kto? Ja? Nie tknąłbym jej nawet za dużą forszę.

- Ani ja - dorzucił drugi goryl. - Jest wszawa, nędzna. Pełna kłamstw. Insynuacji i takich tam rzeczy. Dziwię się, że oni jeszcze nie trafili za kratki.

Panie na niebiosach, pomyślał Charlie, jak można dać komuś w zęby, skoro tak samo myśli jak ty?

- Wybaczcie mi - powiedział, wymijając facetów i kierując się do głównych drzwi budynku.

-Hej, nie możesz tam wchodzić, to wejście jest zamknięte. Nie wpuszczą cię tam zresztą, bo Hammond wynajęła dodatkowych ochroniarzy. - Zanosilo się więc na małą sprzeczkę i nie tylko, ale w pewnej chwili goryle przypomnieli sobie wreszcie, z kim mają przyjemność i nawet jeden z nich, w głębokim ukłonie, otworzył przed Charliem drzwi, a drugi dorzucił:

- Ależ proszę wejść, sir!

Charlie, wielce rozczarowany, wpadł do holu jak tornado. Nie było tam żywej duszy. Podszedł więc do windy i po dobrej chwili, bo urządzenie było wyraźnie wolnobieżne, dotarł na szczyt budynku, gdzie, jak pamiętał, znajdowało się królestwo samej szefowej. Kobieta za biurkiem, strzegąca dostępu do pani prezes, zaskoczona jego nagłym

pojawieniem się, aż zapiszczała. I na wszelki wypadek nacisnęła czerwony guzik alarmu.

- Dlaczego się drzesz? - zapytał Charlie zimno. - Nigdy nie jadłam blondynek przed kolacją. Gdzie jest Hammond?

- Ona... Nie ma jej tu.

- Czy chodzisz do kościoła co niedziela?

- Ja... Myśli pan, że kłamię?

- Wiem doskonale, że kłamiesz. Gdzie jest Hammondówna?

- Naprawdę nie ma jej tu. Wyszli parę minut temu.

- Wyszli?

- On nazywa się Olsen. Wygrał konkurs. To wszystko, co wiem.

A niech to diabli, pomyślał Charlie. Jest już kolejny zwycięzca w tej konkurencji. Ze mną nic nie wyszło, więc na moje miejsce znalazła sobie drugiego. Jestem zazdrosny jak jasna cholera! Naprawdę! Mógłbym zabić ich oboje!

- Czy wyjechali na ranczo? - warknął.

Kobieta, stojąca przed nim, robiła wrażenie sparalizowanej.

- Nnnie - wyjąkała. - Pani Hammond nigdy tam już nie pojedzie. Coś stało się w czasie ostatniej wizyty i przysięgła sobie, że nigdy więcej, nigdy!

W tym momencie drzwi od windy otworzyły się i wybiegło z niej dwu osiłków, przy których ci na dole, na ulicy, wyglądali jak kociaki.

- Czy coś się dzieje, pani Sally? - jeden z nich zapytał chrapliwie.

Charlie przez sekundę zastanawiał się, jaką miałby z nimi szansę. Doszedł do wniosku, że tylko na siedemdziesiąt procent. Wyminął więc goryli wielkim łukiem i już z głębi korytarza zawołał przez ramię:

- Proszę powiedzieć pani Racheli, że wpadłem tu na chwilę. I że jestem wzburzony najnowszym numerem magazynu. I że zobaczę się z nią niedługo na sali sądowej.

W holu na parterze dostrzegł na ścianie telefon i połączył się szybko z działem personalnym korporacji. Chciał wiedzieć, jaki jest adres pani Hammond.

- A kim pan jest? - zapytała kobieta o nie najmłodszym głosem.

- Nazywam się William Dwa Pióra - odparł. - Jestem synem pani Colchester. Moja matka jest bardzo chora. Była, jak pani wie, zatrudniona przez waszą firmę. Ale ją niedawno zwolniono i jednocześnie utraciła swoje chorobowe ubezpieczenie. Czy da pani wiarę? Po czterdziestu latach pracy dla Hammondów.

Muszę więc natychmiast porozmawiać z panią Rachelą Hammond, ale zapomniałem, gdzie ona mieszka. Zdaje się, że w jakimś hotelu?

Nastąpiła chwila ciszy, bo personalna konsultowała się prawdopodobnie ze swym komputerem.

- Rzeczywiście, zgadza się - dał się znowu słyszeć głos po drugiej stronie. - Pani Colchester. Czterdzieści lat pracy u Hammondów...

- No właśnie! I wyrzucili matkę z dnia na dzień! - Charlie wpadł w słowo swej rozmówczyni.

-Tak mi przykro... Wprawdzie podawanie wszelkich informacji na temat pani Hammond jest niezgodne z zasadami naszej firmy, ale jak rozumiem, pani Colchester...

- Tak, to moja matka - Charlie powtórzył głosem pełnym smutku. Ta gierka zaczynała mu się podobać.

- Rozumiem. Ponieważ chodzi o pana matkę, panie Dwa Pióra... Otóż pani Hammond zawsze mieszkała w penthousie, czyli na najwyższym piętrze hotelu „Sheridan”, przy Broad Street. I chyba można ją tam nadal znaleźć. Trafi pan?

- Z łatwością, stokrotne dzięki. Matka także pani dziękuje, podobnie jak całe plemię Potowotami. - Charlie odwiesił słuchawkę i szybkim krokiem wyszedł z budynku. Dwaj dobrzy znajomi z obstawy nie zbliżali się nadmiernie.

- Minałeś się z panią Hammond - powiedział jeden z nich. - Właśnie przed chwilą wyszła tylnymi drzwiami.

- Dziękuję za informację! - odkrzyknął, wskakując do wynajętego, sportowego samochodu. Zapуścił silnik i pomyślał: adres zdobyty indiańskim sposobem. Przy użyciu lusterek i sygnałów dymnych. A na dodatek nikogo nawet nie tknąłem mą piąsteczką. Dyplomacja, to właściwa droga. Droga przyszłości. Tak myśląc, Charlie pogwizdywał cicho i mknął w wiadomym mu już kierunku.

„Sheridan” był jednym z nowo wybudowanych hoteli na obrzeżach miasta. Posadowiono go wśród drzew i trawników. Miał strzeżony parking. Charlie oddał kluczyki od swego cennego wozu dozorującemu mężczyźnie i wszedł do hotelowego holu.

- Mam pilną wiadomość dla pani Hammond - powiedział recepcjoniście. - Czy mogę pojechać na górę?

Zagadnięty zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Dzień był gorący i Charlie nie miał na sobie ani marynarki, ani krawata. Trzy górne guziki koszuli były odpięte, rękawy podwinięte powyżej łokci.



Ocena człowieka zza kontuaru nie wypadła więc najkorzystniej, delikatnie mówiąc.

- Zadzwoń na górę i zapytam - powiedział recepcjonista z niesmakiem. - Kogo mam zapowiedzieć?

- Mathers, Charlie Mathers.

Połączenie było natychmiastowe. Po pierwszym brzęczyku służbista oddał słuchawkę Charliemu. Biorąc ją do ręki, dyskretnie nacisnął widełki i połączenie zostało przerwane.

- Halo - powiedział do głuchej słuchawki. - Rachelo, tu Charlie. Tak, Charlie Mathers. Mam informację, na którą czekasz. Tak jest, już biegnę. - Położył słuchawkę na widełkach. - Powiedziała, żeby zaraz do niej przyjść. Którą windą mam jechać?

Recepcjonista miał minę, jakby połknął coś niestrawnego. Nadal był przekonany, że w żadnym apartamencie jego hotelu nie powinno się przyjmować takich indywiduów. Ale - nasz klient, nasz pan.

- Winda jest w tamtym rogu. Ekspresowa. Dowozi wprost do penthousu - mruknął i ostentacyjnie strzepnął z marynarki nie istniejący pyłek.

Winda wiedziała, do czego służy. Zawiozła go błyskawicznie i bezszmerowo na najwyższe piętro. Tam wyszła mu naprzeciw pokojówka hotelowa. Również wyraźnie go oszacowała, i to co najwyżej na dyżurnego hydraulika. Powiedział więc pospiesznie:

- Nazywam się Charlie Mathers. Czy Hammond jest u siebie?

- Tak. W salonie. Ale ma już gościa.

- Wiem. Mam się zobaczyć z obojgiem.

- Muszę wobec tego zaanonsować pana - powiedziała i poszła przodem. Minęli kilkoro drzwi i wreszcie do jednych z nich dziewczyna zapukała i uchyliła je.

- Pan... Charlie Mathers przyszedł, proszę pani.

Z wnętrza pokoju rozległ się okrzyk niepohamowanego gniewu. Pokojówka przepuściła jednak Charliego i szybko wycofała się. Widać było wyraźnie, że pracowała dla Racheli dość długo i wiedziała doskonale, kiedy należy uciekać z pola rażenia.

Rachela Hammond podniosła się z miękkiego taboretu. Naprzeciw niej, przy kawowym stoliku, siedział młody mężczyzna potężnych rozmiarów, który łatwo mógłby zdobyć tytuł: Mister Ameryki. Był w niebieskich szortach i szarej sportowej koszulce i było jasne, że poświęcał ogromnie dużo czasu swej opaleniznie i swym mięśniom. Włosy miał krótko przycięte i był dokładnie wygolony. Ogólnie biorąc, pomyślał Charlie, jest to młody człowiek, z którym mógłbym się spotkać, od czasu do czasu, z wyjątkiem tego właśnie dnia.

Natomiast Rachela sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą wyszła spod prysznic. Jej włosy połyskiwały. Koronkowy kołnierzyk podomki sięgał po samą szyję, a odzienie to zapięte było na wszystkie guziki, od góry do dołu. Przyoblekła znany mu wyraz twarzy, była zaczerwieniona z gniewu, a oczami przebijała Charliego niczym sztyletami.

- Sądziłam, że ustaliliśmy to jasno - powiedziała twardym tonem. - Nasze sprawy zostały definitywnie zakończone. Poprosiłam tego dżentelmena, żeby zajął twoje miejsce. Edwardzie, proszę cię...

Młody człowiek obszedł stół do kawy. Był wyraźnie chętny do spełnienia każdej prośby tej kobiety.

- Rachelo, nie powinnaś tego robić - szybko wtrącił Charlie, chcąc zyskać na czasie. Ale Hammondówna jakby tego nie słyszała. Edward przystanął i rzucił okiem przez ramię, oczekując, że sprecyzuje dyspozycję.

- Wyrzuć go - warknęła i młody człowiek ruszył do przodu.

Tego mi właśnie potrzeba, pomyślała szybko Rachela. Wszystkie udręki w jej życiu nigdy nie miały wyraźnego zakończenia. Edward po prostu zniszczy tego... tego... Poszukiwała w myślach odpowiedniego słowa. Ale z jej pamięci nieoczekiwanie wyłoniły się słowa: szczery, otwarty, uczciwy Charlie. Nie jest szczególnie przystojnym, młodym rozplodowcem, którego pragnęła, a jednak był... Niech to diabli porwą! Dlaczego się wciąż waha?

- Wyrzuć go, Edwardzie - powtórzyła szorstko.

W chwilę potem oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia. Zrobiła parę kroków wstecz, jakby w samoobronie. Jej miły i greczny młody człowiek nagle, z niewiadomego dla niej powodu, upadł na podłogę.

- Edwardzie! - krzyknęła.

Miły, greczny, młody człowiek próbował podnieść się, stanąć na nogi i jednocześnie masował sobie brzuch, jakby go bolał. Obejrzał się na Rachełę, a ona posłała mu pokrzepiający uśmiech. Obrócił się więc znowu frontem do Charliego, wykonał niezdecydowany ruch i... znowu upadł!

- Rachelo - powiedział Charlie z naciskiem - ten młody człowiek może ulec poważnemu zranieniu. Myślę nawet, że już odniósł obrażenia... Biedne dziecko.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła, z trudem łapiąc powietrze. -

Ty...

- Chciałaś, żeby ten chłopak wykonał prawdziwie męską robotę. I popatrz, co zrobiłaś? Musiałem go uderzyć w szczękę. Wydaje mi się, że sam naruszyłem sobie kostki dłoni. I wszystko to twoja wina. Czy jeszcze raz zamierzasz wstać, synu?

Edward wymamrotał jedno słowo czy dwa. Coś się stało z jego szczęką.

- W pełni to rozumiem - współczująco powiedział Charlie. - Te kobiety! Zawsze robią to samo. Poszukują doskonałego rycerzyka, aby ubił dla nich smoka. A ona szczególnie to lubi. Czy mogę ci pomóc wstać?

Edward z dużą ostrożnością przyjął proponowaną mu rękę i coś znowu zamamrotał.

- Tak, wiem o tym - stwierdził Charlie. - Zrozum, fakty wyglądają tak, że ona po prostu chce, abym był zazdrosny. Ja podjąłem się tej pracy, mam wyraźną umowę. A ty możesz tylko wpakować się w kłopoty, wtykając swoje trzy grosze. Radzę ci po przyjacielsku: weź taksówkę, jedź do szpitala i niech ci tam nastawią, co potrzeba.

Wszystko na koszt firmy. Korporacji Hammond-Borgen. Pani Hammond zaraz zadzwoni i potwierdzi, że pokrywa wszystkie rachunki. Mam rację? - Charlie obrócił się i spojrzał wymownie na panią Hammond, która nagle znowu przemieniła się w Rachełę.

- Tak, potwierdzam to - wyszeptała, obeszła pokój dookoła, starając się być jak najdalej od Charliego, i podniosła słuchawkę telefonu.

Charlie objął ramieniem młodego człowieka i pomógł mu wyjść z salonu. Wścibska pokojówka stała w holu, w kącie, i przyglądała się z rozbawieniem całej scenie.

- Dopilnuj, żeby ten młody człowiek zjechał na dół - Charlie wydał jej dyspozycję. - Sprowadź także taksówkę, która odwiezie go do szpitala. - Po tych słowach wrócił do salonu i zamknął drzwi za sobą.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Barbarzyńca - wyszeptała Rachel, odsuwając się w kąt kanapy, żeby być od niego jak najdalej. - Mogłeś zranić chłopaka.

- Z ust mi to wyjął - zaśmiał się Charlie. - To rzeczywiście jest chłopak. Ale myślałaś, że dostatecznie dorosły dla twoich celów? Sądzę, że ja bardziej mam zranioną rękę niż on szczękę.

- Nie mam ochoty o tym mówić. Nie cierpię przemocy. Odejdź, nim wezwę policję.

- Co za wspaniały pomysł. Dlaczego nie zrobiłaś tego dotychczas? Oni przypuszczalnie sami ciebie szukają. - Charlie chodził przed nią nerwowymi, krótkimi krokami, tam i z powrotem. - Czujesz odrazę do przemocy? Ale tylko fizycznej. A to słowo ma wiele odmian. Dziwię się, że tego nie dostrzegasz. Sama byłaś ofiarą psychicznej przemocy, w stopniu większym niż jakakolwiek znana mi osoba.

- Nie zaczynaj znowu czepiać się mojego ojca! - wykrzyknęła, zrywając się z kanapy, ze złym wyrazem w oczach. - On był dobrym człowiekiem, miał tylko kilka małych wad.

- Małych wad? Dobry Boże, kobieto, co mam zrobić, żebyś wreszcie przejrzała na oczy? Tak czy inaczej, policja zjawi się tu niedługo.

- Mnie poszukują? Ja niczego złego nie zrobiłam! Z oburzeniem bardzo jest jej do twarzy, pomyślał

Charlie. Odrobina kolorów na policzkach podkreśla jej urodę.

- Może jesteś bez winy, ale „ktoś zrobił coś” w twoim tak zwanym magazynie. Przyjmij, proszę, do wiadomości, że wnieśliśmy pozew do

sądu przeciwko tobie i twojej brudnej szmacie. I nie wątpię, że mój prawnik spowodował, iż tuzin albo więcej policjantów poszukuje cię w tej chwili, żeby wręczyć sądowy nakaz. Tym razem doigrałaś się, damo!

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie widziałam jeszcze dzisiejszego wydania. - Przy tych słowach obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem i upozowała się na Posąg Sprawiedliwości, wieńczący gmach parlamentu stanowego.

- Ja także nie widziałem dzisiejszego wydania - zapewnił ją - ale mój prawnik mówi, że jest ono okropne, nawet jak na ciebie. A przy okazji wyjaśnij mi, po co sprowadziłaś tego chłopaka?

- Doskonale wiesz, dlaczego - powiedziała z goryczą. - Twoja odmowa niczego nie zmieniła. Chcę mieć dziecko. Czas ucieka, a ja przecież sama nie mogę tego dokonać. Wierz mi, że gdyby to było możliwe, nie szukałabym męskiej pomocy. Nikt tak nienawidzi mężczyzn jak ja.

- Powiedz mi wobec tego jeszcze, czy ten chłopak zgodził się na zapłodnienie in vitro?

- Oczywiście, że zgodził się! - parsknęła. - Zaproponowałam mu cztery tysiące dolarów.

- To z pewnością dobra zapłata. Ale na jakich warunkach?

- Dam sobie radę, panie wszytkowiedzący. Muszę mieć dziecko!

- Ty go potrzebujesz, czy raczej twój ojciec pragnął dziecka? Ale on przecież zmarł, odszedł już trzy lata temu czy nawet więcej.

- Ty cholerniku! Myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy, prawda?

- Nie, jestem jak najdalej od tego. Wiem natomiast, że byłaś wychowywana w lodowej skorupie i sama masz bryłę lodu w miejscu serca. I zmierzasz drogą wprost do Hadesu!

- Jeśli takie jest moje ostateczne przeznaczenie - rzuciła mu w twarz z ironią - to przynajmniej lód się stopi, nim tam dotrę. Dlaczego mnie wciąż zadrezczasz? Twój udział w moich kłopotach zakończył się ostatecznie. Czy chodzi ci o pieniądze? Dlatego się tu zjawieś?

- Myślisz o tej śmiesznej, symbolicznej sumie? Daj spokój, Rachelo. Przecież znasz mnie lepiej.

Prowokacja opłaciła się. Dziewczyna ruszyła w jego kierunku, z palcami wyciągniętymi niczym szpony.

- Ja, ciebie... - wybełkotała, a potem straciła głos.

Charlie wiedział, że to nie żarty. Miał się na baczności. Odczekał, aż podeszła całkiem blisko i nagle pochwycił ją za nadgarstki. Rachela próbowała kilkakrotnie wyrwać się, a potem nagle opuściły ją siły. Zachwiała się, straciła równowagę i upadłaby, gdyby nie Charlie. W ostatnim momencie złapał ją w ramiona i przyciągnął do piersi. Płakała. Wziął ją na ręce, usiadł w fotelu i posadził ją sobie na kolanach.

- A teraz wypłacz się serdecznie - powiedział miękkiem głosem.

Chciała mu się nadal opierać, ale sił wciąż brakowało. Z oczu strumieniem lały się łzy. Za wszystkie minione lata udreki i samotności... I przytuliła się do jego piersi, jakby chciała wszystko wyznać.

Charlie był nieco zakłopotany. Spodziewał się łez, ale jednocześnie nie bardzo wiedział, co począć dalej. Miętkość jej ciała i ciepło, które wyraźnie wyczuwał, sprawiły, że nagle naszły go myśli



dotychczas tłamszone przez kolejne wobec niej napady gniewu. Niezdarnymi palcami sięgnął do jej podomki i rozpiął dwa górne guziki. Odślonił się dekolt. Jego ręka, bez szczególnego zamiaru, poszła śladem wzroku, dotknęła jej piersi.

Rachela nagle przestała płakać.

- Co robisz? - szepnęła i odruchowo wytarła ostatnie dwie łzy.

- To, czego zawsze pragnęłaś - mruknął. Podomka była nadal zapięta na pozostałe trzy guziki. Zaczął się z nimi zmagać, stracił cierpliwość i szarpnął ostro. Bariera ustąpiła. - Powiedz mi, żebym przestał - szepnął. - To twoja ostatnia szansa.

- Co mówisz? Czego zawsze pragnęłam? - Nie była to forma protestu czy upomnienia, ale pytanie postawione w nagłym przypiływie uczucia, którego nie była w stanie pojąć. Co znaczyło, skąd się brało? On nie udzielił odpowiedzi, natomiast robił wrażenie wielce zaskoczonego.

- Nigdy nie nosisz stanika?

- Nigdy.

- Tak, jestem nawet w stanie zrozumieć dlaczego - powiedział cicho, wzrokiem chłonąc to, co się przed nim nagle objawiło.

Mężczyzna byłby głupcem, gdyby choć ułamek tego zlekceważył, pomyślał Charlie. Uniósł dziewczynę, podszedł do tapczanu, stojącego po drugiej stronie pokoju, i położył ją na nim płasko, na plecach.

-Charlie?

- Co, kochanie?

- Czy masz zamiar...?

- Tak. Mam zamiar wziąć z tobą ślub, ty i ja. Czy chcesz, żebym przestał?

- Sama nie wiem...

Charlie przyklęknął przy tapczanie. Znowu chłonął oczami wspaniałość jej kobiecych wdzięków - jędrnych, twardych, zachwycających. Pochylił głowę i delikatnie dotknął wargami brunatnego szczytu nie tkniętej przez nikogo piersi.

Nic w tym nowego, podszeptała jej analityczny umysł Hammondów, Widziałam przecież wiele filmów na ten temat, czytałam dużo książek. Nic nowego, a jednak wszystko było nowe. W momencie, gdy objął ustami sutek, całe jej ciało zapragnęło udziału w tej grze. Czy więc naprawdę nic nowego? Zaczerpnęła desperacko powietrza i ręką pochwyciła go za włosy. Nie, aby go ukarać, nie, aby kontrolować to, co robi, lecz chyba po to, żeby przytrzymać się czegoś, gdy świat zaczął wirować w jej głowie.

Kochanie? Powiedział do niej: kochanie. Czy również tak pomyślał? Czy może takie jest normalne postępowanie mężczyzny, gdy chce zniewolić kobietę? Chyba właśnie tak. Chyba... Ale w tym momencie Charlie oderwał swe usta od jej piersi i zaczął delikatnie, powoli całować dekolt, szyję, policzki, aż dotarł do wyczekujących ust. Całował ją długo i bez pamięci. A potem jeszcze raz wrócił do piersi i posunął się jeszcze dalej.

Ktoś w pokoju wydał jęk podniecenia. Rachela pochwyciła ten dźwięk, zareagowała podobną emocją i przez całe jej ciało przebiegł dreszcz.

- Rachelo? Czy mam się powstrzymać?

Ten głos usłyszała jakby z oddali. Czowała się całkowicie zagubiona.

- Rachelo? - rozległo się znowu ponagląjące wołanie.

- Nie wiem... - wykrztusiła wreszcie ze ściśniętego gardła. A potem desperacko zawołała: - Nie, nie zatrzymuj się...

Rachela nie była w stanie określić, ile czasu minęło. Jej umysł był wciąż odłączony od ciała. Wydawało się jej, że Charlie ważył całą tonę, ale gdy chciał zsunąć się i położyć obok, ostro zaprotestowała, krótkim „nie”. Po następnych minutach zapytała nieśmiało:

- Czy to już wszystko?

- A co byś chciała jeszcze, złośnico? - zapytał, śmiejąc się. - Tak, to już wszystko, moja damo.

- Wydaje mi się... że było jakoś inaczej - powiedziała z westchnieniem. - Czy u innych wygląda to podobnie?

- Prawie tak samo, od wielu tysięcy lat. Pan Bóg przecież nakazał: „Kochajcie się i rozmnażajcie”. W ten sposób grę miłosną uczynił najwspanialszą czynnością w świecie.

- Wielu ludzi ma z tym jednak, jak mi się zdaje, dużo kłopotów?

- Zgadza się, ale nie ty i ja, Rachelo, Bogu niech będą dzięki.

Zdajesz sobie chyba sprawę, że jest to zabawa, którą w równym stopniu mogą się cieszyć bogaci, jak i biedni.

- Biedni nawet bardziej niż bogaci - wyraziła swoje przekonanie.

- Masz chyba rację - zgodził się. - Bo nie mają przed sobą tylu trudnych, nierozwiązalnych problemów, co bogaci. A teraz, jeśli pozwolisz, zdrzemnę się odrobinę, miałem ciężki dzień. - Nim Rachela zdążyła zadać chociaż jedno z setki nadal dręczących ją pytań, on już zasnął.

Czy w ten sposób spełniły się wszystkie jej pragnienia? - zapytała sama siebie. O Boże, aż nadto. W całym dotychczasowym życiu nigdy tak nie angażowała się, ani fizycznie, ani emocjonalnie, jak w szczytowym uniesieniu przed chwilą. Popatrzyła na uśpionego z dziwnym uczuciem wdzięczności. Nie był szczególnie urodziwy, ale wystarczająco, by wybrać się z nim w drogę życia. Charakter mocny, zdecydowany, człowiek zdolny do wykonania miliona i jednej czynności. Zadań, które stawia życie. Jego pierś poruszała się w rytmicznym oddechu. Po jej prawej stronie miał długą bliznę. Wielocentymetrową, świeżą, wciąż zaognioną. Po wojennej ranie?

Tak mało o nim wiem, pomyślała. A chciałaby wiedzieć tak ogromnie dużo. Jeśli moje dziecko - i tu Rachela z tkliwością dotknęła swego brzucha i zaczerwieniła się - będzie wyglądało jak ojciec, to chyba będzie wspaniałe?

W tym momencie Charlie poruszył się niespokojnie. Pochyliła się nad nim tak nisko, że jedna z jej piersi ocierała się o jego łono. Przypadkowo, całkiem przypadkowo, pomyślała i nieco się uniosła. Czy to mogłoby go podniecić? Czy mógłby zrobić to jeszcze raz? Pochyliła się ponownie i ostrożnie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć. Tylko dotknąć. Nic więcej. Jego oczy nagle się otworzyły.

- O co chodzi, u licha - wymamrotał i natychmiast znalazł się nad nią.

Przerażona... a jednak zadowolona z siebie, przekonała się, że mógł.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Charlie.

- Nie mogłabym lepiej! - powiedziała z entuzjazmem Rachel. - Byłeś naprawdę mężczyzną, jakiego pragnęłam. - Jej twarz pokryła się rumieńcem.

Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być... tak samo z Edwardem, pomyślała, albo z jakimkolwiek innym mężczyzną.

-I w ten sposób moja sprawa dopełniła się - szepnęła, pełna wewnętrznego zadowolenia.

- Dopełniła się?

- Tak mi się przynajmniej wydaje. Po jednym razie mogłoby nie wyjść, ale po dwóch razach na pewno osiągnęłam mój cel, chyba się zgodzisz?

- Kobieto, ty wciąż myślisz o tym samym?

W istocie nie myślę, zdała sobie sprawę. Od chwili, kiedy ją dotknął, zapomniała o konsekwencjach. Ale teraz, gdy wrócili do rzeczywistości, mogła znowu sensownie myśleć. Dziecko było w drodze, miała więc prawo do zadowolenia. Tymczasem on się wścieka! Dlaczego? Postanowiła więc ułagodzić go.

- Tak, osiągnęłam to, czego pragnęłam. Wszystko wyśmienicie ułożyło się, a przy tym było wspaniale. I powinnam ogromnie ci podziękować, Charlie.

- Nie dziękuj mi w tak banalny sposób. Przecież mamy się pobrać. Ty i ja, a między nami ma rosnać ten mały chłopaczek, otoczony należytą opieką i miłością.

- Dlaczego tak myślisz? Sądziłam, że rozumiesz o co chodzi - powiedziała zuchowato. - Potrzebowałam cię ogromnie, żebyś, że tak

powiem, położył stępkę pod ten statek, ale od tej chwili, aż do wodowania, mogę wziąć sprawy we własne ręce.

- Jesteś tego pewna? - zapytał zmienionym głosem. - Sądziś, że wszystko sprytnie obmyślałaś i teraz możesz wrócić do swych własnych spraw?

- Tak właśnie myślę.

Twarz mu zadrgała i uśmiechnął się do niej. Ale był to uśmiech tak zimny, że mógłby pokryć lodem rzekę Missouri.

- Nie bądź taka pewna - powiedział. - Wiadome jest, moja damo, że często potrzeba czegoś więcej niż dwu krótkich strzałów, żeby kobieta zaszła w ciążę. I tak może być w twoim wypadku. Co wtedy zrobisz?

O Boże, pomyślała w popłochu, byliśmy tak doskonale dopasowaną parą, że chyba nie przydarzy mi się nic podobnego. On zapewne chce mnie tylko przestraszyć.

- To niemożliwe - wyszeptała. - Jestem przekonana, że wypełniłeś swoje zadanie.

-I nie potrzebujemy już siebie więcej?

-I... - Nie chciała tego powiedzieć, ale gniew sprawił, że potwierdziła jego ironiczne słowa. - Tak jest, nie będziemy sobie więcej potrzebni. Wpadnij do mojego biura jutro, to wypłacę ci należność.

- Do diabła z takim gadaniem - wymamrotał z wściekłością. Podszedł do niej blisko, z surowym wyrazem twarzy.

- Posłuchaj, Hammond. Mówiłem ci to mimochodem tylko, więc nie jestem pewien, czy pamiętasz. Czy wiesz, jak brzmi moje nazwisko?

- Charlie... - Boże, rzeczywiście zapomniałam, pomyślała zaskoczona.

- Charlie Mathers, i wiedz o tym, że nie pozwolę ci w przyszłości znowu zapomnieć. Ty i ja pobierzemy się. Wcześniej czy później, to rzecz postanowiona, mówi ci to Charlie Mathers. - Po tych słowach przeciągnął się i zrelaksował.

Potrzeba mu było trochę ruchu. Przeszedł się tam i z powrotem po pokoju i zatrzymał przy małym stoliku, na którym leżał egzemplarz „The National Gossiper”. Przypomniał sobie, co w restauracji mówił mu Frank Losen. Odwrócił więc tygodnik pierwszą stroną do góry. Duży nagłówek zaintrygował go. Zaczął czytać.

- O Boże - wyszeptał. - Ci ludzie dobierają się komuś do skóry. Piszą: „Defraudant, oszust pierwszej wody”. Kto to może być? - Odnośnik mówił, że główny artykuł znajduje się na czwartej stronie. Odszukał więc właściwe miejsce i w chwilę potem krzyknął pełnym oburzenia głosem: - To niemożliwe, oni piszą o Rogerze Borgenie?!

Obrócił się na pięcie. Zamknął magazyn i z wielką starannością położył go na stoliku. Rachela dostrzegła, jak oczy wypełniają mu się obłądną wściekłością. Zaczął mówić, akcentując każde słowo oddzielnie:

- Nie ma w tym ani jednego słowa prawdy. Czy twoi ludzie nigdy nie zadają sobie trudu, żeby sprawdzić wszystko, nim to ukaże się w druku?

Rachela patrzyła na niego przez sekundę, cała zmrożona. A potem jej doświadczenie, zyskane w podobnych sprawach, wzięło górę. Była

teraz do szpiku kości przedstawicielką rodu Hammondów. Wycodziła więc przez zęby:

- Nie czytałam tego materiału. Ale jestem pewna, że wszystko zostało dokładnie sprawdzone, ze zwykłą u nas starannością. Powtórz, o kogo chodzi?

- Piszecie o najwspanialszym człowieku, jakiego znałem w całym moim życiu - jego głos obniżył się do szeptu. - O Rogerze Borgenie. Założę się o milion dolarów, że nie ma w tej szmacie ani jednego słowa prawdy.

- O wujku Rogerze? - Rachela poderwała się z tapczanu. Zaskoczona, pokręciła głową.

Charlie rzucił okiem na zegarek. Jego wielkie ręce trzęsły się.

- W tej chwili mój prawnik powinien już być w gmachu sądu i składać skargę o odszkodowanie od twojej gazety na sumę miliona dolarów, za oszczerstwo. Doprowadzę ów brudny magazyn do kompletnej ruiny. Gdy skończę z tym, módl się, żeby to samo nie stało się z twoim ranczem.

- Inni, lepsi od ciebie, podejmowali już takie same próby. I nikt z nich nie wygrał!

- Posłuchaj więc uważnie, co ci powiem - oświadczył. Rachela zadrżała. Jego głos był głęboki, wibrujący, pełen groźby. - Powtarzam! Nazywam się Charlie Mathers. Będiesz słyszała o mnie jeszcze nieraz. W tym przypadku przekroczyłaś wszelkie dopuszczalne granice. Dotychczas nikt cię nie pobił, bo nie miał dość pieniędzy i dowodów przeciw tobie. Tym razem ugryzłaś jednak kawałek, którego nie



będziesz mogła strawić. Mam pieniądze i znajdę odpowiednie dowody. -  
Po tych słowach wyszedł, trzaskając drzwiami.

Pozostawił ją zmrożoną i drżącą. Różne myśli kłębiły się w jej głowie. Przyszedł, żeby prosić o rękę, a wyszedł z pragnieniem mordy w oczach. Wzięła do ręki magazyn i przeczytała nagłówek:

*„Milioner-filantrop był, być może, malwersantem.*

*Słynny potentat z Libertyville jest sprawdzany przez zespół dochodzeniowy naszego tygodnika. Szczegóły na stronie czwartej”.*

Gazeta wysliznęła się jej z ręki i upadła na podłogę.

- Wydaje mi się - krzyknęła histerycznie w kierunku drzwi, za którymi Charlie zniknął - że nasz ślub jest odwołany!

- Już się zaczynałem zastanawiać, co się z tobą dzieje? - powiedział Frank Losen. Leżał na ulubionej kanapie Charliego, w środku jego ulubionego luksusowego mieszkania. - Muszę powiedzieć, że było to dla mnie bardzo pracowite popołudnie.

- Ja również jestem całkowicie wyczerpany.

- A co udało ci się załatwić z Hammondówną? Czy poprosiłeś ją o rękę?

- Tak - odparł Charlie i podszedł do barku, żeby nalać sobie drinka.

- Poprosiłem ją... a potem przeczytałem materiał w „Gossiperze”!

- No i co było dalej?

- Po przeczytaniu tego fragmentu w tygodniku zebrało mi się wręcz na mdłości. Dobrze, że nadmiar emocji wyładowałem godzinę wcześniej na spotkaniu u Racheli krzepkim młodym człowiekiem. Sądzę, że ślub jest odwołany...

- Sądysz... ale nie jesteś pewien?

- Przecież nie można w jednym momencie wszystkiego przekreślić i odwrócić! A powiedz mi przy okazji, czy człowiek jest w stanie kobietę kochać, a jednocześnie nienawidzić jej?

- Niech mnie diabli porwą, jeśli znam odpowiedź. Natomiast powiem ci, że udało mi się załatwić parę spraw - oświadczył prawnik. - Przede wszystkim nakaz sądowy jest rzeczą pewną. Sędzia rzucił tylko okiem na nagłówki w tygodniku i od razu podpisał decyzję o wstrzymaniu kolportażu tygodnika. Zamknęliśmy więc garaże i wszystkie samochody dostawcze są pilnowane przez agencję, z którą współpracuję.

- To jest ważne na okres tygodnia - zgodził się Charlie. - Ale zależy mi na czymś pilniejszym, chcę zetrzeć tę kobietę na proch, już jutro.

- Możemy również i tego dokonać. - Frank Losen sięgnął po swoją aktówkę i położył ją na stole. - Udało mi się zwołać specjalne zebranie akcjonariuszy, właśnie na jutro. W siedzibie rady dyrektorskiej tygodnika, w „piramidzie”. Oznacza to, że możesz się tam zjawić z odpowiednią liczbą pełnomocnictw w garści i wyrzucić ją na zbity łeb.

- Ale, u diabła, Frank, ja sam nie potrafię prowadzić tego magazynu. Jeśli ją wyrzucimy, wszystko się zawali.

- Może tak, a może nie. Jest tam niejaki Elmer Chatmas. Szedł w tym zaprzęgu tak długo, że nie wiem, czy kiedykolwiek się z niego wyłamie. Jest rozsądnym facetem. Był czymś w rodzaju szarej eminencji przez całe lata. I jestem przekonany, że znajdzie się tam jeszcze kilka innych osób, które mogłyby pomóc.

Po tym zapewnieniu Charlie podziękował przyjacielowi i odprowadził go do drzwi, a sam podszedł do okna i popatrzył z góry na miasto.

- Oto Libertyville, w stanie Kansas - mruknął do siebie - gdzie znajdziesz obfitość krów, drukarskich maszyn, gdzie szaleją tornada i... nieposkromione, nieugięte kobiety. - Pokiwał głową ze smutkiem. W niewesołym nastroju podszedł do barku, nalał sobie drinka i wrzucił do szklaneczki kostkę lodu.

Rozsiadł się w fotelu i przed oczami pojawiła mu się Rachela Hammond. Pamiętał, jak na ranchu zaczęła się zmieniać, przeobrażać. Oczywiście widział też nawroty dawnego podejścia do świata. Ale niewątpliwie zachodziły w niej zmiany na lepsze. Teraz jednak, gdy wróciła do miasta, odnalazł ją jeszcze gorszą, niż była kiedykolwiek. Jeśli jest to w ogóle możliwe.

Myśl Charliego wybiegła z kolei w przyszłość. Jutro wedrze się na to zebranie i sprawi, że cała konstrukcja zawali się na jej głowę. Ale co potem? Potem zwieje stąd i poszuka kraju, gdzie rozgrywa się jakiś konflikt i gdzie potrzebni są doświadczeni piloci wojskowi. Z tą myślą dopił drinka i cisnął pustą szklanką w sztuczny komin.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To stanie się już jutro, pomyślała Rachel, westchnęła głęboko i rozsiadła się w fotelu.

- Co zatem stoi przed nami? - zapytała i obrzuciła wzrokiem swych współpracowników zgromadzonych wokół niej.

- Problem jest dwojaki - stwierdził Elmer. - Pozew sądowy i rozprawa nie jest dla nas niczym nowym. Zjawimy się na sali rozpraw. Zagramy na zwłokę. Oświadczymy, że mieliśmy prawo uwierzyć w prawdziwość posądzeń, i takie tam banialuki. Potem zaproponujemy rozwiązanie polubowne. W następnym numerze tygodnika opublikujemy odwołanie zarzutów... na ostatniej stronie i drobnym drukiem. Jeśli będą się upierali przy swoim, zaproponujemy pieniądze.

- A jeśli nie zgodzą się na kompromis i nie przyjmą pieniędzy?

- W takim wypadku Zimmerman wkroczy do akcji - powiedział Elmer swobodnie. - Po to go przecież mamy. Co zatem powiesz, prawniku?

Alfred Zimmerman siedział na eksponowanym miejscu w kręgu osób otaczających szefową. Był małym, gustownie ubranym człowieczkiem, precyzyjnym pod każdym względem. Nosił okulary w złotej oprawie. Teraz odchrząknął, starając się nie patrzeć na Rachele.

- Wydawało mi się, że przyjęta była zasada, iż wszystkie materiały, które mogą sprawić kłopot, sprawdzane są przez moich ludzi? Tymczasem ten numer tygodnika zobaczyłem dopiero dzisiaj przy śniadaniu. I muszę powiedzieć, że zepsuliście mi apetyt.

- Ale sprzedaliśmy ogromną liczbę egzemplarzy - opryskliwie powiedziała Hammond. - Pomińmy więc te szczegóły. Co robimy dalej?

- Jeśli chodzi o pozew, to musimy przede wszystkim ustalić, kto się za tym kryje. W papierach sądu jest mowa, że ze skargą występuje Frank Losen. Powiernik zarządzający majątkiem Rogera Borgena. To jeden z najzdolniejszych prawników. Ale jak mi się wydaje, Frank nie występuje w tej sprawie z dobroci serca. Chciałbym wiedzieć, kto za nim stoi.

- A jeśli to ustalimy?

- Wtedy roześlemy we wszystkie strony naszych ludzi, żeby zbadali życiorys tego człowieka. Może się okazać, że ma wszystkie możliwe przywary świata. Opublikowanie o nim tego czy owego może go poważnie zmiękczyć, doprowadzić do rozsądku.

- Brudna robota - wtrącił się Elmer. - Podobne postępowanie wprowadziło nas w całą tę kabałę. Pójście tą ścieżką dalej może nas dobić ostatecznie.

- Ale w tym coś jest i trzeba spróbować - zdecydowała Rachel. - Co dalej?

- Przejdźmy do drugiego problemu - powiedział prawnik i wypielegnowaną ręką przygładził przerzedzone włosy. - Należy znacznie bardziej obawiać się jutrzejszego zebrania udziałowców i kierownictwa korporacji niż kłopotów z systemem prawnym. Nawet zakładając, że wiele może się obrócić przeciwko nam, jestem w stanie przeciągnąć rozstrzygnięcie sprawy o pięć lat, a nawet dłużej. Tymczasem jeśli chodzi o jutrzejsze zebranie...

Rachela pomasowała swoje czoło. Bolało ją. Wszystko ją właściwie bolało. Było to jednak wspaniałe popołudnie! Wprawdzie Charlie wyszedł od niej pełen oburzenia, ale była przekonana, że gdy ułożą się jakoś sprawy magazynu, będzie go mogła ściągnąć z powrotem na swą orbitę. To wspaniały mężczyzna. I ona może sobie z nim poradzić.

Zimmerman coś nadal monotonnie brzęczał, ale Rachela puszczała to mimo uszu. Wszystko przysłaniały jej myśli o Charliem. Oparła się o tył fotela i zamknęła oczy. Widziała go na koniu, jadącego przez prerię. Charlie twardo kierował swym losem. Jeśli sprawi, że ranczo stanie się opłacalne, wtedy „The National Gossiper” w ogóle nie będzie jej potrzebny. Otworzyła gwałtownie oczy, bo wokół zaległa cisza. Wszyscy patrzyli na nią.

- Proszę zrekapitulować problem - powiedziała. Zimmerman wzruszył ramionami i przerzucił stertę dokumentów, które leżały przed nim. - Streszczajmy się - dorzuciła Rachela. - Odnoszę wrażenie, że popada pan w nałóg i mówi mi więcej, niż mam ochotę słyszeć.

Prawnik nie należał do ludzi, którzy oblewają się rumieńcem. Pochodził ze starej niemieckiej rodziny, która przybyła do Kansas jeszcze w okresie, gdy w tych stronach zmagano się z problemem niewolnictwa. Był więc dziedzicznie zahartowany, ale sprawa, którą miał na wokandzie, niepokoiła go. Odchrząknął więc jeszcze raz i powiedział:

- Mówiąc wprost, nie ma pani pełnej kontroli nad udziałami w tej korporacji. Nikt jej zresztą nie ma. Gdy Roger Borgen umierał, miał

około czterdziestu procent akcji. Pani ma w swoim ręku czterdzieści dwa procent. Kto jest posiadaczem reszty, nie wiemy.

W tym momencie nastąpiła kolejna przerwa w wywodzie prawnika. Sięgnął do kieszonki swej kamizelki i na języku położył jakąś tabletkę.

- Udawało się nam przez wiele lat - podjął temat na nowo - unikać zgromadzeń akcjonariuszy. W ten sposób legalnie wybrana rada dyrektorów mogła funkcjonować nieprzerwanie. Ale teraz podnosimy żagle przy bardzo wzburzonym morzu...

- Nie bawmy się w retorykę - mruknęła Rachela.

- Na jutrzejszym spotkaniu może się pojawić posiadacz pozostałych akcji i oddać głos przeciwko nam.

To końcowe stwierdzenie Zimmermana wywołało wyraźne zaniepokojenie wśród zebranych. Niektórzy zaczęli spoglądać na zegarki. Rachela z tego skorzystała.

- Zrobiło się późno - powiedziała. - I wszyscy jesteście zmęczeni, podobnie jak ja. A więc postanówmy, że pan, panie Zimmerman, pójdzie teraz do gmachu sądu i tam postara się, żeby zakaz sprzedaży naszego magazynu został czasowo zawieszony. Kłam pan, oszukuj, kradnij... nie obchodzi mnie, jakich metod pan użyje, ważne, aby były skuteczne. Chcę, żeby nasze samochody jutro znowu rozwoziły tygodnik i żeby maszyny drukarskie znowu były w ruchu.

Prawnik skinął głową na znak zgody, wsadził papiery do teczki i był gotowy do wyjścia.

- A ty, Elmerze, dodrukuj jeszcze dodatkowe egzemplarze dzisiejszego wydania i przygotuj się do wysyłki części nakładu kolejną.

Mam przeczucie, że tym razem będziemy mogli sprzedać podwójną liczbę egzemplarzy tygodnika.

- Bez jakichkolwiek zmian? - zapytał Elmer.

- O jakich zmianach myślisz?

- Myślę, że powinniśmy na okładce, w ramce, napisać, że są tacy, którzy mają zamiar wprowadzić zakaz kolportażu tego numeru.

- Rozumiem - Hammond powiedziała z aprobatą i po raz pierwszy z ożywieniem. - Chodzi ci o wolność wypowiedzi, o wolność prasy. Masz rację. Wydrukuj to na pierwszej stronie, tłustą czcionką. Ruszaj do pracy.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić. Czuło się jakby zbiorowe westchnienie ulgi. Zegar na ścianie wybił jedenastą.

- A ty, Henry, zostań jeszcze na chwilę! - zawołała Rachela za młodym człowiekiem, który pracował w dziale księgowości. - Chcę, żebyś zużył całą noc, cały tydzień, a nawet miesiąc, i zestawił listę wszystkich pozostałych posiadaczy akcji naszej firmy. Chcę znać nazwiska, adresy, telefony. I zadzwoń do mnie natychmiast, gdy będziesz już coś wiedział, do biura czy do mieszkania. I nie zawieźdź mnie.

Gdy młody człowiek także opuścił salę obrad, Rachela odprężyla się wreszcie, odchyliła do tyłu w swym wielkim, miękkim, prezesowskim fotelu i, zupełnie nie spodziewając się tego, usnęła.

Nawiedziły ją majaki, niespokojne, ale także miłe, w których niemałą rolę odgrywał oczywiście Charlie. Zbudziła się nagle, w środku nocy. Do sali weszła bowiem sprzątaczką i zapaliła wszystkie światła.



- Pani jeszcze tutaj, Rachelo? Myślałam, że wszyscy dawno już poszli do domu. Dziecino, jest już druga nad ranem.

- Musiałam być... przemęczona - wyjąkała Rachela. - Wszyscy wyszli? Mój szofer także?

- Wszyscy, pani Rachelo. Ale możemy z łatwością sprowadzić taksówkę. Parę z nich zawsze stoi przed drzwiami naszego budynku.

- Zrób to, proszę - powiedziała Rachela, podniosła się z fotela, przeciągnęła. Bolała ją każda kość. A zwłaszcza kości miednicy. On jest ciężkim mężczyzną, przypomniawszy sobie i zaśmiała się cicho.

Sprzątaczką była nieco zaskoczona nagłym, dobrym humorem szefowej, podała jej rękę i poprowadziła do windy. Po chwili byli już w głównym holu. Nocny strażnik powiedział:

- Taksówka czeka. Życzymy dobrego snu szanownej pani.

- Nie mów do mnie „szanowna pani” - rzekła miękko. - Zwracaj się: Rachelo. Nazywasz się Foster, prawda? Dlaczego pracujesz na nocnej zmianie? Masz przecież żonę i dwoje dzieci, którymi trzeba się zajmować... Chyba dobrze pamiętam?

- Teraz mam już trójkę bachorów - odpowiedział Foster. - A za nocną zmianę dostaje się więcej pieniędzy. Proszę się nie martwić, kierowca dowiezie panią prosto do domu.

- Czuję się, jakbym była po wielkim przyjęciu, z morzem alkoholu - powiedziała w chwilę potem do taksówkarza, gdy jechali już pustymi ulicami miasta.

- A przecież nie miałam kropli niczego mocnego w ustach. Jaka może być tego przyczyna?

- Po prostu napięcie panią opuściło - odparł kierowca. - Często to obserwuję. Wożę facetów na wysokich stanowiskach, którzy jadą na jakieś ważne posiedzenie czy konferencję i są pełni strachu, spięci. A potem, gdy wracają i wciąż są na swoich stanowiskach, rozsiadają się wygodnie w mojej taksówce całkowicie odprężeni. Niektórzy nawet zaczynają śpiewać.

- Chyba lepiej, żebym nie śpiewała - powiedziała rozbawiona Rachel. - Nawet krowy nie znoszą mojego głosu. Natomiast Charlie śpiewa jak... W każdym razie krowom się to podoba. I mnie także - dopowiedziała po małej pauzie.

- A oto hotel szanownej pani. Proszę nie martwić się o zapłatę dla mnie - powiedział taksówkarz, otwierając drzwiczki wozu i podając jej rękę. - Ja często wożę ludzi z „Gossipera”. Pozwolę sobie powiedzieć, że pracuje pani w dziwnych godzinach. I dam pani jeszcze jedną radę. W tym hotelu jest kryty basen. Proszę się w nim wypluskać, a potem zadzwonić do... Charliego, bo tak się chyba nazywa, prawda? I proszę koniecznie powiedzieć mu, że go pani kocha!

- To doskonały pomysł - zamruczała do siebie, przechodząc przez hotelowy hol i kierując się do windy.

Czekanie na zewnątrz jej hotelu jest najgłupszym z możliwych pomysłów, pomyślał Charlie Mathers. A jednak tak właśnie się działo. Siedział już trzy godziny w wypożyczonym porsche, cały zdrętwiały, wpatrując się uparcie w najwyższe piętro, gdzie miała apartament.

Przyjechała taksówką o drugiej nad ranem. Widział, jak zniknęła we frontowym wejściu i gdzieś rozplynęła się, bo górne piętro było nadal ciemne. Dlaczego nie powiedział jej czegoś w rodzaju: Rachelo,

kocham cię, pobierzmy się. Charlie zadawał sobie to pytanie któryś raz z rzędu i od razu odpowiadał: bo przypuszczalnie rzuciłaby krótkie „nie” i przepędziła mnie na cztery wiatry.

Nagle splątane myśli pierzchły, gdyż w apartamencie pojawiło się światło. Ale Charlie usłyszał jednocześnie, tuż przy swoim uchu, pytanie wypowiedziane schrypniętym głosem, z ciężkim skandynawskim akcentem:

- Czeka pan na tramwaj?
- Och, nie, panie władzo. Ja po prostu...
- Mówiłem do siebie, czyż nie tak? - powiedział zwalisty policjant.
- Obserwowałem pana od przeszło dwudziestu minut.

-No więc, panie władzo, jest tak, że... - myśl szybko, znajdź sensowną odpowiedź, ponaglał siebie Charlie - zajmuję się pisarstwem. Powieści i takie tam rzeczy. I doszedłem właśnie do trudnego momentu w moim manuskrypcie. Dlatego wyszedłem w ciemną noc, żeby przemyśleć ten fragment...

- I ma pan oczywiście ze sobą magnetofon, żeby to wszystko utrwalić, zanotować?

Na szczęście dla Charliego wóz był wyposażony jak należy, także w magnetofon. Policjant zaakceptował tę wersję.

- Jednym słowem, problem już rozwiązany i teraz odjedzie pan do domu, mam nadzieję.

- Szczerze mówiąc mam jeszcze do przemyślenia kilka innych scen  
- powiedział Charlie.

- Ale zrobi pan to w domu, prawda? To jest dzielnica rezydencji i nie lubimy, jak pojawiają się tutaj obce osoby i na dodatek parkują godzinami. Czy rozumiemy się, szanowny panie?

- Tak, w zupełności. Właśnie miałem odjeżdżać. - Rzucił jeszcze raz okiem na światło na górnym piętrze. Jedno okno było półotwarte i pojawił się w nim jakiś cień. - Niech to wszyscy diabli... - mruknął do siebie, zapuszczając motor. I pomyślał, że zachowuje się jak sztubak, który chodzi jeszcze do szkoły... i że chyba naprawdę kocha tę dziewczynę! Niezależnie od tego, co ona myśli na ten temat. Kocha ją! Przypomniał sobie, jak leżała obok niego w szerokim łóżku, i jaka była piękna, gdy uśmiechała się.

Wreszcie dotarł do swego domu, zostawił samochód w podziemnym garażu i windą wjechał na siódme piętro. W chwili kiedy manipulował kluczem przy zamku, usłyszał telefon dzwoniący za drzwiami. Gdy je wreszcie otworzył i pochwycił słuchawkę, rozległ się już tylko ciągły sygnał. Czy była to Rachel? - zadał sobie pytanie, sfrustrowany. Może zadzwoni jeszcze raz? Zaczął się rozbierać. Bardzo powoli. Ale aparat milczał uparcie. Może zatem sam powinien do niej zadzwonić? Popatrzył na złoty zegarek. Była trzecia nad ranem. Stanowczo za późno na jakikolwiek telefon. Mogłoby to przepelnić czarę goryczy, gdyby o tej porze wyciągnął ją z łóżka. Przygnębiony nalał sobie podwójną whisky i powłókł się do łóżka.

Dlaczego nie? - pomyślała Rachel, przechodząc przez hotelowy hol. Taksówkarze często sprawiają wrażenie, jakby byli absolwentami wydziału psychologii.

Wejście do krytego basenu znajdowało się obok. Miała tam własną szafkę z kostiumami kąpielowymi.

Pół godziny później, całkowicie odświeżona, gotowa prawie na wszystko, owinęła się płaszczem kąpielowym i pojechała windą do siebie. Ani nocny recepcjonista, ani operator windy nie mieli jej nic do powiedzenia. Tak w życiu zazwyczaj bywa, gdy wszyscy wokoło wiedzą, jakie jest, mniej więcej, twoje konto w banku.

Po chwili była już w swoim apartamencie, przygotowała słodki koktajl, uchyliła lekko okno i wyjrzała na zewnątrz. W głębokim mroku nic się nie poruszało, z wyjątkiem samochodu policyjnego, który przystanął na chwilę, dokładnie vis-à-vis jej okien.

Powinnaś teraz, pomyślała Rachel, jakby prowadząc ze sobą towarzyską konwersację, wychylić dobrego drinka, a potem zadzwonić do niego i powiedzieć, jak strasznie ci przykro, że zrobiłaś z siebie taką idiotkę.

Taksówkarz miał rację. Charlie dopóty nie będzie wiedział, iż go kocha, dopóki mu tego nie powie.

Wyciągnęła więc książkę telefoniczną i odszukała numer centralki w budynku, gdzie mieszkał. Czekaając na połączenie, zastanawiała się co mu powie, jakich słów użyje, żeby zabrzmiało to przekonująco.

- Pan Mathers nie odpowiada - odezwała się po pewnym czasie telefonistka.

- Proszę spróbować jeszcze raz - rzuciła, już na nowo spięta. Ze słuchawką w jednej ręce, a z drinkiem w drugiej, przemierzała nerwowo pokój.

- Numer w dalszym ciągu nie odpowiada, szanowna pani.

- Bardzo proszę spróbować jeszcze raz - powiedziała w przekonaniu, że ta rozmowa jest ważniejsza niż wszystko inne w jej życiu. Ale telefon Charliego wciąż nie odpowiadał.

- O Boże, co ja narobiłam - zamruczała do siebie, całkowicie załamana. Odłożyła słuchawkę i poszła do łóżka. Usnęła natychmiast, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Senne mary prześladowały ją długo. Dziwaczne, dręczące. Ten sam wątek powtarzał się w nieskończoność. Aż wreszcie pojawiła się pokojówka i przywróciła ją do rzeczywistości, w środku jasnego, pełnego słońca poranka.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sala, w której odbywały się zebrania kierownictwa „Gossipera” była przeładowana ozdobami, ale niewielka. Przy dużym mahoniowym stole mogło zasiąść tylko osiem osób. W rogu, przy fotelu prezesowskim, znajdowało się podium z mahoniowym pulpitem i zestawem mikrofonów. Frank Losen trącił łokciem swego klienta.

- Całkiem jak w brytyjskim parlamencie - szepnął. - Pięćdziesięciu członków zgromadzenia, a tylko osiem miejsc siedzących. To ci chyba coś mówi?

Charlie Mathers nie zareagował jednak. Rozsiadł się tylko wygodniej w swym fotelu. Na tę okazję włożył jasny garnitur, pasującą do tego białą koszulę i krawat w paski. Jego prawnik, być może lepiej orientujący się w zwyczajach, miał na sobie dżinsy i koszulę z odpiętym kołnierzykiem. Zebranie zostało zwołane na jedenastą. Oni zjawili się piętnaście minut wcześniej i nikogo jeszcze nie było w sali.

- Możesz się domyślić, że Korporacja Hammond-Borgen nie zabiega o liczne stawiennictwo swych akcjonariuszy na zebraniach firmy.

- Chciałbym, żeby włączyli klimatyzację - mruknął Charlie. - Nie spałem zbyt wiele tej nocy. I wolałbym nie zdrzemnąć się w tym upale w trakcie obrad.

- Ale ja słyszałem, że Hammondówna lubi jak jest ciepło. - Mówiąc to, prawnik otworzył wypchaną teczkę i wręczył Charliemu kilka dokumentów. - To są certyfikaty, upoważniające cię do głosowania. Ja sam będę głosował jako reprezentant udziałów wuja

Rogera, gdyż jego testament nie został jeszcze uwierzytelniony. Ty będziesz wypowiadać się w oparciu o pełnomocnictwo dziadka. Łącznie mamy zapewnioną przewagę głosów. Możesz usunąć pannę Hammond ze stanowiska przy pierwszym podejściu.

- A jak przebiegły sprawy w sądzie? - zapytał Charlie, żeby zmienić temat.

- Ani dobrze, ani źle - odparł Frank. - Sędzia wprawdzie nie zgodził się, aby zawiesić zakaz kolportażu „Gossipera”, o co zabiegał prawnik Hammondówny, ale ten sam sędzia także nie zgodził się, żeby zakaz kolportażu obowiązywał na stałe. A potem poprosił o przedstawienie uzupełniających dokumentów. Nie wyobrażasz sobie, ile papierysk korporacja przedłożyła. To klasyczne przeciwuderzenie. Zamierzają przeciągać sprawę w nieskończoność. Gdy wychodziłem z budynku sądowego, dopadł mnie ich adwokat i zapytał, czy zdaję sobie sprawę, ile podobne przewody sądowe trwały w przeszłości. A potem dodał, że może namówić Hammondównę do ugody.

- Ugody? - Charlie wydawał się zaskoczony. - Ja jestem bardzo słabo zorientowany, jak takie sprawy przebiegają. A w ogóle wydaje mi się, że lepiej sobie radzę z krowami niż z ludźmi. Ale popatrz, oni już nadchodzą...

Do sali wkroczyła cała falanga ludzi. Wszyscy mieli teczki w rękach, a przynajmniej pliki papierów. Kilka osób zajęło fotele, reszta stała.

Starszy pan, który zasiadł niedaleko prezesowskiego fotela, szybko przeliczył zebranych.



- To jest Elmer Chatmas, jeden z głównych redaktorów - szepnął Frank.

Liczenie wypadło widać zadowolająco, bo starszy pan skinął głową gestem przyzwolenia stojącemu przy drzwiach, potężnie zbudowanemu młodemu człowiekowi.

- A to jest jeden z piesków, pilnujących pani prezes - też szeptem Charlie powiedział do Franka.

Młodzieniec otworzył szeroko drzwi i ukazała się Rachela Hammond.

- A gdzie jest uroczysty tusz? - kpiąco zapytał Frank.

- Zamknij się - półgłosem powiedział Charlie. Nie miał ochoty na przytyki przyjaciela. On chciał po prostu patrzeć. A może także chciał przebiec przez salę, pochwycić ją w ramiona...

W tym momencie Hammond wkroczyła na salę. Rozległ się pomruk aprobaty. Szefowa tym razem nie była w swym biznesowym garniturze. Założyła bardzo kobiece, wyszukane szmatki.

Wygląda tak słodko, że mógłbym ją schrupać, pomyślał Charlie. Gdy uśmiechnęła się do niego, nie dostrzegł żadnej z nękających ją trosk.

Rachela Hammond rzeczywiście uśmiechała się, lecz był to uśmiech, który utrzymywała na twarzy z najwyższym wysiłkiem. Bojąc się, że w każdej chwili może zniknąć, a na jego miejscu pojawiają się łzy. W jej przeświadczeniu także Charlie wyglądał wspaniale. Mógł być ozdobą każdej rady dyrektorskiej i... każdej sypialni.

Podeszła, ze swą zwykłą gracją w ruchach, do fotela prezesowskiego. Jego oczy podążały za nią. Jej wzrok przywarł do niego. Gdybyż się tylko uśmiechnął!

Wreszcie, przy pomocy Elmera, zajęła swój fotel. A właściwie tron. Ojciec kazał zbudować go specjalnie dla niej, dodając kilka centymetrów do wysokości tego sprzętu, aby Rachela mogła na wszystkich patrzeć z góry. Młotek przewodniczącej obradom leżał w zasięgu ręki Racheli. Uniosła go w górę i zastukała parokrotnie. Był to znak rozpoczęcia obrad. Na sali od razu zapadła cisza.

- Pani sekretarz powie nam, jaki jest cel zwołania na dzisiaj specjalnego zebrania rady - oświadczyła Rachela.

W połowie stołu siedziała młoda kobieta, najwyżej dwudziestoletnia. Wstała na wezwanie, bardzo zdenerwowana.

- Pani przewodnicząca - powiedziała - rada otrzymała list od pana Franka Losena, reprezentującego czterdzieści procent udziałów w Korporacji Hammond-Borgen. Występuje on jako wykonawca testamentu pana Rogera Borgena. Wspomniany list nawiązuje do wydania „The National Gossiper” z tego poniedziałku i domaga się głosowania nad votum nieufności wobec obecnego kierownictwa tygodnika.

- Czy to wszystko? - zapytała Rachela, starając się, żeby głos jej brzmiał jak zwykle chłodno i spokojnie.

- Tak, to wszystko, proszę pani.

- Czy będą głosy w dyskusji? - pytanie to skierowała Rachela do wszystkich zgromadzonych na sali.

Pierwszy podniósł się Elmer Chatmas.

- W każdym okresie zdarzają się załamania i niepowodzenia. Ale zapewne zwrócili państwo uwagę, że przez minione trzy lata, od kiedy pani Hammond kieruje tygodnikiem, czysty zysk naszej firmy powiększył się o ponad czternaście procent. I to w czasie, kiedy rynek kurczy się. Nie uwierzę, że wyniki korporacji mogłyby być równie dobre po odejściu pani Racheli. - Po tych słowach Elmer Chatmas usiadł, a jego słowa przyjęte zostały oklaskami.

Frank Losen rzucił okiem na Charliego, który przecząco pokręcił głową. Wobec tego Frank postanowił, że sam zabierze głos.

- Szanowna pani przewodnicząca. Nie przyszłoby tu, żeby dowiedzieć się, ile dolarów i centów udało się zarobić obecnemu zarządowi. Jesteśmy tu, żeby bronić dobrego imienia człowieka. Większość z was doskonale znała Rogera Borgena. Był dobry, uczciwy. Ale w ostatnim wydaniu magazynu rzuciliście się na niego niczym stado wilków, rozszarpując jego reputację na drobne kawałki. Wuj Roger, bo tak przecież większość z was go nazywała, nie był malwersantem, nie był oszustem. Przeciwnie, był człowiekiem pięknych zasad, głęboko wierzącym i był wsparciem dla wielu ludzi. Jedyne jego mankament, o którym słyszałem, to fakt, że kiepsko grał w golfa. W związku z powyższym, występując jako reprezentant interesów Rogera Borgena, domagam się głosowania nad votum nieufności wobec obecnego kierownictwa korporacji. - Po tych słowach Frank Losen usiadł. Tylko jedna para rąk biła brawo. Był to Charlie Mathers. A potem zapadła cisza.

- Wiem, że nie jest przyjęte, aby osoba przewodnicząca obradom włączała się do dyskusji - powiedziała Racheli, unosząc się z fotela.

Wszyscy obecni pochylili się do przodu, żeby nie uronić ani słowa. - Pan Borgen, czy jak słusznie powiedział Frank Losen, wuj Roger, był najśłodszym i najuprzejmiejszym ze znanych mi ludzi. Z tym tylko, że mój ojciec nienawidził w ludziach słodyczy i uprzejmości. I nauczył mnie tego samego. Muszę podkreślić, że numer magazynu, o którym jest tu mowa, został przeze mnie zaplanowany. Ale nie sprawdziłam przed drukiem, jak ostatecznie wygląda. Dziś wiem, że odzwierciedla dokładnie to, co chciałam, żeby było powiedziane. W każdym szczególe. - Rachela zrobiła chwilę przerwy i rozejrzała się po sali. - Jak widać, jestem nieodrodną córką mojego ojca - powiedziała - ale dodam, że nigdy bardziej nie wstydziłam się samej siebie niż w tej chwili.

Szelest papierów wskazywał, że wszyscy byli zaskoczeni obrotem sprawy. Rachela chwyciła za krawędź stołu, żeby utrzymać równowagę.

- Komunikuję również, że widzieliście państwo ostatni już numer „The National Gossiper” w dotychczasowej formie. Obecne kierownictwo tygodnika zamierza przekształcić go w periodyk o innym charakterze w magazyn dla kobiet, pozbawiony dotychczasowej jadowitości. - Rachela znowu przerwała swoje wystąpienie. Tym razem, żeby dyskretnie wytrzeć łzę. - W wyniku tych przekształceń, nigdy nie będziemy mieli takich zysków jak dotychczas. Ale zyski to przecież nie wszystko. - Kolejna łza pokazała się w jej oku. Uderzyła kilkakrotnie swym młotkiem i zarządziła głosowanie.

Elmer Chatmas uniósł się jeszcze raz. Przysadzisty, starszy pan wyglądał na wyraźnie zmieszanego, ale widocznie postanowił, że doprowadzi do końca swą powinność. Głosem zdecydowanym, z nieodgadnioną twarzą, powiedział:

- Zarząd firmy ma w swej dyspozycji czterdzieści dwa procent akcji. Głosujemy „nie”, to znaczy przeciw votum nieufności.

Frank Losen zerwał się na nogi. W odróżnieniu od Elmera, prawnik sprawiał wrażenie, że jest gotów walczyć do upadłego. I w tym właśnie duchu wypowiedział się.

- Reprezentuję czterdzieści procent akcji, stanowiących majątek pozostały po Rogerze Borgenie. Głosuję „tak”, to znaczy za votum nieufności dla obecnego zarządu firmy.

Ludzie zasiadający przy stole popatrzyli niespokojnie jeden na drugiego. Rachela pochyliła głowę do przodu, tak że włosy przykryły jej oczy. Dało się słyszeć jedno czy dwa westchnienia.

Wiem, że on jest w posiadaniu pozostałych akcji, pomyślała Rachela, patrząc jednocześnie na pochmurną twarz Charliego. I jestem pewna, że będzie głosował przeciwko mnie. Co wtedy zrobię? Całe moje życie, wszystko, co mam, związane było dotychczas z tą firmą. I używałam władzy zgodnie z moimi przekonaniem. Zasługuję więc na to, żeby mnie zwolnili, przyznała szczerze, chociaż ze złością. Tyle tylko, że nie wiem, co będę robiła potem. Nie ma sensu wracać na ranczo, bo udowodniłam, że nie wiem, jak się je prowadzi. Czy wobec tego mam opuścić Kansas i pojechać na Wschodnie Wybrzeże? Być może znalazłaby się tam jakaś praca dla mnie, ale nie wiem, jaka... Nieświadomie jej ręka dotknęła brzucha i popieściła to wielkie „być może”, tę zagadkę życia. Był to jednocześnie moment, kiedy Charlie Mathers uniósł się z fotela. Wszystkie głowy na sali zwróciły się w jego kierunku.

- Jest oczywiste, że dokonane zostało wielkie zło i że musi być ono naprawione - powiedział.

Przez salę przeszedł dreszcz niepokoju. Tylko Frank Losen uśmiechał się. Uśmiechał się szeroko.

-Ale - na nowo podjął Charlie głębokim głosem - to, czego na tej sali byliśmy świadkami, nie jest właściwą drogą naprawy. Rzucono na szale osiemdziesiąt dwa procent głosów. Ja mam upoważnienie do reprezentowania dalszych czternastu procent akcji, które są własnością mojego dziadka, generała brygady Franka Mathersa. - Charlie zrobił znowu przerwę i spojrzał na leżące przed nim papiery. - Pani przewodnicząca - powiedział na koniec - ja wstrzymuję się od oddania głosu.

Salę natychmiast wypełniły głośnie okrzyki radości. Każdy miał coś do powiedzenia. Charlie z ulgą opadł na fotel. Frank Losen uporczywie patrzył mu w twarz.

- A więc tak to wygląda, gdy twardezie rozpadają się na kawałki?

- Musiałem tak postąpić, Frank.

- Twoja sprawa! Ja muszę być dzisiaj po południu jeszcze raz w sądzie. Zatem do zobaczenia, jeśli będziesz miał ochotę.

- Na pewno, wcześniej czy później. Dzięki, chłopie... za wszystko.

Frank Losen podniósł się i włożył nie wykorzystane dokumenty do teczki.

- Nie musisz dziękować - powiedział z ironią. - Poczekaj, aż przyślę ci rachunek.

Losen był ostatnią osobą, która opuszczała salę. Nie mówiąc o Racheli, która pogrążona w myślach, siedziała w fotelu

przewodniczącej. Charlie podszedł do niej, położył swą dłoń na jej ręce i zaczął ją gładzić.

- Dlaczego tak postąpiłeś, Charlie? - zapytała, wciąż w szoku.

- Ponieważ, jak mi się wydaje, było to właściwe rozwiązanie - odparł łagodnie. - Ponieważ w całym stanie Kansas nie ma drugiej osoby, która prowadziłaby tę firmę lepiej od ciebie. I wreszcie dlatego, że wyzwoliłaś się wreszcie z szaty doktora Jekylla i ukazałaś prawdziwą twarz.

- Ale z twoją pomocą - cicho powiedziała Rachela. — Muszę ci jednak zdradzić, że nie wiem, co dalej ze sobą począć. Nie chcę już prowadzić magazynu, Charlie. - Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez. Cały makijaż rozmazał się, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Wyciągnął ogromną chustkę z jednej z wewnętrznych kieszeni i podsunął Racheli.

- Absolutnie nie ma powodu, żebyś nadal kierowała tym cholernym piśmidłem - powiedział. - Na pewno znajdziemy kogoś, kto cię w tym wyręczy. Ale przedtem muszą się pojawić przeprosiny. Jesteśmy to winni pamięci wuja Rogera.

- Przeprosiny nie są niczym trudnym - odparła i udało się jej nawet lekko uśmiechnąć. - Powiedz jednak, dlaczego używasz słowa „my”?

- To bynajmniej nie jest pluralis majestaticus, żadne królewskie „my”. Po prostu my razem, ty i ja, Rachelo. Jednym słowem partnerskie „my”. Pobierzemy się i wychowamy więcej członków tej spółki. Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu...

- Pobierzemy się? Nie brałam ostatnio tego pod uwagę - odparła. - Jedynie w czasie minionej, może również przedostatniej nocy. I może

jeszcze przez tydzień w czasie pobytu na ranczu. Ale im więcej o tym myślę, tym lepiej to brzmi. Razem, we dwoje? Nie masz jednak zamiaru narzucać mi swego zdania w każdej sprawie, jak to robił ojciec?

- Nic podobnego - rzekł z przekonaniem, a potem nachylił się nad nią, uniósł w górę jak piórko i posadził sobie na kolanach. Do gorącego pocałunku nie trzeba jej było namawiać.

RS



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy wrócili z konnej przejażdżki, twarz Racheli była zaczerwieniona od wiatru i szczęśliwa. Wprowadzili oba wierzchowce do stajni, oczyścili je i dali im po dużej porcji owsa. Gdy trudzili się oboje, dogadzając zwierzętom, Rachelę zapytała:

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co stało się z Hendrixem?

- Twoim byłym brygadziwą polowym? Stanie przed sądem pierwszego wrzeńnia, oskarżony o kradzież bydła i sprzeniewierzenie pieniędzy. Dwójce chłopaków, którzy z nim współdziałali, sędzia wymierzył już karę z zawieszeniem i nakazał opuszczenie stanu Kansas. Zadowolona?

- Sama nie wiem - powiedziała z westchnieniem. - Hendrix pracował dla naszej rodziny przez wiele lat.

- W takim razie podczas procesu możesz stanąć jako świadek i zeznawać na jego korzyść.

- Nabierasz mnie!

- Ani trochę. Dobre słowo od dobrej kobiety może zdziałać dla niego dużo dobrego, gdy będzie zapadał wyrok.

- Wobec tego zgłoszę się na świadka - powiedziała po chwili zastanowienia. A potem wzięła go pod ramię i poszli do domu.

Rachela miała oczywiście inne, znacznie większe kłopoty na głowie.

- Jesteś pewien, że wielebny pastor przyjedzie na czas?

- Pytasz mnie o to już po raz szósty - powiedział rozbawiony. -

Odpowiedź brzmi nadal: tak, powinien być już w drodze.

- Ale przecież Teksas jest bardzo daleko, kochanie.

- Nie dla mojego dziadka. Juarez Joe przywiezie go samolotem.

Czyżbyś nie zauważyła, że z tyłu, za domem, przygotowaliśmy pas do lądowania?

- Oczywiście zauważyłam. Ale denerwuję się, bo to przecież taki ważny dzień.

- I to mówi kobieta, która nie miała ochoty wychodzić za mąż.

- Ale to było wtedy, gdy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, ile radości będzie się z tym wiązało.

Pani Colchester, która wcześniej poprosiła, żeby przyjąć ją z powrotem do pracy, weszła w tym momencie do pokoju, niosąc mały, biały, plastikowy pojemnik.

- Proszę trzymać to w temperaturze pokojowej przez pół godziny - powiedziała kucharka.

- Rozumiem - odparła Rachela i podeszła do stołu, gdzie światło było najmocniejsze i tam postawiła to małe, chemiczne laboratorium.

- Czy mogę zapytać, o co chodzi? - wtrącił się Charlie.

- Nie twoja sprawa... na razie - odparła. - I nie zasłaniaj światła, proszę. A w ogóle, bardzo na to uważaj. Jeśli pojemnikowi coś się stanie, będę musiała jutro zacząć jeszcze raz od początku.

Jakby niepomny przestrogi, Charlie podszedł do pojemnika i powąchał go.

- Nie rób tego - warknęła Rachela. - Nie masz pojęcia, jak trudne było włożenie tego do kubka.

- Wyobrażam sobie, ile było kłopotu - powiedział z udanym współczuciem w głosie. Rachela rzuciła mu ostre spojrzenie.

- A w ogóle, czy wiesz, o co chodzi?

- Nie, nie wiem, ale postępuj tak jak ci kazali.

- Och, ci mężczyźni! - westchnęła Rachela. - Nie wiem, jak sobie dam z tym radę. Przestań więc mnie drażnić. Zobaczmy, co mówi instrukcja. Najpierw biorę testową próbkę, z białym proszkiem w środku i wprowadzam do niej zakraplaczem trochę... płynu. A potem mieszam płyn z proszkiem.

- Nic w tym trudnego - powiedział Charlie. - Nawet ja bym potrafił.

- Robią to teraz we wszystkich naszych szkołach średnich - wtrąciła się pani Colchester. - Kansas jest bardzo rozwiniętym stanem.

- No i co dalej, pani doktor? - zażartował Charlie.

- Z kolei biorę ten mały plastikowy przyrząd z dwoma zbiorniczkami w środku, wkładam to do naszej mieszaniny i obracam tak długo, aż proszek się rozpuści. Następnie pozostawiam pojemniczki w płynie przez piętnaście minut.

- To wszystko brzmi bardzo mądrze - powiedział Charlie. - Nie wiem tylko, czego się dowiemy z owego wyszukanego eksperymentu.

- Dlaczego nie zajmiesz się swoją gazetą - powiedziała pani Colchester, wręczyła mu egzemplarz i popchnęła tak delikatnie, że z rozmachem usiadł w głębokim fotelu.

- Zjadłbym już coś - powiedział rozkapryszonym głosem.

- Jesteś nieznośny. Gadaj tak dalej, a dostaniesz tylko chleb z wodą - powiedziała Rachela. - Jeszcze tylko pięć minut, pani Colchester, i będziemy...

- Nie pięć, tylko piętnaście minut - kucharka sprostowała z naciskiem. - Tu potrzebna jest dokładność. Może tymczasem zaśpiewam wam jakąś indiańską pieśń, żeby się nie dłużyło.

- Masz rację, śpiewasz najpiękniej z nas - zaaprobował pomysł. Po kilku minutach Rachela nagle krzyknęła:

- Udało się, mam wreszcie to, czego pragnęłam! - Po tych słowach obie kobiety zawirowały w jakimś triumfalnym pląsie.

- Może z łaski swojej, wytłumaczycie mi wreszcie, o co właściwie chodzi? - poprosił Charlie. - A dodam, że staję się naprawdę bardzo głodny.

- Usiądź, proszę! - wykrzyknęła Rachela radośnie.

- I opanuj się. Jesteś gotowy?

- Oczywiście, że jestem gotowy - mruknął bez entuzjazmu. -

Byłem przecież myśliwskim pilotem i nic nie może mnie zaskoczyć.

- Bogu niech będą dzięki - powiedziała tym razem uroczyście. - Charlie Mathers, oświadczam ci, że niebawem będziesz ojcem!

- Co takiego? - Charlie Mathers, mężczyzna doświadczony pod każdym względem, zerwał się na równe nogi, zachwiał nieco i oparł na swej przyszłej żonie.

- Co mówisz, kobieto?

- Ty tchórze - roześmiała się Rachela, a potem lekko go uścisnęła.

- To, co widzisz, jest testem na wczesne wykrywanie ciąży. Popatrz tutaj, dolny pojemniczek stał się zielony.

- Tak samo jak pan Charlie - zachichotała Indianka.

- Błagam cię, nie mów nic dziadkowi o dziecku - Charlie zwrócił się do Racheli, gdy oboje patrzyli, jak dwusilnikowy samolot podchodził do lądowania.

Rachela miała już na sobie suknię ślubną, całą ze wspaniałych koronek. Jej włosy były upięte do góry i zwieńczone koroną z kwiatów pomarańczy. Na piersi połyskiwał ślubny prezent - piękna gwiazda z szafirów. Na prawym nadgarstku miała bransoletę z kwiatów.

- O milczeniu na temat dziecka mówisz mi już czwarty raz - figlarnie powiedziała Rachela. - Proponuję ze swej strony, abyś mu również nie mówił, że mieszkaliśmy razem na ranchu przez dwa tygodnie. To byłoby także zbyt wiele dla kapłana metodystów.

Powitanie było wylewne. Potem wszyscy poszli do domu, gdzie starszy pan oświadczył, że nie miałby nic przeciwko kubkowi kawy. Po czym usadowił się w kuchni na najbardziej eksponowanym krześle.

- A teraz, moja urocza istotko - powiedział dziadek, zwracając się do Racheli - powiedz, kiedy spodziewasz się dzieciątka?

Za plecami staruszka Charlie Mathers zakrztusił się łykiem kawy i rozpryskał ją wokół.

- Och, nie wiem tego dokładnie - nonszalancko oświadczyła Rachela. - Chyba za siedem miesięcy lub coś koło tego...

- Jeśli okaże się, że to dziewczynka - powiedział pastor - to mam nadzieję, że będzie śliczna jak mamusia.

- A jeśli będzie chłopak? - zapytała Rachela.

- Będziecie musieli spróbować jeszcze raz. Rachela uśmiechnęła się nerwowo. Ten wysoki, starszy mężczyzna, znacznie wyższy od swego wnuka, lekko tylko pochylony z racji wieku, był postacią, z którą

Rachela nie odważyłaby się wchodzić w konflikt. Ale musiała mu o tym powiedzieć.

- Czy można wtrącić słowo o tygodniku? - zaproponowała.

- Tak? A o co chodzi? - to mówiąc, pastor obrócił się frontem do Racheli.

- No więc - zająknęła się - zrezygnowałam z kierowania nim.

- To słuszny, dobry krok.

- I Elmer Chatmas znajdzie się na moim miejscu.

- To kolejny słuszny krok.

- I pomyśleliśmy sobie, żeby trochę zmienić charakter tygodnika, wprowadzić trochę humoru, rozrywki. Nakierować materiały tam publikowane bardziej na zainteresowania kobiet. W Kansas mieszka wielu zdolnych pisarzy, chcemy ich zaprosić do współpracy.

- I to będzie jeszcze jeden krok we właściwym kierunku - powiedział starszy człowiek.

W tym momencie w salonie rozległ się gwar licznych głosów. Przybyli oczekiwani goście. Dziadek Mathers podniósł się. Był wysoki i mocny, jak na swoje osiemdziesiąt siedem lat.

- Ruszajcie się - zakomenderował. - Zabierajmy się do roboty.

Salon został przystrojony wszystkimi kwiatami, jakie może zaofiarować lato w stanie Kansas. Dekorację tę zaprojektowały kobiety pracujące w tygodniku. Pani Colchester ze swej strony zapewniła pomoc Indian ze szczepu Potowotami, którzy tłumnie przybyli na uroczystość, przynosząc ze sobą ogromną ilość smakołyków.

- Mam nadzieję, że wszystko jest jak należy - powiedziała pani Colchester. - Nigdy w moim życiu nie byłam druhną. Co o tym sądzisz?

- Nie pytaj mnie - rzeczowo odparła Rachela. - Przecież ja także nigdy nie byłam panną młodą.

- Zdenerwowana? - zagadnął Frank Losen, który był drużbą. Stali razem w małej grupie, w drzwiach prowadzących do salonu.

- Jestem wręcz śmiertelnie przerażona - wyszeptała Rachela.

-Ale czym?

- W tym problem. Nie mam pojęcia, co mnie tak przeraża.

Potrzeba mi czegoś, pomyślała z desperacją, jakiegoś słowa, zdania, jakiejś idei, która połączy nas, Charliego i mnie, i wszystkich innych, w zdolną do życia, kochającą się wspólnotę.

Do pokoju wszedł dziadek Mathers. Nie był już wielkim, swobodnie zachowującym się mężczyzną, lecz kapłanem, z chłodną poważną twarzą, odzianym w sutannę.

- A więc wszystko zależy teraz od nas - powiedział. Poprowadził ich czworo do zaimprovizowanego ołtarza. Tam odwrócił się do nich przodem, wertując w rękach Biblię, której używał od siedemdziesięciu lat.

- Ukochani! - powiedział podniosłym głosem. Tak, o to słowo właśnie chodzi, pomyślała Rachela

Hammond, pełna podniecenia. „Ukochani!" Popatrzyła na Charliego, stojącego obok, a on popatrzył na nią. Jego usta poruszyły się bezdźwięcznie, ale ona go zrozumiała. „Ukochani" - to samo miał na myśli. Rachela Hammond, wyzbywając się wszystkich wątpliwości, uścisnęła ramię swego mężczyzny i zwróciła się ku pastorowi.

To jedno słowo kapłana pobiegło ponad zgromadzonymi, przeniknęło przez okna i pobłogosławiło dom i wszystkich, którzy mieli

go zamieszkiwać. Wszelkie dalsze słowa umknęły uwagi Racheli Hammond. Ale to pierwsze było balsamem dla jej serca.

Błogosławieństwem, które wyzwoliło ją ze wszelkich napięć, realnych i wymyślonych, wymazało z jej podświadomości wszelkie nakazy wtłoczone tam przez ojca. Tak, iż była nawet w stanie myśleć o ojcu bez wzburzenia.

- A teraz ogłaszam was mężem i żoną - padły ostatnie słowa ceremonii.

Rachela Mathers obróciła się, żeby spojrzeć na potężnego mężczyznę, stojącego obok, przyciągającego ją do siebie nawet siłą wzroku. Mężczyznę, obiecującego jej cały świat ze wszystkimi jego wspaniałościami. Kwiat, którym było jej serce, otworzył się i rozkwitł wspaniale.

O to właśnie chodzi, moi ukochani - pomyślała Rachela.